

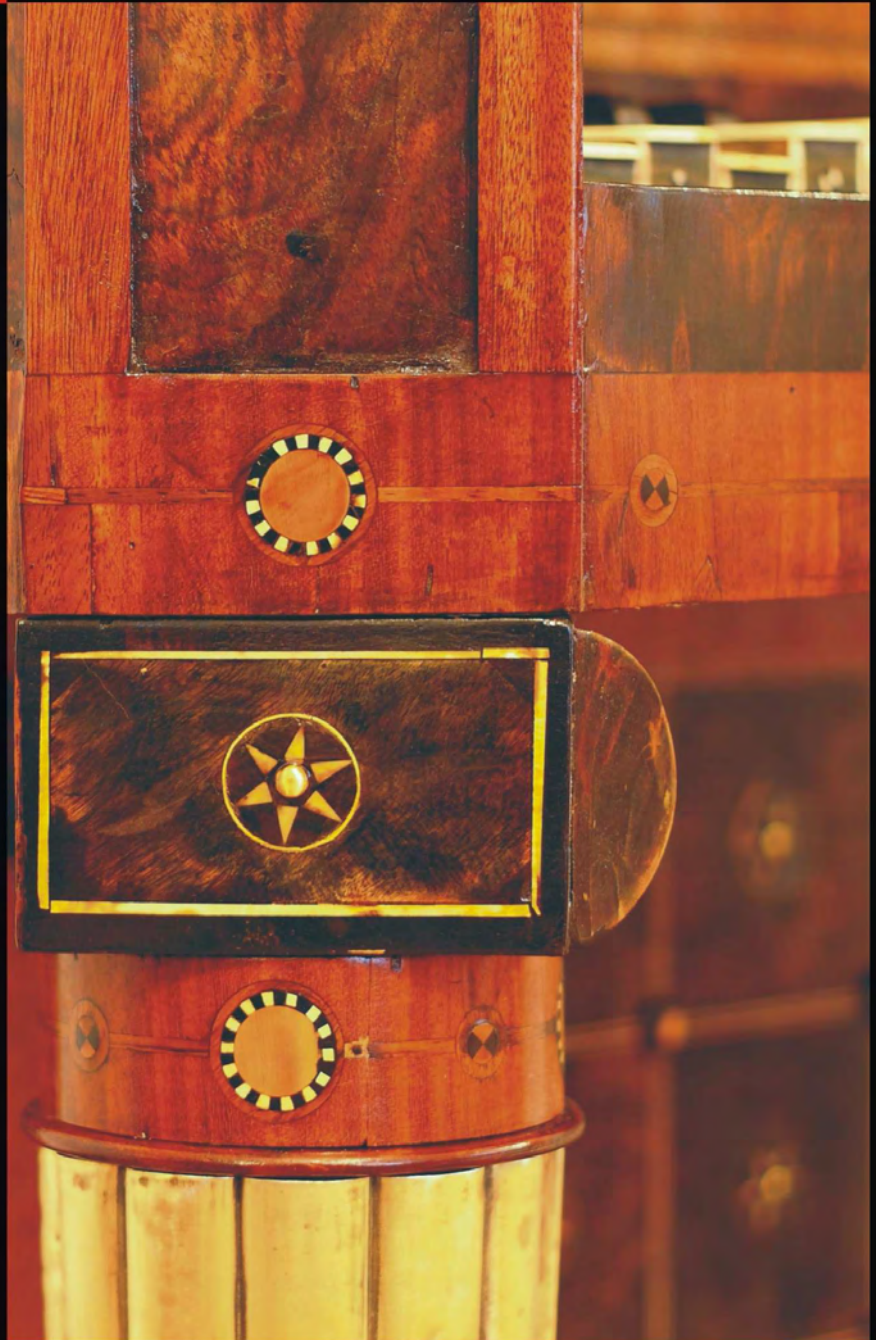


NESTOR

Czasopismo Artystyczne

1(7) 2009

ISSN 1898-1801



Zabytek z okładki

ZYRAFA



Zbiory Muzeum Regionalnego
w Krasnymstawie

Foto Wojciech Kowiński



Fortepian pionowy "Żyrafa", ok. 1815 r,
Georg Lancum, Holandia



Żyrafa 1815-1830 r., ze zbiorów Muzeum Narodowego we Wrocławiu



Żyrafa z ok. 1820 r. z dworu cesarskiego w Wiedniu,



Żyrafa ćw. XIX w., Muzeum Zamoyskich w Kozłowie.



Fortepian pionowy „żyrafa”, ok. 1815 r., Georg Lanckum, Holandia (?), Muzeum Regionalne w Krasnymstawie

Słowo redaktora



W czerwcu dobiegnie końca Rok Świętego Pawła Apostoła, zaś cały 2009 ogłoszony został Międzynarodowym Rokiem Astronomii. Wydawało się, że redakcja *Nestora* będzie też miała okazję do fetowania po złożeniu wniosku o dofinansowanie kosztów druku całego rocznika czasopisma. Zarządzający priorytetem pod nazwą *promocja literatury i piśmiennictwa kulturalnego* Instytut Książki w Krakowie objawił jednak biurokratyczne podejsze do sprawy. Skandalem w moim pojęciu był brak woli zapoznania się z wydanymi do tej pory numerami *Nestora*. Dzisiaj pozostaje tylko zadać retoryczne pytanie, na jakiej podstawie promowane są wartościowe inicjatywy w tym i zapewne innych projektach? Rozumiem, że komisja nowe projekty ocenia tylko na podstawie opisu, bo nie ma innej możliwości, ale przedsięwzięcia istniejące od dawna najlepiej udowadniają swoją przydatność, jeżeli możemy je fizycznie zobaczyć.

Wypada pocieszać się, że mamy zadatki na wielkich artystów, albowiem tacy nigdy nie mieli szczęścia do hojnych mecenasów. Mimo niespełnionych marzeń w zakresie finansów, redakcja jest dumna z życzliwości i duchowego wsparcia czytelników i współpracowników. Ciągłe poszerza się krąg przyjaciół. W poprzednim numerze do grona korespondentów spoza Krasnegostawu dołączyła Elżbieta Szadura-Urbańska z Warszawy, a dzisiaj - Aleksander Bernat z Wrocławia.

Ze wszech miar sympatyczny gest w kierunku *Nestora* wykonał zza oceanu krasnostawianin Wojciech Mięzał. Miłośnik rodzimej kultury, historii i pasjonat starych motocykli stał się bezinteresownym kolporterem naszego pisma w Chicago. Panie Wojciechu, takie działanie jest nam potrzebne!

Mimo przychylności czytelników indywidualnych, redakcja ciągle liczy na zdecydowany mecenat urzędów i instytucji, które za dobry przykład mogą mieć Starostwo Powiatowe w Krasnymstawie i drukarnię Wydawnictwa ROMAR. One bowiem, chociaż w części, ale od początku wspierają *Czasopismo Artystyczne Nestor*.

Ze względu na zawartość dzisiejszego wydania, wypada wrócić do tematu krasnostawskiego rynku, którego rewitalizacja pochłonęła ponad 11 milionów złotych i skutecznie zamknęła dostęp do historycznych podziemi. Mało tego - nie objęła swoim programem remontu schodów do okolicznych kamienic, które są przecież integralną częścią rynku. Miejscami sklecone z „socjalistycznych” płytek rozsypują się i straszą. Mur z piaskowca zaznaczający stary ratusz, po pół roku istnienia stał się także ruiną. Po zimie mnóstwo kamieni już zwyczajnie odpadło, a kiedy się ruszy lekko ręką - odpadają następne. Niebawem zostanie z niego tylko... tablica pamiątkowa, jeżeli nikt jej wcześniej nie ukradnie. Zupełnym brakiem męskiej decyzji i efektem bezmyślnego kompromisu było pozostawienie umierających drzew na tej kamiennej pustyni. Goryczy dodaje fatalna kompozycja fontanny upstrzonej jarmarcznymi światełkami, bo przecież, dysponując takimi środkami finansowymi, można było w tym miejscu postawić prawdziwą „perłę Lubelszczyzny” - fontannę, która - tak jak podziemia - mogła być atrakcją turystyczną miasta. Gdzie był burmistrz i o czym myśleli radni poprzednich kadencji, gdy zatwierdzali plany rewitalizacji rynku?

Andrzej David Misiura



NR 1(7) 2009 NESTOR
Czasopismo Artystyczne

Wydawca:
Oficyna Wydawnicza „ELIPSA”
ul. Piłsudskiego 2, 22-300 Krasnystaw, tel. 082-576 6009,
Konfederacja NESTOR e-mail: david57am@op.pl
Redagują:
Tadeusz Andrzej Kiciński (z-ca redaktora naczelnego)
Andrzej David Misiura (redaktor naczelny),
Mariusz Kargul tel. 504 097 514
Saturnin Naliwajko, Henryk Wróbel (skład i łamanie)
Dariusz Włodarczyk, 693 127 494



Redakcja nie zwraca materiałów niewykorzystanych.
Zastrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów.

Dziękujemy Autorom, którzy zrezygnowali z honorariów za swoje publikacje w niniejszym wydaniu.

Montaż elektroniczny:
„TamgaGraf”, ul. Szymanowicza 29, Krasnystaw
Druk: Wydawnictwo „ROMAR”, ul. Poniatowskiego 20, Krasnystaw

Nakład sponsorowany przez:
Starostwo Powiatowe w Krasnymstawie

Władysław Fedorowicz

Fortepian pionowy „żyrafa” - ze zbiorów Muzeum Regionalnego w Krasnymstawie

Styl biedermeier, który rozwinął się w Europie w pocz. XIX w. po burzliwej epoce wojen napoleońskich, charakteryzował się dążeniem do wygody i większej prywatności. W przeciwieństwie do pompatycznego stylu cesarstwa (empire), w którym dominowała symbolika starożytnego Rzymu lub Egiptu, przybierająca często formę ciężkich, bogato złożonych okuć, meble i sprzęty biedermeierowskie stają się lekkie i wygodne z ogromną jednak dbałością o technikę wykonania i artystyczny poziom.

Muzeum w Krasnymstawie posiada w zbiorach działu sztuki liczne meble i przedmioty służące do wystroju wnętrz mieszkalnych wytworzone w stylu biedermeier. Wspaniałym przykładem tego stylu, charakteryzującym się niezwykle bogatą dekoracją, jest fortepian pionowy nazywany „żyrafą”, wykonany ok. 1815 r. przez Georga Lanckuma, prawdopodobnie w Holandii.

Okres biedermeieru charakteryzował się licznymi nowinkami w zakresie wyposażenia i dekoracji wnętrz mieszkalnych; jedną z takich nowinek stał się fortepian z pudłem rezonansowym ustawionym pionowo - zabierający przez to mniej miejsca w salonie.

Wcześniejsze losy (do 1945 r.) krasnostawskiej „żyrafy” nie są znane. Po parcelacji majątków w powiecie krasnostawskim, jako mienie podworskie trafiła „żyrafa” do Społecznego Ogniska Muzycznego w Krasnymstawie. Nie był to z całą pewnością instrument nadający się do szkolnych ćwiczeń. W 1958 r. całkowicie zdewastowana, pozbawiona funkcji instrumentu muzycznego, a także części bogatej dekoracji, trafiła do magazynów tworzącego się Muzeum.

Do budowy instrumentu użyto drewna sosnowego, świerkowego i mahoniowego; dekorację wykonano stosując drewna egzotyczne: palisander, mahoń, heban, a także barwioną brzozę, orzech, kość i mosiądz. W dekoracji „żyrafy” zastosowano technikę intarsji i inkrustacji, stosując także malowanie tuszem części dekoracji.

Po konserwacji instrument włączono do ekspozycji stałej „Rzemiosło artystyczne XVIII-pocz. XX w.” jako przykład znakomitego kunsztu, a jednocześnie obiekt rzadko spotykany w muzeach.

Dla porównania na stronie 3 pokazujemy:

1. Żyrafa z ok. 1820 r. z dworu cesarskiego w Wiedniu,
2. Żyrafa 1815-1830 r., ze zbiorów Muzeum Narodowego we Wrocławiu,
3. Żyrafa 1. ćw. XIX w., Muzeum Zamoyskich w Kozłowie.
4. Fortepian pionowy „żyrafa”, ok. 1815 r., Georg Lanckum, Holandia (?).

Fortepian z pudłem rezonansowym ustawionym pionowo, wsparty na czterech zwężających się ku dołowi nogach. Nogi o przekroju kolistym, puklowane, częściowo obite mosiężną blachą, u dołu toczone, barwione na czarno, u góry pierścien zdobiony geometryczną inkrustacją w formie kół i kostki, frontowe ustawione ukośnie z małymi uszakami, od wewnątrz zdobione geometryczną inkrustacją, barwione. Pudło kryjące pedały cofnięte, trójsienne, ukośne ścianki dotykają nóg tylnych. Front pudła ozdobiony geometryczną inkrustacją w formie kół i rozetek, ukośne boki intarsjowane. Pudło kryjące klawiaturę od frontu ukośnie ścięte, na ukosach ozdobione płytkami, półkoliście zamkniętymi wnękami. Zewnętrzne boki pudła na klawiaturę zdobione geometryczną inkrustacją, żyłkową intarsją i malowanymi rozetkami. Ścianki wnęki na klawiaturę ozdobione geometryczną inkrustacją i żyłkową intarsją. Pudło na klawiaturę przykrywa kłapa dwuczęściowa o ściętych frontowych narożach dekorowana intarsją geometryczną i żyłkową oraz malowanymi rozetkami. Powyżej ruchoma deska ozdobiona inkrustacją z motywem łukowych arkadek i kościaną kluczyną, zaopatrzona w mosiężny zamek. Pudło powyżej klawiatury z półkolistym wygięciem ścianki prawej, u góry zamknięte wolutowo, u dołu z nieco cofniętą półką. Pudło powyżej klawiatury od frontu ujęte w ramę z geometryczną inkrustacją. Front pudła zdobiony malowaną i inkrustowaną kratownicą z motywem kół i rozetek oraz przy prawej, wygiętej ścianie - udrapowaną tkaniną. Woluta ozdobiona mosiężno-kościaną rozetą pełniącą również funkcję zamka. Klawisze kościane od frontu zdobione geometryczną inkrustacją. Wewnątrz, pod strunami - papierowa nalepka z napisem „Georg Lanckum”.

Władysław Fedorowicz

Leszek Janeczek

Krasnostawski fortepian Steinwaya

Prawie wszyscy w Krasnymstawie chyba o nim słyszeli, przynajmniej ci, którzy słyszeć powinni. Prawie nikt w ostatnich latach go nie widział. Dopiero teraz wyszło na jaw, że są w naszym mieście dwa słynne fortepiany. Ten pierwszy służy w zupełnie innych celach, niż te, do jakich został stworzony. Ten drugi, niezwykle unikatowy w skali naszego kraju, stał zupełnie nie niepokojony, aż pieczętowanie odrestaurowany, został pokazany opinii publicznej. Jest jednym z czterech w Polsce, ma około 250 lat, jego nietypowość polega na tym, że jest... pionowy, stąd jego potoczna nazwa, w gronie wtajemniczonych oczywiście, brzmi - *żyrafa*.

Pierwszy z instrumentów sławny sam w sobie, gdyż wykonany w renomowanej firmie Steinway & Sons, mającej siedzibę w Nowym Jorku. Chociaż rozłożony na części, od paru lat odgrywa rolę w... lokalnej polityce. Co jakiś czas pojawia się w miejscowej prasie informacja o inicjatywie jego ratowania, opatrzone podawaną między wierszami sugestią o niewrażliwości, jeśli nie wprost o prostactwie, lokalnych decydentów, dla których ciągle ważniejsza jest dziura w miejskiej, czy powiatowej drodze. I w tym sensie, fortepianem jak ostrogą, dźga się od czasu do czasu krasnostawskich rządzących. Chyba słusznie, ale bez rezultatu. Dziwne, lecz nigdy nie napisano cokolwiek o jego przeszłości, prawie tak, jak by istniał tylko w obecnej formie - szacownej kupy pojedynczych elementów, zalegającej muzealne magazyny.

Nie jest dokładnie wiadome skąd wziął się w Krasnymstawie, jaka jest jego historia, jacy ludzie na nim grali. Co do jego pochodzenia dyrektor muzeum, Władysław Fedorowicz, ma dwie hipotezy. Pierwsza, że pochodzi z jakiegoś okolicznego dworu, budzi wątpliwości, bo skąd światowej klasy instrument mógł znaleźć się na krasnostawskiej prowincji. Druga jest wielce prawdopodobna, wzięwszy realia tamtych czasów. Mianowicie krasnostawska urzędniczka, Maria Gładkowska, miała nabyć go za butelkę wódki od Rosjan wracających z łupami z wojny. Pewna wiadomość o nim jest taka, że został zakupiony w Hamburgu, gdzie był zakład filialny Steinwaya, przez Niemca Ethnera Wolfa, sądząc po imieniu, zapewne żydowskiego pochodzenia. Był to rok 1893. I na tym dalszy ślad się urywa.

W pałacu czy też dworze w Tarnogórze, przed ostatnią wojną i w czasie okupacji, u rodziny hrabiów Smorczewskich znajdował się fortepian

firmy Steinway właśnie, koloru czarnego. Ten krasnostawski też jest tej samej barwy. Stał on w salonie. Nauczycielka o imieniu Genowefa (nazwisko trudno dziś ustalić) uczyła gry na fortepianie Rafała i Marka Smorczewskich, synów dziedzica Tarnogóry, hrabiego Władysława Smorczewskiego. Pani ta jeździła również do Stryjowa, gdzie inny, mniejszy fortepian, posiadał Feliks Smorczewski, ojciec Władysława. Feliks był malarzem, kształcił się w Rzymie, przez wiele lat mieszkał we Francji, na starsze lata powrócił do Polski. Jego żona wywodziła się z rodziny Skarbków, z której pochodził premier przedwojennego rządu. Czy Feliks mógł sprowadzić instrument z zagranicy, czy też był on w posiadaniu rodziny żony? Tę hipotezę zapewne należy również brać pod uwagę. Rodzina Smorczewskich uciekla pod koniec wojny przed bolszewikami, i znalazła się w Anglii. Marek nie wiadomo kiedy wrócił do ojczyzny, zmarł w 2007 roku i pochowany jest w Poznaniu. Rafał, ożeniony z Hiszpanką, mieszka do dzisiaj w Anglii. Wydał po angielsku wspomnienia ze swojego życia. Czy tam jest klucz do rozwiązania tej zagadki - nie wiadomo, ale jest to prawdopodobne.

Ciekawym epizodem z czasów okupacji niemieckiej, dotyczącym tarnogórskiego steinwaya, jest ten związany z osobą Władysława Kędry. Kędra ukrywał się, czy też rezydował czas jakiś, w tarnogórskim pałacu, ćwicząc na fortepianie, dając ciche koncerty dla gospodarzy. Był on zdolnym polskim pianistą, urodzonym w 1916 roku w Łodzi. Gry uczył się od piątego roku życia. Studiował w Łodzi, a w latach 1937-38 - w konserwatorium paryskim. Stało się to dzięki jego udziałowi w słynnym konkursie chopinowskim w Warszawie w 1937 roku. I chociaż nie zdobył żadnej nagrody, to występ ten zwrócił na niego uwagę jurorki z Francji, która umożliwiła mu studia w Paryżu. Podczas zagranicznego pobytu, konsultacji muzycznej udzielił mu sam Ignacy Jan Paderewski. Było to w Morges w Szwajcarii, gdzie mieszkał mistrz. Podczas okupacji Kędra przebywał w Lublinie, grając w restauracjach, wyjeżdżał do Warszawy, dając tam konspiracyjne koncerty zakazanego przez Niemców Chopina. W 1946 roku brał udział w międzynarodowym konkursie pianistycznym w Genewie, zostając finalistą. Zaś w 1949, podczas konkursu chopinowskiego w Warszawie, osiągnął największy życiowy sukces, zajmując V miejsce. Władysław Kędra został później profesorem i wykładowcą fortepianu w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Łodzi, Poznaniu i Akademii Muzycznej w Wiedniu. Zmarł przedwcześnie na chorobę nowotworową w 1968 roku, pochowany w Alei Zasłużonych na Powązkach. Jak wspomina profesor Stefan Paszyc, wybitny chemik światowego formatu, podczas okupacji

przebywający w Izbicy, w czasie swojego pobytu w Tarnogórze, Kędra nigdzie nie wychodził, jakby się ukrywał, być może miał podwójną narodowość.

Smorczewscy wyjechali z Tarnogóry w 1944 roku, przed wkroczeniem Armii Czerwonej, zostawiając większość dobytku, w tym również i fortepian. Jesienią tego samego roku w opuszczonym pałacu zaczęto organizować szkołę średnią, istniejące do dzisiaj liceum. Z życia fortepianu w tym czasie znamy jedną datę. W dniu 11 listopada 1944 roku przy jego udziale odbyła się zorganizowana przez młodzież uroczystość z okazji przedwojennego Święta Niepodległości. Do deklamowanych wierszy, podkład muzyczny na steinwayu wykonywał utalentowany Stanisław Bellert. Gdy wiersz Staffa *Deszcz jesienny* recytował Stefan Paszyc, wspomniany pianista grał preludium Des-dur Chopina *Deszczowe*. Niedługo potem fortepian został pożyczony do Krasnegostawu, gdzie wykorzystano go do wystawianej jednej ze sztuk Wyspiańskiego. Prawdopodobnie była to *Warszawianka*. Czy reżyserował ją Kalikst Szymonowicz, profesor gimnazjum i liceum imienia Władysława Jagiełły, który powrócił niedawno z obozów koncentracyjnych? Czy też było to przedsięwzięcie Marii Zbyszewskiej, wówczas krasnostawianki, późniejszej znanej aktorki, żony aktora Ludwika Benoit, grającej Manię, żonę Pawłaka, w najslynniejszej polskiej komedii? To można jeszcze ustalić. W każdym bądź razie ta właśnie sztuka sprawiła, że planowane krasnostawskie pięć minut tarnogórskiego steinwaya, trwa 64 lata. I *nie ma mocnych*, żeby to zmienić. Chociaż fortepian jest teraz wśród *samych swoich*, to sam zda się wołać do Krasnegostawu - *kochaj albo rzuć!*

Losy niezwykłego instrumentu pokazują też, jak krzywe zwierciadło, dwa ostatnie ustroje, w których przyszło mu egzystować. Ten pierwszy, powstały po wojnie, chciał wszystko mieć państwowe, wspólne, zabierał prywatne, nacjonalizował. I fortepian też. Ten ostatni nie chce mieć niczego, tego co państwowe chce się pozbyć jak karcianego piotrusia. Krasnostawski fortepian jest własnością nas wszystkich, a ciąży rządzącym jak kula u nogi. Kilku Rejtanów ciągle rozdziera nad nim koszule, przy obojętnym żuciu gumy przez przytłaczającą większość. Ciekawe byłoby, gdyby rodzina Smorczewskich zechciała to nasze wspólne dobro odzyskać, lub zapragnął go kupić za wszelką cenę ktoś z nowobogackich. Już słyszę wrzawę, jaka by się natychmiast podniosła, słuszne oburzenie w naprędcie zjednoczonych szanowanych gremiach sponsorów z pieniędzmi, nie dających się prześcignąć w hojności dla tak

zbożnego celu. Kto wie czy to nie jedyny sposób na ratunek, dla rozkładającego się na czynniki pierwsze instrumentu, którego istnienia na tak głębokiej prowincji nie mogła się swego czasu nadziwić, bawiąca w Krasnymstawie, sławna polska pianistka Wanda Wiłkomirska. Wtedy, nie dość, że fortepian Steinwaya powstałby jak nowy, to jeszcze Okł Khamidow miałby gotowy scenariusz do nakręcenia kolejnego odcinka *Świata według Kiepskich*, i to kiepskich krasnostawskich, czyli nas samych. Po prostu dwa w jednym. Oglądalność gwarantowana. A jakaż byłaby to promocja dla miasta?

Leszek Janeczek

Daniel Piekaruś

Tragiczny bal Polskiego Czerwonego Krzyża

Po wkroczeniu Armii Czerwonej na terytorium powiatu krasnostawskiego, pełnię władzy w mieście przejęli lokalni członkowie Polskiej Partii Robotniczej, którzy w większości wywodzili się z miejscowych struktur Armii Ludowej. Przy wsparciu NKWD rozpoczęli proces tworzenia Urzędu Bezpieczeństwa, którego głównym zadaniem miała być eksterminacja środowisk opozycyjnych względem nowej władzy. Napiętnowano i konsekwentnie eliminowano żołnierzy polskiego podziemia niepodległościowego (AK, BCh, NSZ), członków PSL oraz przedstawicieli konspiracyjnej PPS-WRN. „Bandy reakcyjne” (stwierdzenie, jakim komunistyczna nomenklatura określała zbrojne podziemie) były głównym problemem pepeerowców w ich „drodze do socjalizmu”. Jednocześnie szukano coraz to nowych pretekstów, aby w oczach opinii publicznej oczerniać środowiska poakowskie, zaś siebie przedstawiać jako obrońców społeczeństwa i „demokracji”.

Sytuacja ku temu nadarzyła się w pierwszych dniach stycznia 1946 roku, kiedy przedstawiciele Polskiego Czerwonego Krzyża, z księdzem Aleksandrem Miszczukiem na czele, zorganizowali zabawę charytatywną. Dochód z imprezy miał być przeznaczony na bieżącą działalność PCK. Dramatyczny bal odbył się 5 stycznia 1946 roku w budynku krasnostawskiego magistratu. Mieszkańcy miasta, umęczeni pięcioletnią okupacją hitlerowską, tłumnie przybyli na zabawę

taneczną. Dominowała głównie młodzież, ponieważ trwały wówczas ferie zimowe, a wspomniana impreza była niesamowitą atrakcją, zwłaszcza w obliczu rodzącego się systemu komunistycznego. Według późniejszych doniesień dziennikarskich, nic nie zapowiadało nadchodzącej tragedii. O północy starosta krasnostawski wygłosił przemówienie, w którym scharakteryzował problematykę działalności charytatywnej w Polsce. Pół godziny później, na salę, w której tańczono walca kotylionowego, zostały wrzucone granaty. Dramat, jaki rozegrał się w przeciągu następnych kilku sekund, przyniósł niewyobrażalne skutki. W wyniku eksplozji zginęły na miejscu: Maria Kazimiera Bobłówna, lat 18, uczennica Liceum Pedagogicznego w Krasnymstawie, Longina Michałowska, lat 31, urzędniczka „Społem” Krasnostaw (zmarła w szpitalu po operacji) oraz Aleksander Bober, zdemobilizowany chorąży Wojska Polskiego, repatriant z Wilna. Czwartą ofiarą była dwudziestoletnia Henryka Nawrot, repatriantka „zza Buga”, sierota. Jej ojciec, chorąży WP, zginął podczas okupacji. Powołując się na wspomniany raport specjalny UB oraz artykuły opublikowane na łamach „Sztandaru Ludu”, w wyniku „ataku terrorystycznego” jedenaście osób zostało ciężko rannych m.in.: Julia Banaszkiewicz (l. 59, dyrektorka organizującej się szkoły muzycznej), Regina Głaz (l. 18, uczennica), Agata Grabowska (l. 49, żona księgowego), Kazimierz Gregorowicz (l. 30), Feliks Iglowiec [Iglinięc?](l. 30, robotnik leśny), Danuta Jaślikowska (l. 22, krawcowa), Anna Michalska (l. 22, studentka medycyny UMCS, córka lekarza Szpitala Powiatowego w Krasnymstawie), Hipolit Podkowa (l. 28), Henryk Szarugiewicz (l. 22), Józef Tratkiewicz (l. 36, młynarz) i nieznany z imienia Radkiewicz. Mniejsze obrażenia odnieśli: Józef Bijas (l. 42, urzędnik), Maria Korbus, Kazimiera Józwiak, Józef Miler, Jadwiga Opielak, Anna Ożóg, Helena Podkowa, Zofia Reniewicz, Michał Zawiliński, Ewa Żmijewska oraz funkcjonariusz MO - Alfred Karwacki. Natychmiast po wybuchu podjęto akcję ratunkową. Przybyła na miejsce jednostka straży pożarnej przetransportowała rannych do miejscowego szpitala. Na miejscu grono lekarzy (m.in.: dr med. Antoni Szczerbo, Stanisław Świca, Stanisław Sawicki, Jadwiga Michalska, Klementyna Amirowicz-Świcowa, Stanisław Lipiński i Stefan Gładkowski) oraz szpitalne pielęgniarki - siostry miłosierdzia, podjęli 48-godzinną walkę o ratowanie życia ludzkiego. Wykonano 12 zabiegów operacyjnych tzw. dużych (amputacji kończyn, operacji jamy brzusznej, czaszki itp.) oraz ok. 30 pomniejszych zabiegów związanych z usuwaniem fragmentów szkła z ciał poszkodowanych. Dodatkowo udzielono pierwszej

pomocy ok. 10 osobom, które po opatrzeniu zostały zwolnione do domu. Jednakże nie odnaleziono żadnych źródeł, które podawałyby ich personalia.

Władze miasta, wespół z organami bezpieczeństwa, oskarżyły członków organizacji poakowskich o dokonanie powyższego ataku w celu zastraszenia społeczeństwa i wywołania destabilizacji społecznej. W tym celu rozpętano „propagandową nagonkę prasową”, która miała przekonać opinię publiczną o słusznej linii politycznej wytyczonej przez komunistów względem podziemia. Powołując się na relację dziennikarską „Sztandaru Ludu”, widok wnętrza budynku tuż po eksplozji był porażający: *Po całej sali odłamki szkła zmieszane z krwią, której kałuże pokrywają podłogę. Ściany, ławki i krzesła zbryzgane krwią, a w jednym miejscu pod oknem widać wyrwę w podłodze, spowodowaną wybuchem granatu.* Według raportu specjalnego UB z dnia 6 stycznia 1946 roku, odnaleziono drugi granat (rosyjski), który po wrzuceniu do budynku odbił się od ściany, jednakże nie eksplodował. Po dokonaniu rozpoznania, funkcjonariusze prowadzący dochodzenie stwierdzili, że na dachu magistratu przyczepiona była czerwona flaga z sześcioramienną gwiazdą. Oficjalnie potwierdzono, że autorami prowokacyjnego zamachu byli członkowie Narodowych Sił Zbrojnych, którzy chcieli w ten sposób oczernić PPR i Związek Radziecki. „Sztandar Ludu”, który oddelegował do Krasnegostawu swojego przedstawiciela, na żywo relacjonował nastroje panujące wśród lokalnej społeczności: *W parę godzin po rozejściu się wieści o dokonanej zbrodni, przed gmachem magistratu zebrały się tłumy ludności, na wiec protestacyjny przeciwko sprawcom bezmyślnego mordu, noszącego wszelkie cechy mordu NSZ.* Natomiast „Gazeta Lubelska” wytoczyła wojnę całemu podziemiu niepodległościowemu, przedstawiając jej członków jako „bezwzględnych oprawców”, którzy wolą nie mieć żadnej ojczyzny, niż zaakceptować polityczne zmiany wprowadzone manifestem PKWN. Wtórował jej wspomniany już „Sztandar”, stwierdzając wprost, że są to [...] owoce „pracy” reakcji faszystowskiej. *Oto metody jakimi posługują się w walce z ludem. Życie polskiego robotnika i chłopca, polskiego dziewczęcia nie przedstawia dla opryszków NSZ-towskich żadnej wartości.* Co więcej, nawet sam pogrzeb, który odbył się dwa dni później, wykorzystano do zorganizowania pikiet przeciwko „skrytobójcom spod znaku NSZ”. Po dobitnych przemówieniach, zwłaszcza członka Komitetu Wojewódzkiego PPR, odkryto wieka trumien. Rodziny ofiar po raz ostatni mogły ujrzeć twarze swoich bliskich. Cześć zmarłym oddano minutą ciszy. Wśród szlochu i pieśni żałobnych, trumny zostały spuszczone do grobów.

Dziś, po ponad sześćdziesięciu latach można postawić hipotezę, że za tą brutalną prowokacją stał Urząd Bezpieczeństwa. Świadczy o tym fakt, iż większość osób, które uczestniczyły w zabawie, prezentowały poglądy określone wówczas mianem „reakcyjnych”, i w dużej mierze były jej organizatorami. Jest też mało prawdopodobne, ażeby podziemie dokonywało napadów na ludzi im sprzyjających lub w najgorszym wypadku neutralnych. De facto, w powiecie krasnostawskim (po 1946 roku) operowały niewielkie grupy partyzanckie liczące raczej na przetrwanie niż nastawiające się na spektakularne ataki. Paradoksalnie, w dostępnych materiałach po byłym „aparacie represji”, zachował się tylko jeden raport, który wspomina o feralnym balu. Mimo, iż sprawa została tak mocno nagłośniona medialnie, śledztwo szybko umorzono. A może nie prowadzono żadnego odrębnego postępowania? Niestety, dzisiaj jest to już tylko puste pytanie...

Postscriptum

Dziwnym zbiegiem okoliczności, pół roku po wspomnianej tragedii (w dn. 5 czerwca 1946 r., o godzinie 13) listonosz przyniósł paczkę zaadresowaną do jednego z pracowników krasnostawskiej bezpieki, Mieczysława Smolenia. Według raportu specjalnego do Szefa WUBP w Lublinie, jeden z funkcjonariuszy - Jan Kaznowski (wartownik UB) - zaczął rozpakowywać przesyłkę. Po wstępnym oględzinach okazało się, że w paczce jest granat i materiał wybuchowy. Pracownicy PUBP natychmiast opuścili pomieszczenie w obawie przed wybuchem. Jeden z funkcjonariuszy wyniósł ładunek w stronę koszar wojskowych, znajdujących się nad rzeką Wieprz. Czym prędzej wyrzucił paczkę, która po zderzeniu z ziemią, eksplodowała. Czy mógł być to odwet „reakcji” za masakrę na balu PCK? Zapewne dzisiaj już się tego nie dowiemy.

Daniel Piekaruś

Zbigniew Atras

Z dziejów kościoła Świętej Trójcy

13 kwietnia 1982 roku ksiądz biskup Bolesław Pylak, na prośbę dziekana krasnostawskiego, księdza Piotra Kimaka, utworzył przy „kościółku” rektoralnym w Krasnymstawie Samodzielny Ośrodek Duszpasterski. Rektorem był wówczas ksiądz Stanisław Obara, któremu pomocą służył emerytowany ksiądz Stanisław Ciołek, dawny prefekt i były rektor „kościółka”. Pierwszymi wikariuszami ośrodka zostali księża: Ryszard Wróbel i Adam Siedlecki. Teren wokół „kościółka” był wówczas jednym wielkim placem budowy. Powstawały nowe osiedla mieszkaniowe Chmielna I, II i III. Na terenie miasta budowano lub rozbudowywano duże zakłady przemysłowe, a liczba mieszkańców Krasnegostawu szybko wzrastała. Coraz wyraźniej rysowała się potrzeba utworzenia w mieście drugiej parafii. Już w 1980 roku ksiądz dziekan Piotr Kimak pisał w liście do biskupa: „w kościele rektoralnym już obecnie bywają śluby i chrzty, dlatego proponuję, żeby rektor od przyszłego roku prowadził księgi metrykalne i żeby księża przy kościele rektoralnym otrzymali jurysdykcję do udzielania ślubów. To powinno posłużyć do scalenia tego terenu pod przyszłą parafię”. Wieloletnie starania przyniosły pozytywny efekt. 3 kwietnia 1984 roku ksiądz biskup Bolesław Pylak utworzył parafię p.w. Trójcy Przenajświętszej, i tym sposobem zamienił stary „kościółek” rektoralny w „nowy” kościół parafialny. Pierwszym proboszczem parafii został mianowany ksiądz Stanisław Obara. Była to historyczna chwila dla całego Kościoła krasnostawskiego. W perspektywie kolejnych lat zaowocowała ona budową dużej kaplicy w Jaślikowie i nowego kościoła w Krasnymstawie. Tę tytaniczną pracę poprowadzili następni proboszczowie parafii Trójcy Przenajświętszej, księża: Marcin Jankiewicz i Józef Czerwonka. Jej owocem jest nowoczesny kościół p.w. Matki Bożej Pocieszenia i powstanie trzeciej parafii w mieście. Wreszcie nadszedł czas na rozbudowę „kościółka” i restaurację dawnegoklasztoru. Dzieła tego podjął się kolejny proboszcz, ksiądz Ryszard Winiarski. Rozbudowany kościół Trójcy Przenajświętszej przestał być „kościółkiem”, choć dla wielu pozostanie takim na zawsze.

Odnowiony, klasycystyczny, stary klasztor Augustianów pełni funkcję plebanii. Wielkim dziełem Jubileuszu Roku 2000 stał się wzniesiony obok kościoła pomnik Chrystusa Króla i Kuchnia dla Ubogich imienia Matki Teresy z Kalkuty. Obecnie funkcję proboszcza pełni ksiądz Roman Skowron. Kończy on dzieło poprzedników w zakresie zagospodarowania terenu, urzędzenia i wyposażenia kościoła, oraz przygotowuje parafię do podjęcia kolejnych wyzwań. W dniu 3 kwietnia br. obchodząc będziemy 25 rocznicę utworzenia parafii Trójcy Przenajświętszej, jednak historia kościoła Świętej Trójcy to okres ponad 600-letni, sięgający czasów panowania Jadwigi Andegaweńskiej i Władysława Jagiełły. W 1387 roku Jadwiga poprowadziła zwycięską wyprawę wojenną na Ruś Halicką, w wyniku której obszar Grodów Czerwieńskich, czyli późniejszej ziemi chełmskiej, do której należał Krasnystaw, został wcielony na stałe do Polski. Siedem lat później, tj. w 1394 roku Władysław Jagiełło lokował miasto Krasnystaw (dawniej Szczekarzew) na prawie magdeburskim. Król uposażył hojnie istniejący wówczas kościół parafialny p.w. Wszystkich Świętych. Sprowadził także do miasta zakon augustianów, fundując dla nich klasztor i kościół Świętej Trójcy. Augustianie, to jedna z najstarszych wspólnot zakonnych chrześcijaństwa. Ich początki sięgają 430 roku, kiedy powstały pierwsze grupy pustelników żyjących według reguły św. Augustyna. Zgodnie z tą regułą, drogą do realizacji powołania i świętości jest wspólnota oparta na miłości, oraz praca na rzecz Kościoła lokalnego. Początki działalności augustianów w Polsce przypadają na lata 1343-1356, a już w roku 1394 przybywają oni do Krasnegostawu. Kompleks zakonny augustianów w Krasnymstawie został wzniesiony w latach 1394-1434 w sąsiedztwie piastowskiego zamku, w obrębie murów miejskich. Być może kościół Świętej Trójcy, mający charakter obronny, stanowił integralną część umocnień miasta. Murowane z kamienia i cegły gmachy wzniesione w stylu gotyckim, zachowały się do dnia dzisiejszego. Są to najstarsze, istniejące budowle sakralne na ziemi krasnostawskiej. Nawa kościoła była pierwotnie zapewne trzyprzęsłowa, przedłużona od frontu, z prostokątną przybudówką od strony południowo-wschodniej będącą dawną kaplicą. Prezbiterium było nieco węższe, niegdyś dwuprzęsłowe, zamknięte zewnątrz trójbocznie, a wewnątrz półkoliście i oszkarpowane. Dach dwuspadowy pierwotnie pokryty był gontem lub dachówką. Klasztor to budynek piętrowy, podpiwniczony, zbudowany na rzucie litery L.

Wnętrze skrzydła głównego na obu kondygnacjach jest trzytraktowe, z korytarzem na osi podłużnej, po bokach którego znajdują się ciągi pomieszczeń będących dawnymi celami zakonnymi. W budynku przeważają sklepienia kolebkowo-krzyżowe, a w części pomieszczeń - kolebkowe z lunetami, lub sufity. W przyziemiu, u nasady skrzydła krótszego, znajduje się duża sala o sklepieniu kolebkowym z lunetami, będąca dawniej refektarzem. Przy nim, na skraj skrzydła, umieszczono obszerną sień sklepioną kolebkowo. Klasztorny dach jest dwuspadowy i pierwotnie pokryty był gontem lub dachówką. W 1449 roku kościół i klasztor augustiański zostały zniszczone przez Tatarów, a już w 1458 roku, za panowania Kazimierza Jagiellończyka, budowle zakonne zostały odbudowane. Kolejni władcy, Aleksander Jagiellończyk i Zygmunt August, doceniając znaczenie pracy misyjnej krasnostawskich augustianów, nadawali im liczne przywileje i hojne uposażenia. W październiku 1655 roku Krasnystaw najechały wojska kozacko-moskiewskie. Zdobyły i okupowały miasto przez kilka tygodni, pałac, grabiąc i mordując. Ofiarami barbarzyństwa Kozaków i Moskali padli też krasnostawscy augustianie. Ratując dobytek klasztoru, uciekali w kierunku Lublina. Zostali pojęmani i zamordowani. Śmierć męczeńską ponieśli wówczas: przeor konwentu i eksprowincjał o. Ferdynand Damianowicz (pochodzący z Krasnegostawu) i brat Felicjan, organista klasztorny. Sprzęty klasztorne, które ze sobą wieźli, zostały zrabowane, a kościół i klasztor uległy zniszczeniu. Wiosną 1657 roku żołnierze węgierscy księcia Rakoczego i Kozacy spustoszyli Krasnystaw. W wyniku ich działań spłonęło zgromadzone w klasztorze archiwum zakonu augustianów i część dużych zbiorów bibliotecznych. W kolejnych latach nowy przeor, o. Leonard Białecki, dzięki dobrodziejom, jakim była między innymi Katarzyna z Sobieskich Radziwiłłowa, odbudował kościół i klasztor. W okresie zaborów augustianie doznawali wielu prześladowań. W latach 1821-24 władze carskie stopniowo odbierały im zabudowania zakonne, zamieniając je początkowo na szpital, a następnie na koszary wojsk zaborczych i magazyny. W latach 1824-39 Rosjanie wzniesli na peryferiach miasta, przy trakcie lubelskim, nowy klasztor i kościół Świętej Trójcy, który przekazali augustianom jako rekompensatę za odebrane zakonnikom zabudowania starego klasztoru. Nowy kościół wzniesiono w latach 1837-39 według projektu Henryka Marconiego, w stylu klasycystycznym. Posiadał on nawę na rzucie zbliżonym do kwadratu, ze stropem. Pierwotne prezbiterium było nieco węższe, także na rzucie kwadratu,

z dwiema prostokątnymi zakrystiami po bokach. Dach nawy był czterospadowy, z ośmioboczną wieżyczką na sygnaturkę. Na tyłach kościoła stała dwukondygnacyjna dzwonnica. Klasztor to budynek parterowy na rzucie prostokąta, z płytkim portykiem od frontu typu otwartego, trzema arkadami na boniowanych filarach. Dach klasztoru dwuspadowy, pokryty blachą. Obok znajdował się parterowy budynek gospodarczy, wzniesiony na rzucie litery L, z dachem dwuspadowym. Zakonnicy przebywali w nowym klasztorze do roku 1864, kiedy to ukaz carski zniósł zakon augustianów w Królestwie Polskim. W listopadzie tegoż roku wojska rosyjskie siłą usunęły krasnostawskich augustianów z ich klasztoru i kościoła. Tak zakończyła się ponad 470-letnia historia krasnostawskiego zakonu augustianów. Kościół i klasztor oddano unitom, a po kasacji unii w 1875 roku przejęli go prawosławni. W 1917 roku powrócił do katolików i do 1982 roku był naszym „kościółkiem” rektoralnym, w którym panowała niepowtarzalna atmosfera skromności, modlitwnej zadumy i uczucia bliskości Boga. Dziś rozbudowany „kościółek” jest kościołem parafialnym. Pozostało w nim jednak coś z dawnych czasów, co przyciąga wiernych z terenu całego miasta - jakaś odmienność i specyficzna atmosfera. Kościół jest piękny, choć z łezką w oku wspominam starą, wytartą, drewnianą podłogę, „wysoką”, trzeszczącą ambonę, stare, fałszujące nieco organy, skrzypiące drzwi zakrystii, drzwi pod chórem z małymi okienkami pozwalającymi zerknąć w stronę konfesjonu, by rozpoznać jaki to ksiądz dzisiaj spowiada, „tłumy” wiernych na mszach niedzielnych, przez które z trudnością można się było przecisnąć, czy też ośmioboczną wieżyczkę ze stromym dachem, górującą nad dawnym „kościółkiem”. Wszystko się zmienia i ulatuje, pozostawiając tylko strzępki wspomnień. Odmienne losy spotkały pierwotny klasztor i kościół Świętej Trójcy. Stojący na terenie Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych nr 1, czyli popularnej „Zetki”, augustiański zespół klasztorny został przebudowany przez zaborców, a jego stylowe, gotyckie cechy uległy w znacznej mierze zatarciu. W 1951 roku przeprowadzono gruntowny remont i adaptację budynków na potrzeby szkolnictwa. Kościół został przedzielony stropem na dwie kondygnacje. Kościół został przedzielony stropem na dwie kondygnacje. Dawne okna częściowo zamurowano. Obecnie znajduje się tutaj biblioteka, pracownia multimedialna i warsztaty krawieckie.



foto: S. Naliwajko

Budynek klasztoru od 1955 roku wykorzystywano jako internat szkolny. Teraz mieści się tu Ognisko Młodzieżowe. W ostatnich latach przeprowadzono częściową restaurację budynku klasztornego, odnawiając między innymi dawny refektarz. Część klasztornych piwnic została zamurowana ze względu na znajdujące się tam krypty grobowe. Zabytkowy zespół klasztorny augustianów, najstarszy i jedyny gotycki zabytek na ziemi krasnostawskiej, w dalszym ciągu oczekuje na swoje dobre czasy. Miejmy nadzieję, że nadejdą one jak najszybciej i stary kościół augustiański, tak jak obecny kościół Trójcy Przenajświętszej, rozbrłyśnie znowu pełnią blasku.

Zbigniew Atras



foto: Z. Atras

Agnieszka Szykuła

Kogo strzegą figury z Wojśławic

Wojśławice należą do jednej z najstarszych miejscowości ziemi chełmskiej. Odnotowane są w źródłach od początku XIV wieku, jako siedziba parafii rzymskokatolickiej, prawosławnej, a następnie unickiej oraz gminy żydowskiej. Na krajobraz ówczesnego miasteczka, usytuowanego w okresie średniowiecza na skraju województwa bełskiego, wpłynęła jego wielokulturowość oraz położenie na szlaku handlowym. W XVII stuleciu przez Wojśławice prowadził gościniec handlowy o kierunku Łuck - Włodzimierz - Horodło - Wojśławice - Chełm.

W średniowieczu życie mieszkańców Wojśławic i okolicy skupiało się przy wzniesionym na planie kwadratu rynku, do którego można było trafić ulicami z czterech stron świata. W XVI w. wyznawcy religii rzymskokatolickiej skupieni byli przy parafii p.w. św. Michała Archanioła, której kolatorem był wówczas chorąży ziemi chełmskiej, Mikołaj Czyżowski. Prawosławni, a następnie unicy modlili się w cerkwiach: św. Eliasza, Onufrego i św. Praksedy, a Żydzi gromadzili się w mniejszej lub większej synagodze, w których to mieściły się jednocześnie szkoły.

Charakterystycznym elementem krajobrazu Wojśławic jest pięć kapliczek, usytuowanych przy wjazdach do tej miejscowości oraz na jej terenie. Pochodzą one z XVIII w. i przypominają o wydarzeniach, które miały miejsce w 1762 roku. Wojśławice były wówczas siedzibą parafii rzymskokatolickiej, dwóch unickich i gminy żydowskiej. W 1725 r. została wzniesiona cerkiew p.w. św. Praksedy, jedenaście lat później spłonął kościół, w r. 1742 i 1754 miały miejsce kolejne pożary. Jak wynika z przekazów źródłowych, w 1762 r. do Wojśławic, których właścicielem był wówczas Feliks Potocki, przybyli frankiści - przedstawiciele heretyckiego wobec judaizmu, żydowskiego ugrupowania religijnego, któremu przewodniczył Jakub Frank, samozwańczy Mesjasz. Ugrupowanie to nie uznawało Talmudu i kodeksów rabini-stycznych, a do Wojśławic przybyli w celu rozwijania swej działalności. Przyjazd heretyków był przyczyną niepomyślnych wydarzeń. Frankiści sprowokowali rozruchy przeciwko Żydom z gminy wojśławickiej, mordując chłopca z Wojśławic. W następstwie tych wydarzeń pojmano wojsła-wickiego rabina, przewieziono go do Częstochowy i zamordowano, zabito też wówczas kilku innych Żydów z wojśławickiej gminy. Śladem tych wydarzeń jest nazwa części Wojśławic, w której ćwiartowano Żydów, tzw. Szubienica.

W kolejnych miesiącach 1762 r. doszło do wygnania Żydów z Wojśławic, w tym samym roku Katarzyna z Potockich Kossakowska, krewna właścicieli Wojśławic, działaczka polityczna, kasztelanowa kamieńska popierająca działania frankistów, ufundowała dwór dla Awaczy, żony Jakuba Franka. Rok później w miejscowości miała miejsce epidemia czarnej ospy.

Jak wynika z przekazów najstarszych mieszkańców Wojśławic, z wydarzeniami z 1762 r. należy łączyć wzniesienie pięciu kapliczek z figurami przedstawiającymi świętych Kościoła rzymskokatolickiego.

Przy ulicy Uchańskiej usytuowana jest kapliczka z figurą św. Jana Nepomucena. Podobnie jak pozostałe, jest wzniesiona na planie kwadratu, murowana, z trzema prześwitami arkadowymi, przesklepiona krzyżowo, pokryta spłaszczonym dachem brogowym. Sklepiona kolebkowo i przykryta dachem gontowym kapliczka św. Floriana, z drewnianą figurą tego świętego, jest usytuowana na wyniosłym kurhanie, u wylotu ulicy Uchańskiej, przy odgałęzieniu drogi prowadzącej do Huty. Kapliczka świętej Barbary usytuowana jest w połowie ulicy Grabowieckiej, u ujścia strumienia Lipina do potoku. Jest przykryta dachem namiotowym z dachówki i posiada drewniany strop. Wewnątrz kapliczki znajduje się drewniana, polichromowana figura św. Barbary, wykonana przez rzeźbiarza z Wojśławic - Olichwira. Sklepiona kolebkowo o dachu przykrytym paloną dachówką kapliczka św. Michała stoi w polu, przy trakcie prowadzącym do Krasnegostawu. Wewnątrz niej znajduje się malowany na płótnie obraz przedstawiający Michała Archanioła (pierwotnie w kaplicy usytuowana była przypuszczalnie figura tego świętego). Natomiast sklepiona kolebkowo, z krytym dachówką dachem namiotowym kapliczka św. Tekli, z drewnianą polichromowaną rzeźbą tej świętej, wznosi się na niewielkim kopcu przy drodze do Chełma.



Kaplica i figura św. Jana Nepomucena w Wojśławicach, fot. A. Szykuła, 2008 r.

Fundatorką kapliczek i figur, powstałych przypuszczalnie w tym samym czasie, była Marianna z Potockich Daniłowiczowa, właścicielka miejscowości i kolatorka cerkwi św. Eliasza w Wojsławicach. Według najstarszych mieszkańców Wojsławic, kapliczki miały strzec miejscowości przed klątwą rzuconą przez zamordowanego w Częstochowie rabina. Wiarygodna jest również hipoteza o epidemii, którą potwierdza odkrycie dokonane w 2005 roku - podczas prac drogowych pod kapliczką świętego Floriana odkryto masowy grób, prawdopodobnie ofiar choroby.

Usytuowane w kapliczkach figury świętych miały strzec miejscowości przed przeciwnościami losu. Kult tych postaci należy do popularnych na terenie wschodniej Rzeczypospolitej. Święta Tekla była orędowniczką przed chorobami i epidemiami, święty Jan Nepomucen bronił przed złymi wydarzeniami, podobnie - święci Michał i Barbara.

Założenie z Wojsławic wpisuje się w upowszechniony w XVII i XVIII stuleciu zwyczaj sytuowania przedstawicieli Kościoła katolickiego poza jego dosłownymi murami. Postaci miały unaoczniać Słowo Boże, chronić przed złem i niepowodzeniami. Z XVIII stulecia pochodzą figury św. św. Antoniego, Tekli i Matki Bożej usytuowane przy wjazdach do Łaszczowa (pow. Hrubieszów). W Buczaczu na terenie rodzinnej miejscowości magnata Mikołaja Potockiego, przy głównych traktach prowadzących do miasta w 1750 i 1751 r. usytuowano figury św. Jana Nepomucena i Matki Bożej. Natomiast w Podhorcach w 1745 r. na wysokich, wznoszących się ponad miasto kolumnach, zostały ustawione rzeźby Matki Bożej Niepokalanie Poczętej i św. Józefa.

Agnieszka Szykuła



Marek Szymaniak

Spłacić dług pamięci

Drugi dzień Nowego Roku to zarazem pierwszy śnieżny dzień w Krasnymstawie. Słońce uparcie próbuje prześwitywać przez gęste chmury, by zmienić stan skupienia świeżo usypanego białego puchu. Nadaremnie - skurczone słupki termometrów już kolejny dzień nie sięgają zera. Metalowa furtka, wydając piskliwy jazgot, otwiera przede mną ścieżkę do ceglanego parterowego domu krasnostawskiego malarza Witolda Gilarowskiego. Nie ma dzwonka - zmarniętymi dłońmi stukam w mocne, drewniane drzwi.

- Dzień dobry - mówi gospodarz, starszy mężczyzna w okularach i swetrze, z kilkunastu letnim zarostem, zapraszając do środka - sporo napadało i zimno trzyma. Proszę dalej - pokazuje ręką gościnny pokój - tam cieplej, napaliłem w piecyku. Teraz sam mieszkam to tylko tutaj napalę i ciepło - tłumaczy malarz.

Pokój od progu wita mnie rozgrzanym powietrzem, do zmarniętych na kość kończyn wraca czucie, a skóra moich policzków nabiera cieplejszych barw. Witold Gilarowski z uśmiechem opowiada o swoim synu, prezentuje także liczne olejne obrazy zdobiące ściany jego domu.

- Pierwszy raz - rozpoczyna niepewnie, zawieszając wzrok w przestrzeni - dowiedziałem się o Edwardzie Godlewskim, gdy zobaczyłem ogłoszenie zapraszające na jego wystawę w domu kultury czy muzeum. Nie pamiętam dokładnie. Wtedy tak naprawdę dowiedziałem się o nim i zobaczyłem jego obrazy. Jakiś czas później Godlewski dowiedział się o mnie, o tym, że i ja maluję, szybko mnie odwiedził - mówi wyraźnie skupiony i zamyślony malarz.

- Pierwsze spotkanie? To było ponad 30 lat temu; odwiedził mnie. Był średniego wzrostu i miał bujną brodę. Mówił co robię źle malując, jakie popełniam błędy. Wskazywał pomyłki, tłumaczył i doradzał. Nie wywyższał się, robił to raczej na zasadzie koleżeńskiej pomocy. Choć dla mnie to była wielka pomoc i może dlatego maluję podobnie do niego. Choć mnie interesowała też inna tematyka - wspomina gospodarz.

- Jego pracownia znajdowała się w domu przy ulicy Kościelnej. Widok z jego okna padał na podwórze urzędu miasta. Z kuchni i reszty mieszkania można było patrzeć na ulicę i miasto - Gilarowski, na pytanie o wnętrze mieszkania milknie i wraca pamięcią do tych odległych czasów. W końcu zaczyna - Pamiętam, w domu miał mały

portret dziewczyny w okrągłej ramie, mówił, że namalował jej niebieskie oczy. To był bardzo dobry obraz, choć nie wiem, czy ktoś mu pozował, czy ta kobieta była jakimś wyobrażeniem. Jego mieszkanie pełne było obrazów, chyba jak u każdego malarza - kończy.

- Rozmawialiśmy tylko na tematy malarskie. Gdy patrzył jak maluję, dawał mi wiele wskazówek, i wiele w ten sposób nauczył. Wiele razy sam pokazywał mi swoje obrazy, a miał ich wiele. Uwielbiał malować. Mówił: szkoda czasu, szkoda czasu, i tylko malował. Robił to dokładniej i wolniej niż ja, a jego prace charakteryzowały się wielką dbałością o szczegóły. Tematyka, którą się zajmował to głównie przyroda, choć nie tylko. Wiele malował na zamówienie. Gdy kiedyś go odwiedziłem, malował jakąś scenę z II wojny światowej, a innym razem - obraz zachodzącego słońca. Także nie ograniczał się do ściśle jednej tematyki. Jego głównym zainteresowaniem było malarstwo i tylko temu poświęcał czas. Myślę, że nawet jeśli miał inne zainteresowania to musiał je dobrze ukrywać, bo nigdy o nich nie słyszałem. Dla niego liczyło się tylko malarstwo i temu cały się oddawał - wspomina Witold Gilarowski.

- Ostatni obraz Godlewskiego, jaki pamiętam, to dzieło z dwoma płonącymi świecami - malarz zawiesza głos i milczy - To był taki dobry, pozytywnie nastawiony do innych ludzi człowiek. Dobrze, że ktoś się jeszcze nim zainteresował. Ale nie będzie panu łatwo, bo to było tak dawno, że właściwie niewiele więcej mogę sobie przypomnieć... - kończy z bezradnym uśmiechem, miły starszy człowiek. Żegnamy się, życząc wzajemnie dobrego i szczęśliwego Nowego Roku.

Kościelna 5

Kamienica w samym centrum Krasnegostawu przy ulicy Kościelnej. W budynku, w którym niegdyś żył i pracował malarz Edward Godlewski mieszka dziś Marta Gilowska. Wejście do kamienicy odnajduję z podwórza, i szybko wchodzę po schodach. Spotykam na nich elegancką kobietę-malarkę, z którą miałem porozmawiać o życiu i twórczości krasnostawskiego artysty.

Mieszkanie malarki szczerze wypełniają gustowne meble, a na ścianach pełno olejnych obrazów różnej wielkości. W pokoju, gdzie rozmawiamy, uroczą atmosferę tworzą dwie palące się lampki, a ciszę między słowami wypełnia muzyka wydobywająca się ze stylowego gramofonu grającego fortepianowy koncert.

- Edward Godlewski urodził się 25 maja 1913 roku w Kobryniu, na terenie dzisiejszej Białorusi. Wspominam go jako człowieka bardzo inteligentnego, kulturalnego. Z pewnością

pochodził z rodziny inteligenckiej. O ojcu nie wspominał, więc pewnie musiał wcześniej go stracić. Mówił natomiast o matce. Wspominał jak chodził z nią do teatru, czy to jak grała na pianinie - mówi wyraźnie poruszona Marta Gilowska - Jego sposób bycia, rozumowania, wskazywał na jego pochodzenie. Był wychowany z zasadami, a jako człowiek był bardzo sympatyczny. Potrafił rozmawiać godzinami o wszystkim, nie tylko o sztuce, czy malarstwie. Godlewski był człowiekiem o szerokich horyzontach; rozmowa z nim była wielkim wyzwaniem i przyjemnością - wspomina malarka - Z całą pewnością chodził do gimnazjum. Czy je ukończył nie wiem, ale jego zasób wiedzy był ogromny. Kiedyś absolwent dobrego gimnazjum to już był intelektualista.

- Zaraz po wojnie ożenił się i wraz z żoną, która pochodziła z pobliskiej Izbicy, zamieszkał w Krasnymstawie - wspomina kobieta - Tam zaprzyjaźnił się z właścicielem apteki, panem Szczesnińskim, który dał mu mieszkanie. W tamtym czasie państwo zabierało własności bogatszym ludziom, więc aptekarz szybko załatwił przekazanie mieszkania na ul. Kościelnej krasnostawskiemu malarzowi. Jego żona nie malowała, ale była jego pierwszym krytykiem. I jeśli coś się jej nie podobało w obrazie, to po pewnym czasie Godlewski sam dochodził do wniosku, że żona ma rację - mówi artystka.

- Prywatnie, Edward Godlewski grywał w brydża ze znajomymi. Bardzo to lubił. Co ciekawe, nieźle wychodziło mu też śpiewanie. Śpiewał, romanse, utwory rosyjskiego pieśniarza, Wertyńskiego. Ach... - wzdycha kobieta - pięknie śpiewał, a my z wielką przyjemnością słuchaliśmy jego śpiewu - wspomina.

Malarstwo

- Tematyka - zaczyna Marta Gilowska - jaką zajmował się Godlewski, to z początku plener, a z czasem pracował już tylko w pracowni, która kiedyś, co ciekawe, sąsiadowała z moim pokojem, w tym mieszkaniu - artystka z gracją zawiesza głos i kontynuuje - był wszechstronny, a tematyka jego prac - różnorodna. Umiał namalować wszystko - od koni, przez portrety, do pejzaży czy obrazów batalistycznych. Szczególny obraz, jaki zapamiętałam, to jego portret, który sam namalował, patrząc w lustro. Efekt był niesamowity - wspomina - Lubił pejzaże z wiejskimi chatami, czy malowniczymi obrazami przyrody. Pamiętam - mówi z energią kobieta - że został nagrodzony australijską nagrodą „Bumerang” za obraz „Morskie Oko” namalowany techniką olejną. To był naprawdę udany obraz - kończy.

Marta Kujawska-Gilowska *foto: M. Szymaniak*

- Godlewski był bardzo utalentowany, szkoda, że los nie dał mu lepszej szansy na rozwój - mówi artystka - Krasnostawski malarz nie dostał od losu, co mógłby, bo gdyby historia za mocno nie wtrącała się w życie człowieka, to dostałby on wiele więcej. Na to, co zasłużył. Gdyby nie wojna - kontynuuje - mógłby osiągnąć więcej, rozwijać swój talent na uniwersytecie, studiować, a tak miał bardzo ciężkie życie. Nie był z pewnością człowiekiem spełnionym do końca. Przez wojnę i doświadczenia młodości, a potem komunę nie mógł całkowicie rozwinąć skrzydeł. Nie był typem człowieka przebojowego, a raczej - jak to artysta - z głową w chmurach... - mówi zdumiona kobieta.

- Mieszkając w Krasnymstawie, utrzymywał się z malowania, ale zasadniczym dochodem rodziny była pensja pracującej żony. Choć i on miał sporo zamówień, szczególnie pod koniec lat siedemdziesiątych. Kiedy to czasy stały się lepsze, łatwiej było o materiały, farbę i samych klientów było więcej - opowiada artystka - Kiedy synowie dorosli i został sam z żoną, malował wtedy swobodnie i ogólnie wiodło im się już lepiej - mówi Gilowska.

- Godlewski był człowiekiem wyjątkowym. To, co on przeszedł mało kto w ogóle może sobie wyobrazić. Gehenna lat wojennych i dzieciństwa odbiły się na jego późniejszym życiu i twórczości. Ale mimo takich doświadczeń, miał w sobie dużo pogody ducha i filozoficznego spokoju. Załamała go dopiero śmierć żony - kończy milcząca artystka.

Pamięć

- Bez pamięci tego, co dawniej, nie ma nas teraz, naszej rzeczywistości i przyszłości - mówi Marta Gilowska - Pamięć tak wspianego człowieka musi zostać utrwalona. Wiele lat rozślawiał on nasze miasto, więc jesteśmy mu winni tę pamięć i wspomnienie. Tacy ludzie są solą ziemi krasnostawskiej. Nie możemy o nich zapominać - kończy.

Marek Szymaniak

Zbigniew Atras



architektoniczny ład starego miasta

Krasnostawskie stare miasto nie istnieje, ale zachował się średniowieczny układ urbanistyczny, powstały w końcu XIV wieku. Wytyczony po lokacji miasta rynek wraz z wybiegającymi z jego naroży ulicami, ułożonymi szachownicowo, z których główne: Lubelska (obecnie Poniatowskiego) i Krakowska (Piłsudskiego) prowadziły ku bramom miasta, istnieje w niezmienionym kształcie do dnia dzisiejszego. Pierwotna zabudowa rynku utrzymana była prawdopodobnie w stylu gotyckim, a domy murowano z kamienia i cegły. Liczne wojny, najazdy tatarskie i pożary zniszczyły średniowieczne kamienice mieszczańskie i stary, gotycki ratusz miejski. Na fundamentach zburzonych budynków powstawały nowe. Zmieniały się style architektoniczne, jednak stare, gotyckie fundamenty i piwnice pozostawały jak skała, na której po kolejnych zniszczeniach wznoszono nową zabudowę krasnostawskiego rynku. Największe zmiany zaszły na bocznych ulicach starego miasta, gdzie dominowało budownictwo drewniane. Dzisiaj nie pozostał po nim żaden ślad. Tak znikła stara, drewniana cerkiew św. Paraskiewy i drewniany kościół Bonifratrów p.w. Świętego Krzyża. Nie ma już także obronnych murów miejskich z bramami wjazdowymi i basztami, królewskiego zamku i starej katedry Wszystkich Świętych. Obiekty te zostały rozebrane po wielkim pożarze w 1811 roku, a uzyskany materiał budowlany wykorzystano do odbudowy. Wtedy też wytyczono ulicę Nowomiejską (obecnie to ulice Matysiaka i Okrzei), która przejęła rolę głównego szlaku komunikacyjnego miasta.

Pomimo wielokrotnych zniszczeń i następującej po nich odbudowie, oraz wymienionych wcześniej zmian zagospodarowania, krasnostawskie stare miasto zachowało swój pierwotny układ i urok. Większość istniejących kamieniczek rynku została wzniesiona (odbudowana) w XVIII i XIX wieku w stylu późnobarokowym i klasycystycznym. Najstarsze z nich pamiętają wizytę ostatniego polskiego króla, Stanisława Augusta Poniatowskiego, w 1787 roku. W panoramę rynku i starego miasta dobrze wkomponował się nowy ratusz miejski, gmach Sejmiku Krasnostawskiego i dawny budynek starostwa (Urząd Pracy).

Okres zaborów zahamował rozwój miasta. Zaborca niszczył charakter polskich miast, a nawet pozbawiał ich praw miejskich. Taki los spotkał Gorzków, Tarnogórę, Izbicę, Wysokie, Turobin, Żółkiewkę i Kraśniczyn - dawne miasta ziemi krasnostawskiej. Krasnystaw zachował prawa miejskie, ale stracił bezpowrotnie wiele zabytków. Na rynku zasadzono drzewa, likwidując w ten sposób centralny plac miasta, miejsce spotkań i zgromadzeń jego mieszkańców.

Po odzyskaniu niepodległości, miasto ponownie zaczęło się rozwijać. W latach 70. i 80. XX wieku powstały duże zakłady przemysłowe i osiedla mieszkaniowe. Wybudowano obwodnicę i przeprowadzono renowację północnej pierzei krasnostawskiej starówki, w wyniku czego stare i zaniedbane kamieniczki mieszczańskie odzyskały swój dawny kształt i blask. Zakończona niedawno rewitalizacja nadała rynkowi całkowicie nowy wygląd, przywracając jego dawny, reprezentacyjny charakter i tworząc atmosferę przytulności i architektonicznego ładu. Teraz widać wyraźnie piękno odnowionych kamieniczek mieszczańskich, zwłaszcza północnej i wschodniej pierzei rynku. Niestety, wyrazistości nabrały też kamienice zaniedbane. Rażą różnego rodzaju komórki i przybudówki znajdujące się na bocznych ulicach w sąsiedztwie rynku. Szczególnie kłócą się z otoczeniem, znajdujące się na starówce budynki postawione w okresie socjalizmu, które w żaden sposób nie pasują do stylu starego miasta. Należą do nich: blok mieszkalny przy ulicy Matysiaka (przy starym sądzie), budynek Ruchu (Kredyt Bank), kamienice na rogu ulic Matysiaka i Podwale, budynek Telekomunikacji, budynek Społem na ulicy Poniatowskiego, pawilon handlowy Merkury, dwa pawilony handlowo-usługowe i sąsiadujący z nimi budynek dworca PKS, hala dawnej Gracji, gmach Kartonexu, dom za starą karczmą przy ulicy Jezuickiej, blok mieszkalny z wysokim kominem przy ulicy Partyzantów, nowo wybudowany budynek handlowy obok ARiMR przy ulicy Browarnej i kilka innych. Większość z wymienionych obiektów wybudowano przed laty, są jednak i takie, które powstały w ostatnim czasie. Z jednej strony miasto (i powiat) wydaje olbrzymie środki z własnego budżetu i zdobywa fundusze unijne na realizację projektów rewitalizacji starówki w jej historycznej zabudowie, z drugiej pozwala

na wznoszenie budynków, które nie pasują do zabytkowego otoczenia. Na starym mieście powinien bezwzględnie być przestrzegany obowiązek utrzymania jednolitego stylu architektonicznego. Dzieje się, niestety, inaczej. W okresie prowadzenia prac rewitalizacyjnych rynku, wykonywano remont apteki przy placu 3 Maja, znajdującej się w bezpośrednim sąsiedztwie Urzędu Miasta. W zabytkowej i pięknej kamienicy mieszczańskiej wstawiono współczesne witryny okienne, w żaden sposób nie pasujące do stylu budynku. To nie pierwsze takie działanie lubelskiego Cefarmu, właściciela apteki. Przed laty wywieziono z tego lokalu stare, zabytkowe meble, które złożono w magazynach firmy w Lublinie, a Krasnystaw stracił bezpowrotnie jedyną w mieście aptekę, utrzymaną w dawnym XIX-wiecznym stylu. A przecież mogło być inaczej. Także nowy budynek handlowy przy ulicy Browarnej, a zwłaszcza jego frontową elewację można było bez problemów i większych wydatków przystosować do otaczającej go zabudowy. Niestety powstało to, co widać, tymczasem po drugiej stronie ulicy, znajdują się dwie kamieniczki, które są najlepszym przykładem, jak powinna wyglądać nowa zabudowa starego miasta. Do pozytywnych przykładów stylowego budownictwa należy zaliczyć także (choć na razie nie do końca) duży budynek handlowy na ulicy Poniatowskiego, obok pawilonu Merkury. Pomimo jego nowoczesnego wyglądu, oraz niewykończonej frontowej elewacji, bardzo łatwo może on zmienić swój wygląd i upodobnić się do zespołu czterech kamieniczek miejskich z podcieniami i miejmy nadzieję, że tak się w końcu stanie. Co zrobić, aby te pozytywne przykłady znajdowały licznych naśladowców wśród przyszłych inwestorów? Może zachętą byłoby ustanowienie i coroczne przyznawanie nagrody burmistrza Krasnostawu za najlepiej wkomponowany architektonicznie i stylowo budynek starego miasta. Można też „wyróżniać” inwestycje najgorsze, burzące architektoniczny ład starówki. Coś w stylu, przepraszam za wyrażenie, architektonicznych pereł i wieprzów. Potrzeba też bezwzględnych i stanowczych działań administracyjnych w tym zakresie. Inaczej, krasnostawskie stare miasto, pomimo wydawanych środków i wykonanych prac rewitalizacyjnych, będzie brzydkie i bezstylowe. Swoją drogą, ciekawe co takiego zafunduje miastu i jego mieszkańcom, właścicielka działki położonej przy ulicy Piłsudskiego, naprzeciw kościoła św. Franciszka. Oby tu stała się piękna i stylowa kamieniczka mieszczańska, będąca ozdobą całego placu Katedralnego.

Zbigniew Atras



Pawilon przy ulicy Poniatowskiego



Rynek - plac 3 Maja



Ulica Browarna

foto: Z. Atras

Wiersze poetów z Łęcznej

Maria Majka Zuzńska

nasyceniem doznań
wypełniona
powracasz
by uśmiechać się
do wyobrażeń
o tym
co się nie zdarzyło
a spadające anioły
zawsze dotykają
łez

Małgorzata Radzik

spotkałam
i nie mogłam zasnąć
dotknęłam
i zaczęłam marzyć
rozmawiałam
i czas się zatrzymał
kochałam
i chciałam umrzeć
niknąłeś
stawałam się bólem
zamiast zabić wspomnienia
popelniłam samobójstwo
nie otwierając duszy

Zofia Łatecka

zawitałeś
pod płaszczykiem miłości
dałeś sobie prawo

nikt nie zauważył
gdy zawisłam mgiełką
zepchnięta z drogi
wąskiej jak nić

dzisiaj otrząsam
krople bez smaku
w słoneczny poranek

Marta Studniarz

częścią bycia razem
jest ta oddzielność
upragniona
nie szukam zbliżeń
w odbiciu poprzednich nocy
kolejnych
nieoczekiwanych
wyglądam

Barbara Korczycka-Żuk

MGŁY SEMANTYCZNE

nazwisko mam dłuższe
niż wiersz
który napisałam do ciebie
na zakurzonej szybie

ale nocą spadł deszcz moich łez

odchodzę
noga za nogą
trzymają mnie tylko świty
bo zmierzch niepełny
radość została w opłotkach
a marzenia rozkruszyłam na drobne
i rozsiałam w twoim
ogródku

a teraz samotnie trwam
we wrotach pobliskiego lasu
nawlekając na pajęczyny
mgły semantyczne

Dorota Zając

Śniła mi się
Franklin Street nocą
bezsennie kwiaty miasta
w ażurowej ciemności mostu
echo zakazanych kroków
pusta kamienna ławka

Alicja Wiech

Czy można zobaczyć ciemność?

Czy można zobaczyć ciemność? Nie, przecież ciemności nie widać! Ciemność jest czarna. Ale skąd wiadomo, że jest czarna, skoro jej nie widać? A może, żeby ją zobaczyć, należałoby zapalić światło? *Musi być dosyć światła, żeby przy nim widzieć ciemność* (T. Pratchett, *Ruchome obrazy*). Nie, wtedy przecież ciemność zniknie, zobaczymy tylko jasność. *Ciemność jest szczodra, jest cierpliwa i zawsze zwycięża, ale w samym sercu jej siły leży jej słabość: wystarczy jedna, jedyna świeca, by ją pokonać* (z filmu *Gwiezdne wojny: Zemsta Sithów*). No to jak można zobaczyć ciemność? Czy to w ogóle jest możliwe? Chyba jednak niewykлучzone. Maks (J. Stuhr) w znanym filmie *Seksmisja* (reż. J. Machulski) mówi po wybudzeniu ze stanu hibernacji: *Ciemność, widzę ciemność, ciemność widzę*. To zdanie oczywiście śmieszne, ale jednak możemy powiedzieć coś o ciemności tylko na podstawie obserwacji wzrokowej. Bo co „widzimy”, gdy zamkniemy oczy? - ciemność i czerń. Chyba każdy na pytanie: jaka jest ciemność? - odpowie bez większego namysłu, że czarna. A jaka przez to tajemnicza?!



Ciemność

Można zdefiniować ciemność jako brak światła. W ciemności nic nie widać. Ale nie jest to definicja precyzyjna. Światło to tylko widzialna część widma promieniowania. *Wszystko świeci pożyczonym światłem. Czy chociaż ciemność jest naszą własnością?* (St. J. Lec). To, że czegoś nie widzimy, nie oznacza wcale, że tego nie ma. Przecież w ciemnym pokoju nadal stoją te same meble. Możemy je zobaczyć, stosując różne przyrządy, np. noktowizor. Każdy przedmiot, każde ciało emituje ciepło w postaci promieniowania podczerwonego. Dopiero w temperaturze zera bezwzględnego (-273,15°C) to promieniowanie zanika. Wtedy mamy prawdziwą ciemność.

A więc ciemność to nie tyle brak światła, to raczej brak promieniowania. Rozumując w ten sposób, można zaryzykować twierdzenie, że ciemności nie widać.

*Miałem dziwny sen, może i nie całkiem senny
Zdało mi się, że nagle zagasnął blask dzienny,[...]
Znikły chmury - to dawne ciemności narzędzie
Stało się niepotrzebnym - ciemność była wszędzie.*

(A. Mickiewicz, *Ciemność*)

A może na ciemność należałoby popatrzeć z innej strony? Może nie chodzi tu o emisję światła? Może ciemność pochłania całe dochodzące do niej promieniowanie? W fizyce istnieje takie pojęcie. To ciało doskonale czarne. W fizyce, jak w fizyce - trudno znaleźć ideał. Ciało doskonale czarne istnieje tylko teoretycznie. Częściej można mówić o ciele doskonale szarym. Ale przecież szarość to nie ciemność... W każdym razie ciemność kojarzy nam się z czernią. I wcale nie jest to skojarzenie pozytywne! *Ciemność bez względu na powód swego istnienia, jest straszna i przerażająca. Pochłania człowieka dokładnie, wykrzywia jego istnienie, rozrywa i niweczy. Kto czuje się bezpieczny w absolutnej ciemności? Kto wierzy w potrzebę istnienia ciemności? W ciemności wszystko łatwo się wygina, przekręca, znika. I pustka będąca istotą ciemności wszystko pochłania* (H. Murakami, *Tańcz, tańcz, tańcz*). *Ciemności będą zawsze ciemnościami i niech nikt mi nie mówi, że błędzenie wśród nich omackiem jest przyjemnością* (J. Ujejski), chociaż przysłowie mówi też przewrotnie: *Jak ciemno, to przyjemno*, a mistrz Jan Sztaudynger jest bardziej konkretny: *Cisza i ciemność potęgują wzajemność*, tak jak arcy mistrz William Shakespeare (*Romeo i Julia*): *Słepym w miłości ciemność jest najmiłsza*.

Co to? ciemność smutna

Na tron upadła i nam na oblicza

(J. Słowacki, *Balladyna*)

Ciemność i czerń to zło, strach, smutek, śmierć, piekło, diabeł, noc. *Ciemność... Boisz się? Ja nie. To ona boi się mnie...* (R. B. Riddick, *Ucieczka z Butcher Bay*). *A służę nieużytecznego wyrzucie na zewnątrz - w ciemności! Tam będzie płacz i zgrzytanie zębów* (Biblia, Mt. 25, 30). Zapadająca ciemność to jeden z bardziej niesamowitych objawów całkowitego zaćmienia Słońca.

- Odwracam oblicze moje od przeklętego ludu i niech na ziemię spadnie ciemność...

I stała się rzecz okropna: w miarę jak głos mówił, słońce traciło blask. A wraz z ostatnim słowem zrobiło się ciemno jak w nocy. (B. Prus, *Faraon*). Ciemności towarzyszyły konaniu Chrystusa na krzyżu: *Było już około godziny szóstej i mrok ogarnął całą ziemię aż do godziny dziewiątej* (Biblia, Łk. 23, 44).



A. van Dyck, *Chrystus na krzyżu*.

W świadomości człowieka kolor czarny ma jednoznacznie negatywne skojarzenia: *czarna magia* (uprawiana przy pomocy złych duchów), *czarna msza* (świętokradcza, satanistyczna), *czarna śmierć* (dżuma), *czarna owca* (osoba piętnowana), *czarna bandera* (piracka), *czarny humor* (makabryczny), *czarne myśli* (pesymistyczne), *czarna godzina* (trudny okres), *praca „na czarno”*, *czarna lista*, *czarny rynek*, *czarny charakter*, *czarna polewka*.

Soplicy Horeszkowie odmówili dziewczkę!

Że mnie, Jackowi, czarną podano polewkę!

(A. Mickiewicz, *Pan Tadeusz*)

Szczególne bolesne dla finansistów są czarne dni na giełdzie - *czarny piątek* - panika na Wall Street 19 IX 1873 r. lub *czarny wtorek* 29 X 1929 r. - krach rozpoczynający wielki kryzys światowy. Powszechnie wiadomo, że czarny kot przynosi nieszczęście. Wyjątkiem jest chyba tylko *Chat-Noir* - kawiarnia i kabaret na Montmartrze w Paryżu. Kolor czarny jest kolorem żałoby. W czarnym ubraniu przedstawiane są diabły. Szatan jest *Księciem Ciemności*. *Szatan w ciemności łowi, jest to nocne zwierzę* (A. Mickiewicz). Na czarno - jakżeby inaczej - nosili się czarnoksiężnicy, czarne koszule ubierali faszysty Mussoliniego. W innych

kulturach czerń może mieć odmienne, często bardzo odległe znaczenie. W Chinach to kolor szczęścia, a wśród Indian - kolor życia. Ale nawet w naszym kręgu kolor czarny zaczął nabierać nieco innego charakteru. Stał się przydomkiem władców, rycerzy, np. *Leszek Czarny*, *Zawisza Czarny*, *Czarny Książę* (Edward, książę Walii). W wieku XX stał się symbolem elegancji, luksusu, wyrafinowania. Oznaką dobrego smaku były „małe, czarne” sukienki, czarne garnitury, czarne samochody Ford. Czerń preferowana jest w wielu subkulturach, np. wśród fanów muzyki heavy metalowej. W łowiectwie, czarna stopa oznacza kawałek ziemi niepokryty śniegiem. Czarnym jest ubiór księży, kleryków, niektórych zakonników (jezuici) - to znak pokory i wyrzeczenia. Czarny bywa też kolorem świętości. Znane są *Czarne Madonny*, np. będący celem licznych pielgrzymek słynny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Pieśń mówi: *Madonno, Czarna Madonno, jak dobrze Twym dzieckiem być*. Największą świętością muzułmanów jest Czarny Kamień *Hadżar* wbudowany w jeden z narożników świątyni Kaaba w Mekce, który miał przynieść tam archanioł Gabriel. Jest on celem pielgrzymek milionów wyznawców islamu.

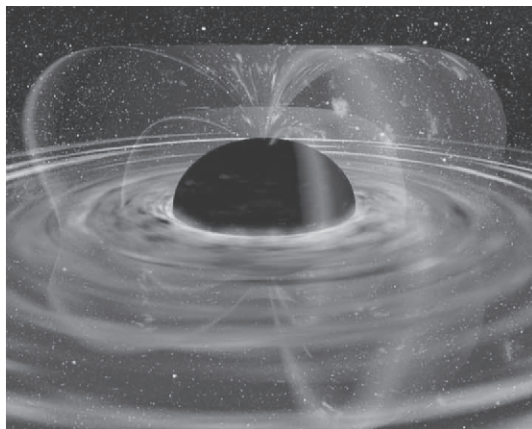


Częstochowska Czarna Madonna



Mekka, Świątynia Kaaba

Budzącymi ciekawość obiektami astronomicznymi są czarne dziury. Nikt ich nie widział, a ich właściwości są zaskakujące. Oddziałują one tak silnie na swoje otoczenie, że nawet promień światła nie jest w stanie pokonać siły ich grawitacji i uciec w przestrzeń. Czarna dziura nie tylko jest obiektem niewidocznym, bo nie wysyła żadnego promieniowania, ale bezpowrotnie pochłania też wszystko, co znajdzie się w polu jej oddziaływania grawitacyjnego.



Czarna dziura - wizja artysty

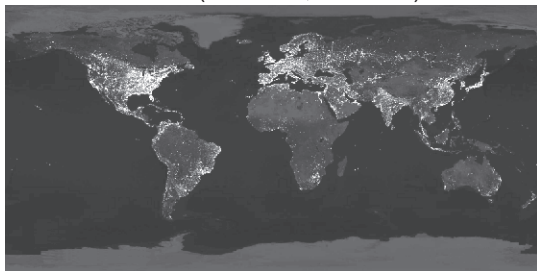
Księga Rodzaju mówi: *Ziemia zaś była bezładem i pustkowiem: ciemność była nad powierzchnią bezmiaru wód, [...] Bóg widząc, że światłość jest dobra, oddzielił ją od ciemności. I nazwał Bóg światłość dniem, a ciemność nazwał nocą. Pierwsze skojarzenie z ciemnością? - noc.*

*Jedni się rodzą dla radości,
Inni dla nocy i ciemności.*

(W. Blake)

*Ta czarna noc:
Ciemność jedynie
W ciemności legła głębinie
(J. Kasprzowicz, Nad przepaściami)*

Czasem noce są zbyt ciemne, by je ujrzeć (St. J. Lec). Chociaż częściej noce wcale nie są takie ciemne. Rozjaśniają je gwiazdy, Księżyc, zorze, a także latarnie, neony i wszystkie inne światła używane przez człowieka. Nocne niebo w dużym mieście nigdy nie jest czarne. *Kiedy wszystko ogranicza ciemność, Bóg zapala gwiazdy, aby nas bezpiecznie przeprowadzić przez noc* (P. Bosmans). *Najciemniej jest tuż przed wschodem słońca* (P. Coelho, Alchemik).



Ziemia w nocy - światła miast

Ale rzeczywiście ciemno - i to nie tylko w nocy - było u zarania dziejów w Egipcie. Opisuje to Księga Wyjścia: *I rzekł Pan do Mojżesza: „Wyciągnij rękę ku niebu, a nastanie ciemność w ziemi egipskiej tak gęsta, że można będzie dotknąć ciemności”*. Wyciągnął Mojżesz rękę ku niebu i nastąpiła ciemność gęsta w całej ziemi egipskiej przez trzy dni. Jeden drugiego nie widział i nikt nie mógł wstać z miejsca swego przez trzy dni (Ex., 10, 21-23). Tej ciemności chyba nie można było zobaczyć, chociaż można było jej dotknąć. Z woli Boga Egipt wtedy *tonął w ciemnościach* (egipskich oczywiście). Istnieją takie miejsca, które trzeba i można oglądać jedynie w ciemnościach (C. R. Zafón). Inny rodzaj ciemności - kimeryjskie - opisuje Homer w Odysei:

*Widzim kraj. Kimmeryjscy siedzą w nim
mieszkańcy,
Którzy w mgle i ciemnicy brodzą ustawicznie;
Nigdy bowiem nie spojrzy na nich Helios śliczny,
Ani kiedy na niebo ugwieżdżone wkracza,
Ani kiedy ku ziemi ze szczytów się stacza;
Zawsze też lud ten nędzny w grubej nocy brodzi.*

Ciemność może opisywać też stan umysłu - człowiek ciemny to człowiek nieoświecony, zacofany. Są tacy, co nie potrzebują nocy. *Ciemność promieniuje z nich* (St. J. Lec). Stąd też termin *ciemnogród* jako miejsce, gdzie panuje ciemnota i zabobon. Określenie to wprowadził w powieści *Podróż do Ciemnogrodu* Stanisław Kostka Potocki. *Ciemna strona każdego człowieka. Każdy z nas ma dwa oblicza duszy: ciemną i jasną* (J. Conrad, *Jądro ciemności*). *Można usprawiedliwić błądzenie w ciemności, ale nie w ciemnocie* (J. Werbiński). Trwające od końca V wieku do połowy X wieku *wieki ciemne* nazywane

są tak ze względu na powszechny upadek kultury w tym czasie i skąpe źródła pisane pochodzące z tego okresu. Bywają ludzie *urodzeni pod ciemną gwiazdą*. A niektórzy trafiają do ciemnicy. *Czy są tu ciemnice w tym zamku?* - *Są, rzekł Klucznik* (A. Mickiewicz, *Pan Tadeusz*). Śniesz o ciemności - *nadejdą dla ciebie złe czasy; wyjdzie z ciemności zwiastuje ratunek z niebezpieczeństwa*.

Brak światła wpływa bardzo niekorzystnie na ludzi. Długie przebywanie w ciemnościach odbija się na zdrowiu - ogarniają człowieka depresja, zwątpienie, stany lękowe. U mieszkańców terenów podbiegunowych występuje w czasie nocy polarnych syndrom braku światła słonecznego. Jednym z głównych jego objawów są zaniki pamięci. A ratunkiem jest sztuczne doświetlanie. *Tylko w pochlaniającej wszystko pustce samotności, w ciemnościach zacierających kontury świata zewnętrznego można odczuć, że się jest sobą aż do granic zwątpienia* (G. Herling-Grudziński, *Inny świat*).

*W ciemności schodzi moja dusza,
W ciemności toń bezdenną,
Pół elizejskich już nie widzi,
Zawisła nad Gehenną.*

(J. Kasprzowicz, *W ciemności schodzi moja dusza*)

W całkowitych ciemnościach nic nie widać, ale czy to znaczy, że samej ciemności też nie widać? *Jestem w ciemności i próbuję widzieć jasno* (A. Camus, *Dżuma*). Ciemność jest fascynująca, tajemnicza, budząca uczucie strachu, niepewności, nieodwracalności. *Ciemność łączywie dni jasne pożera. Ciemność żąda i wszędzie dociera. Ciemność słucha, patrzy i czeka. Ciemność dniem rządzi, z triumfem nie zwleka. Czasem w milczeniu ciemność nadchodzi. Czasem w radosnych werbli powodzi* (D. R. Koontz). Ile razy w dzieciństwie, gdy gasło światło w pokoju nie mogliśmy zasnąć, bojąc się ciemności? Z tego się wyrasta, ale niekoniecznie. Paniczny, niczym nieuzasadniony lęk przed ciemnością określany bywa jako nyktofobia. *Patrząc na ciemność lub śmierć boimy się nieznanego - niczego więcej* (J. Rowling, *Harry Potter*). *Za bardzo pokochałem gwiazdy, by bać się nocnych ciemności* (Galileusz). W mroku świat wygląda zupełnie inaczej - traci kolory, staje się groźny, budzi strach. Ciemność to wielka niewiadoma. *Chodźcie, dopóki macie światłość, aby was ciemność nie ogarnęła. A kto chodzi w ciemności, nie wie, dokąd idzie* (Biblia, Jn. 12, 35). *Lepiej zapalić niewielkie światelko, niż przeklinać wielką ciemność* (Konfucjusz).

Trzeba też powiedzieć konkretnie: cóż warto byłoby światło, gdyby nie było ciemności? Tylko w absolutnych ciemnościach mógł Pan Bóg powiedzieć: *Fiat lux!* To one pozwalają człowiekowi „zabłysnąć”. *Cnota i w ciemnościach świeci; fałsz w*

ciemności uchodzi (przyst.). Do czego potrzebne byłyby oczy, gdyby istniała tylko ciemność? Niektóre żyjące w ciemnościach ryby głębinowe i jaskiniowe nie mają oczu. A dla niektórych właśnie ciemności są promykiem nadziei (M. M. Szargan). Trzeba tylko iść naprzód, w ciemnościach trochę na oślep i próbować czynić dobrze (A. Camus). Miłość jest ślepa, dlatego lubi ciemność (J. Giegier).

A sztuka? Jedna z najśłynniejszych muzycznych płyt wszech czasów to *Ciemna strona Księżyca* (*The Dark Side of the Moon*) zespołu Pink Floyd. *The Darkness* - tak nazywa się brytyjski zespół rockowy. Ciemność to doskonała sceneria dla horrorów. Jest ich wiele: *Ciemności* (*Tenebrae*) - amerykańsko-włoski horror o wątku kryminalnym (reż. D. Argento), *Ciemność* (*Darkness*) hiszpański film dla ludzi o mocnych nerwach (reż. J. Balagueró) czy kanadyjski *Strach przed ciemnością* (*Fear of the Dark*) w reż. K. C. Bascombe. *Potęga ciemności* to tytuł dramatu Lwa Tołstoja, a także opowiadania Isaaca Bashevisa Singera. William Golding napisał powieść *Widzialna ciemność* (*Darkness Visible*). Tytuł ten powstał z opisu piekła w *Raju utraconym* Johna Milтона:

*Loch ów straszliwy kręgiem go otacza
Jak palenisko rozległe, płonące;
Jednak nie pada blask z owych płomieni,
Lecz raczej ciemność widoma, służąca
Tylko odkryciu żalosnych widoków*

Powieść Jerzego Andrzejewskiego *Ciemności kryją ziemię* uważana jest za dzieło rozrachunkowe wobec stalinizmu. Jej tytuł zackerpnięty został z III części *Dziadów* Adama Mickiewicza:

*Ciemności kryją ziemię i lud we śnie leży,
Lecz dlaczego śpią ludzie, żaden z nich nie bada.
Przebudzą się bez czucia, jak bez czucia spały.*

Przysłowie zauważa mądrze: *Uczciwe postępowanie jest jak światło, nieuczciwe - jak ciemność*. Ciemność jest przeciwieństwem światłości, noc przeciwieństwem dnia, czerni - bieli, diabeł - anioła, piekło - nieba, grzech - świętości, życie - śmierci. *Pośród śmierci trwa życie, pośród kłamstwa trwa prawda, pośród ciemności trwa światło* (M. Gandhi). Popularne gry: szachy, warcaby, toczą się na czarnych i białych polach, czarnymi i białymi pionami. *Ciemność ma swoje jasne strony* (A. Kumor). Ciemność zostaje pokonana przez światło. *Światło, które oślepia, gorsze jest od ciemności* (T. Kotarbiński). Czerń nocy kończącej się świtem daje nadzieję odrodzenia, wyjścia na światło dzienne. *Brniemy w ciemności, blade przyświecając sobie nadzieją* (S. Nyczaj). To tak jak pierwszy promyk słońca po burzy. *Staraj się dojrzeć promyk światła tam, gdzie inni widzą tylko ciemności* (P. Coelho, *Podręcznik*

wojownika światła). *Kto wierzy w światłość, ujrzy ją, ciemność istnieje tylko dla niewierzących* (M. Gogol). *Po światło trzeba wchodzić w głęboką ciemność* (A. Kamińska). I nierozstrzygnięte wciąż pozostaje pytanie:

czy można zobaczyć ciemność?

Alicja Wiech

Prośba o 1% podatku na fundację Danuty Błażejczyk pn. Fundacja APETYT NA KULTURĘ, KRS 0000269051 z dopiskiem „Bogna Kicińska, studia w USA”.

Bogna Kicińska ukończyła szkołę muzyczną II st. w klasie skrzypiec w Krasnymstawie, największą jej pasją jest jednak śpiewanie. W 2004 roku zaczęła naukę w Policealnym Studium Jazzu w Warszawie przy ul. Bednarskiej w klasie Janusza Szroma. Miała zaszczyt pracować z nim oraz wspaniałym akompaniatorem Bogdanem Hołownią przez dwa lata. Równolegle zaczęła naukę na Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach. Uczyła się w klasie Lory Szafran a później Agnieszki Wilczyńskiej. W 2007 roku zaczęła studia magisterskie na tej samej uczelni u Grzegorza Karnasa, którą kończy w maju 2009 roku. Pragnie dalej kontynuować naukę na uczelniach w USA, które zapewniają najwyższy poziom edukacyjny na kierunku wokalu jazzowego. Ubiegając się o studia w USA, Bogna prowadzi korespondencję z Queens College w Nowym Yorku, Berklee w Bostonie i Frost School of Music w Miami. Talent Bogny został doceniony na Międzynarodowych Spotkaniach Wokalistów Jazzowych Zamość 2005, którego została laureatką. Drugim jej sukcesem jest zdobycie głównej nagrody na festiwalu Nadzieje Warszawy 2007. W sierpniu 2008 roku zajęła drugie miejsce na Międzynarodowym Konkursie Jazzowym dla Muzyków Śpiewających w Żorach. Tak o niej pisze Paweł Brodowski w miesięczniku Jazz Forum: „Bogna Kicińska (...) to prawdziwe odkrycie, wokalistka o szerokiej skali głosu, śpiewająca z wyczuciem, swobodnie improwizująca techniką scatu”

Bogna jest autorką muzyki jazzowej a także teatralnej m.in. do „Chaty za wsią” wystawianej w Siennicy Różanej.

Więcej informacji na
<http://www.myspace.com/bognakicinska>

Henryk Radej



Pracowity Dehnel

W ostatnich dniach listopada 2008 roku Jacek Dehnel objeżdżał okoliczne miasta z cyklem spotkań autorskich. Odwiedził Krasnystaw, Chełm, Zamość i Radzyń Podlaski. Tłumów nie było, choć jego poezja krąży już w opłotkach poetyckich Herberta, Miłosza. Larkina, Audena (dwóch ostatnich J. D. akurat tłumaczy), a na spotkania z tymi autorami publika parła kiedyś drzwiami i oknami. Ciekawe, czy dziś też by tak było? Nasze ministerstwo edukacji z powodzeniem mogłoby obwozić Dehnela po wszystkich szkołach w kraju jako przykład pozytywnego efektu dydaktyczno-wychowawczego w czasach nieustającej reformy oświatowej. W dodatku nadal mógłby udawać maturzystę, bo na takiego wygląda. Jak zwykle, prawda jest bardziej złożona. Przed laty szkoła wystawiała Dehnelowi tylko bardzo dobre świadectwa ze wszystkich przedmiotów, a już na pewno z humanistycznych. Z tego, co pisze i mówi, wnioskuję, że to wychowanie rodzinne, obcowanie ze sztuką od najmłodszych lat, chłopięca wrażliwość na literaturę, różnorodność świata i losy ludzi, a dopiero na koniec edukacji - nauka w elitarnym liceum i studia w stolicy, uczyniły z Dehnela tego, kim dzisiaj jest. Ponadto Gdańsk - zwłaszcza po roku 1980 - takie możliwości dostępu do dóbr kultury już mu zapewniał. Wiem coś o tym, bo pod koniec lat 80. bywałem w Gdańsku dość często. Jakże inne było to miasto od Warszawy, od Lublina, że o swoim nie wspomnę. W Gdańsku czuło się, że tu od wieków było i jest nadal okno na szeroki świat. Wiadomo, że każde otwarte okno działa w obie strony. Nawet, jeśli zamknięte, potrafi wypuścić wiele światła do wnętrza ciemnego pokoju.

Dzisiaj Jacek Dehnel liczy sobie tyle lat co ja, kiedy debiutowałem skromnym tomikiem wierszy. Z perspektywy czasu coraz bardziej widzę, jak lata stanu wojennego cofnęły moje pokolenie w rozwoju (pod każdym względem) prawie o dekadę. Teraz na swoje ćwierćwiecze zdolni autorzy mają już po kilka książek w bibliografii, prestiżowe nagrody, pełno ich w mediach. A może ja nie byłem taki zdolny? Niestety, minionego ćwierćwiecza nie da się wymazać. Mentalnie poeta ten jest mi bardzo bliski, i gdy czytam jego książki odnoszę wrażenie, że kiedyś też chciałem podobne przeżycia i w prawie taki sam sposób opisać. Motywy fotograficzne, motywy pociągowe, chwytywanie rzeczywistości w okamgnieniu - flesza lub brzytwa - to jest literatura! A grzebanie się w przeszłości, w książkach, zdjęciach, antykwariatach, starych historiach zawsze mnie pochłaniało bez reszty. Powroty do twardych realiów tego świata były na

ogół bolesne - przynajmniej dla mnie. Dla Dehnela - zapewne nie. On w najlepsze zmieniał rodzaj sztuki swoich zainteresowań, ja po lekcjach zmieniałem spodnie i koszulę, by w tumanie kurzu jechać do pracy w polu.

Z opowiadanej przez Dehnela anegdoty o tym, jak korespondował z Czesławem Miłoszem, i co noblista myślał na krótko przed swoją śmiercią o jego wierszach zamieszczonych później w tomiku „Żywoty równoległe”, wysnuć można wniosek, że Dehnel jest ostatnim poetą namaszczonego przez mistrza, który napisał: *Pojawienie się nowego i niewątpliwie prawdziwego poety jest zawsze rzeczą radosną, zwłaszcza jeżeli [...] mamy do czynienia z kimś zupełnie niezależnym od obowiązującej obecnie mody. Poetyka jego wierszy jest mi bliska i nie ukrywam, że ona to skłoniła mnie do tego pochlebnego sądu. Oczekuję po tym poecie wiele twórczych spełnień.*

Jacek Dehnel spełnia się nie tylko w poezji, która przyniosła mu nagrodę Fundacji Kościelskich za „Wiersze 1999-2004” w 2005 roku oraz laury im. Herberta, Rilkego, Biezin, Baczyńskiego i Poświatowskiej. Równie skutecznie sprawdza się w prozie: debiut w roku 1999 zbiorem opowiadań „Kolekcja”, za powieść „Lala” uhonorowano autora Paszportem Polityki za rok 2006, a ostatnio wydał głośną już „Bazakianę”. Ponadto znajduje jeszcze czas na współtworzenie telewizyjnego „Łossskotu”, pisanie felietonów do Wirtualnej Polski oraz na zajmowanie się malarstwem i rysunkiem. Spotkać go można także w komisjach konkursowych oceniających wiersze poetów - tu coś z naszego podwórka: Jacek Dehnel zgodził się być jednym z jurorów najbliższego Konkursu Poetyckiego im. Wacława Iwaniuka, ogłaszanego corocznie w Chełmie.

Skąd taka pracowitość u młodego człowieka? Złośliwi twierdzą, że to dlatego, iż Dehnel urodził się w Święto Pracy w 1980 roku. A jako zodiakalny Byk, uwielbia przyjemności tego świata - zarówno cielesne, jak i duchowe. Nieustannie więc karmi swoją naturę lekturami, podróżami, muzyką, dobrą kuchnią, obrazami, filmami i pięknymi przedmiotami. Na pewno nie ma duszy ascety. Bogactwo języka, jaki stosuje w utworach, świadczy o radości, jaką czerpie z bogactwa świata, w którym wszyscy żyjemy, a jakoś nie umiemy go właściwie odczytać.

Może dlatego Jacek Dehnel podoba się wszystkim, z kim przyjdzie mu się spotkać. Bez zarzutu, a niekiedy wręcz teatralnie czyta i recytuje własne utwory. W dyskusjach artykułuje zdania wielokrotnie złożone, często z czterosylabowymi wyrazami, z odpowiednią intonacją i okresem retorycznym. Przychodzi mu to bez trudu, bo jest polonistą, ale znajdźcie drugich takich!

Ja sam znam kilku, ale niejeden potrafi zgubić się nawet w wypowiedzi złożonej z pięciu słów. Do tego dorzucić trzeba jeszcze zabawne rekwizyty naszego bohatera w postaci stylowej laseczki, surduta, zegarka na łańcuszku, cylindra i „rodowego” sygnetu na palcu. Cały ten dandysowy sztafaż Dehnela jest zamierzoną stylizacją, która upodabnia go do późnego pradziadka sprzed I wojny światowej, a jednocześnie zaświadcza o lubowaniu się w meandrach przeszłości.

Na jak długo starczy Dehnelowi szczęścia, pomysłów i przychylności muz wszelakich? Myślę, że na dość długo, bo jego plany twórcze są bogate i całkiem realistyczne, a zdobyta już sława ściele mu drogę na przyszłość. Zdaje się, że sam autor stosuje w życiu dewizę, jaką zawarł w jednym z wierszy w „Brzytwie okamgnienia”: *Bądź dobry. Kochaj. Starzej się z wdziękiem. Zamki są słabe. Szyby są cienkie. Należy ją koniecznie zapamiętać i ściśle stosować.*

Henryk Radej



Henryk Radej i Jacek Dehnel (z mikrofonem)



Wieczór autorski

Jacek Dehnel

Wizjer

Polana, staw, przeręb, koncentryczne kręgi:
wizjer przeszkłony cienkim jak opłatek, świeżym lodem. Tutaj się patrzy. Tutaj, na kolanach, z okiem blisko tafelki, patrzy się i wierzy w inne: obłe, oślizgłe, zmiennocieplne, denne. I tamto patrzy sobie na niezrozumiałe: krążek lecący z wizgiem niesłyszalnym, człowiek ubarwiony zimowo, obok jego małe. Tutaj się patrzy. Tutaj, obracając głową, ogląda się gatunek: ta niepiętność w ruchach, oczy dziwnie ściśnięte, sęki na ich płetwach. Trzy koncentryczne kręgi: ciemność, lód, przeręb.

Pociąg Warszawa-Lublin, 26. XI. 2008

Taxi Extra

Chłopaku, który klęcząc na tylnym siedzeniu fakujesz przez otwarte do oporu okno taksówki, wychylony, obiema rękami wyciągniętymi w ciemność i światła nocnego miasta - czemu wyglądasz, jakbyś właśnie teraz, wożąc się Taxi Extra, osiągnął najwyższe szczęście?

W długim ujęciu

jarzysz się,

rozbłyśkasz

a potem cię dopada ta spiętrzona ciemność z której się wydobyłeś żeby znów w niej zniknąć.

Warszawa, 3. VI. 2008

Urartu

Kto słyszał o Urartu? Zakurzony docent na podrzędnej uczelni. Ich miasta zrównano z ciszą, w domach zamieszkał śnieg i korzeń pinii, ich ziemię obrócono pługiem w inną ziemię.

Mieli swoich kapłanów i wodzów i mędrców. Generał knuł przeciwko eunuchowi, eunuch spiskował z wróżbitami. Szewc przez całe życie dybał na warsztat krawca. Piekarz miał ambicje.

Po sztuce kulinarnej Urartu nie został nawet pęczek rzodkiewki. Ich pieśni wybrzmiały, bajek nie przechowuje żadna antologia.

Nawet ich nazwę znamy tylko z kronik w cudzej

mowie, która nie mogła oddać brzmienia lekkich samogłosek i szorstkich spółgłosek "Urartu".

Za całą wiedzę o nich musi nam wystarczyć kamień: niezdarny posąg z ciut za dużą głową,

kilka szkliwionych skorup ze sznurkowym wzorem.

Co byście powiedzieli, gdyby was wyrażał

gipsowy święty Józef, pół szklanki z Ikei,

ortalionowy strzępek przechowany w piasku?

Stambuł, 12. VIII. 2008

8,5x13 '84

Dokąd idziesz, chłopczyku,
w czapeczce w szkocką kratę,

w ubranku z darów,

w wyblakłych kolorach minionych lat
osiemdziesiątych?

Wszędzie, gdzie pójdziesz, będzie gorzej,
zatrzymaj się, uśmiechnij.

Warszawa 12. IV. 2008

Wątpia

Jak gładka jest noc, popatrz: to ciemny futerał
dla altówki z Cremony, którą się zabiera
na koncerty ze skrytki bankowej i niesie
jak szklane jajo smoka w czarnoksiężkim lesie,
pamiętając o wszelkich ryzykach: przeciągach,
atakach terrorystów, strzygach, zbójach,
bombach.

Jak gładka jest noc, popatrz; nasza bura strzała
PKP ją przenika, płynie w głąb jej ciała
jak szpilka uniesiona czarną krwią, do serca,
miejsce najboleśniej bezmyślnie przewierca,
samą istotę nocy - czyli mrok bez światła,
gdzie mieszka ciemna gwiazda, którą nad-noc
zjadła.

Jak gładka jest noc, popatrz; nie ma na to
słowa,
jest tylko miękka woda w nieznanach parowach,
brzuch głębinowej mątwy, zapleczek obrazu,
posępne "h" w nagłosie pogańskich wyrazów.
I widać, że to ona jest zasadą, rzadkie
przebłyski światła za to - głupawym
przypadkiem.

Warszawa

Tutaj mieszkali. Tutaj przewracali strony
nut tang na cztery ręce i słuchali kronik

przez radiolę w fornirze ze złotej czeczotki.
Z pokoju do salonu powietrza przechodzi

panna Hela lub Pola w eterycznej sukni,
niebyła Felcia czerpie wprost z niebyłej studni,

a martwe dziecko martwe recytuje nazwy,
wsluchując się w szelesty bluzki z ektoplazmy.

Tutaj, trochę na lewo od gałęzi lipy,
na środku dwupasmowej, szumiącej ulicy

był kredens, w nim łyżeczki. A dalej spiżarka,
gdzie, bezpieczne w skorupkach, ułożono jajka,

gładkie i nakrapiane. Potem było życie,
nie było trzecich pięter i były piwnice,

a tu, gdzie mnie próbujesz pocałować chyłkiem
odłamek właśnie trafiał trzyletnią dziewczynkę,

a tu, gdzie mnie próbujesz całować ukradkiem,
odłamek właśnie trafiał jej skuloną matkę.

Warszawa, 21. VIII. 2004

Przyjęcie

Agnieszce Kuciak

Stoją za oknem strome ciemności,
ciemność przychodzi do okien w gości.

A za ciemnością idą zwierzęta
żaden bestiariusz ich nie spamięta.

Za zwierzętami śmierć biała kroczy,
śmierć sześcioskrzydła, na skrzydłach oczy.

Stają u okien. Patrzą do środka.
Bardzo się zmieni kto je napotka.

W środku tłum, książki, meble i szklanki,
czyli szkło, papier, drewno i tkanki.

I śmierć, i bestia się rozpromienia,
że się serwuje tyle jedzenia.

I śmierć, i bestia się rozpromienia,
że się serwuje tyle jedzenia.

Przez miłorzębu patrzą gałązki
na nieświadome niczego kaski.

Ty, jeśli czekasz jakichś morałów,
nie czekaj dłużej. Czasu jest mało.

Bądź dobry. Kochaj. Starzej się z wdziękiem.
Zamki są słabe. Szyby są cienkie.

Budmerice, 5. X. 2005

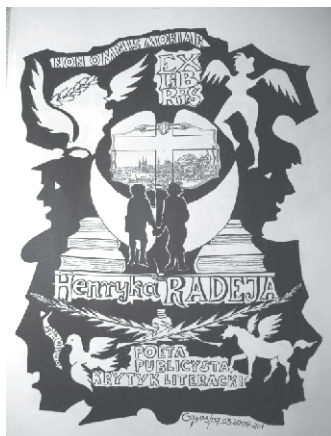
Zeszyt ćwiczeń

dla P. T.

Mieć cię na wyciągnięcie ekspresu i linii
174, a mieć cię po drugiej
stronie doby, w ciemnościach, za krzywizną ziemi
kiedy tutaj godziny przyjąć i otwarcia -

Wdech, wydech. Myśleć o tym zupełnie
odwrotnie:
że środek jest na zewnątrz, że wyjście na balkon
jest jak wejście do sieni ogromnego domu,
gdzie światło się zapala i gaśnie kolejno,
przechodząc przez fasadę jak wysoka fala;
że należymy wcale nie do tych pudełek
z gliny, żwiru, z przewodów, do klatek ze zbrojeń,
lecz do wysokiej sali, w której je rozsiano -
żbiki tam przekraczają marszrutę oddziałów,
miecznik przecina trasę białego liniowca.

Warszawa, 5 IX 2005



Proj. Jerzy Grosman - Chelm

Tomasz Krzykała

B alak i jego *Comédie humaine* - trylogia „Stracone złudzenia”

Na styku dwóch wielkich epok w historii i sztuce europejskiej, mianowicie kończącego się już i wypalonego intelektualnie średniowiecza oraz nadchodzącego, ale wciąż niepewnie jeszcze stawiającego kroki renesansu, pewien włoski poeta, Dante Alighieri, napisał swój wielki poemat i nazwał go po prostu „Komedią” (*Commedia*). Potomność dodała drugi człon do nazwy i w efekcie mamy dzisiejszą *La Divina Commedia* - czyli „Boską Komedję” - niezaprzeczalny kamień milowy w literaturze europejskiej, zawierający w sobie wszystko, co niosło ze sobą średniowiecze, ale i wiele z tego, co dopiero miało się pojawić później w renesansowym humanizmie. Po wielkich eposach starożytności i żywotach świętych średniowiecza przyszedł więc czas na komedie, na trywialność codzienności. Do literatury wkroczyła jednostka ludzka. Był to zwykły człowiek posiadający swój strach, swoją śmieszność, namiętność, pasję, a nie człowiek będący polem walki dla wielkich idei. Świat boski został zastąpiony światem relacji i interakcji społecznych, a ślepa wiara - podejściem naukowym, według którego istota ludzka podlega pewnym prawom dającym się zbadać i zrozumieć, ale nie są to prawa determinowane religijnie - przeciwnie, nie mają one z religią zbyt wiele wspólnego.

W roku 1789 wybucha Rewolucja Francuska. Po raz pierwszy na taką skalę (aczkolwiek nie po raz pierwszy w historii - rewolucja w Anglii miała bowiem miejsce ponad wiek wcześniej) przekreślone zostają przywileje arystokratycznego urodzenia, do władzy dochodzi burżuazja, dotychczasowy porządek społeczny kończy się raptownie, a rozpoczyna się w zamian wielka niewiadoma. Ta wielka niewiadoma to czas walk, rewolucji, buntów i powstań na wszystkich niemal gruntach życia społecznego w całej Europie, a zwłaszcza we Francji: od sfery gospodarczej poczynawszy (rewolucja przemysłowa, bankructwo Banku Francuskiego), wszystko się zmienia, pulsuje i zmierza do przewartościowania. Ale to przewartościowanie nie jest już wypadkową uniwersalistycznych sporów ideowych, jak w średniowieczu czy w epoce wojen religijnych - odbywa się ono na polu procesów społecznych i jest wynikiem nowego układu sił w społeczeństwie - jest więc częścią tego, co Dante jako pierwszy nazwał *Commedia*.

W takiej to atmosferze pierwszej połowy XIX stulecia rozwija się unikalna, niesamowita twórczość Honoré de Balzaka (1799-1850) - niespotykane zjawisko literackie, fenomen na skalę największych indywidualności twórczych i jakoś sama w sobie. Twórczość Balzaka to w istocie coś, co nie ma precedensu. Nie da się przecenić tego, co człowiek ów wniósł do literatury, sposobu w jaki to zrobił i tego, czym stał się dla historii zarówno Francji, jak i Europy tamtego czasu oraz europejskiej literatury. Nie da się również przecenić tego, czym była ta bujna, iście francuska osobowość, kiedy ją sportretować, jeśli zdamy sobie sprawę, że ten człowiek wytyczył i dopracował SAMODZIELNIE bieg literatury na ponad sto lat do przodu, nie posiadając absolutnie innych wzorców i odniesień oprócz własnych pasji, zainteresowań, wścibstwa i genialnego umysłu, no i na dodatek - arcyidealistycznego i arcyromantycznego założenia, że literatura jest „zwierciadłem spacerującym po gościńcu”, czyli nie ma (kompletnie nie ma!!!) w naszej rzeczywistości dziedziny i pola, gdzie literatura by nie mogła wnikać. Ponieważ w tak bujnej osobowości łatwo się pogubić, to może zacznijmy od początku.

Honoriusz Balzak (zarówno imię jak i nazwisko Balzaka uległo spolszczeniu na gruncie literatury polskiej - wielce znamienita rzecz - powiemy o tym jeszcze, bo nie da się tego faktu przemilczeć) urodził się na południu Francji. Żył i umarł w epoce europejskiego romantyzmu. Był on właściwie rówieśnikiem Mickiewicza, umarł zaś w tym samym roku co William Wordsworth, który zapoczątkował w Europie romantyzm. Żyjąc w czasach trwania jednej, silnej, zwartej epoki stawiającej nacisk na poezję i uwewnętrznione przeżycia, był Balzak odbiciem niezwykle trzeźwo na świat patrzącego ducha mieszczaństwa francuskiego (pomimo szlacheckiego nazwiska - dlaczego takie miał, o tym też jeszcze sobie powiemy). Ta trzeźwość umysłu, wrodzona ciekawość i wnikliwość, pchnęły go na drogę kariery prozaika i powieściopisarza. Po paru nieudanych próbach pisania i sprzedaży podłych jakościowo romansów sentymentalnych i sztuk dla teatrów paryskich (nomen omen - opartych na historii Anglii i na twórczości Byrona), wpada on na pomysł cyklu powieściowego, rozumianego jako panorama dziejów i obyczajowości Francji pierwszej połowy XIX wieku. Powstaje w efekcie rzecz bez precedensu - ponad 100 powieści, sztuk teatralnych i opowiadań zazębiających się ze sobą pod względem czasu i miejsca akcji (zawsze Francja, zawsze czasy współczesne Balzakowi) oraz... pod względem bohaterów, postaci literackich.

Powstaje gigantyczny cykl powieściowy, należący (a właściwie tworzący go od podstaw) do nurtu realizmu powieściowego i nazwany „Komedią ludzką” (*La Comédie humaine*). „Komedia ludzka” to realistycznie napisany cykl powieściowy, w którym pisarz jawi się jako wnikliwy obserwator i analityk wszystkich spraw dotyczących życia społecznego. Jak naukowiec, próbuje on wyjaśnić czytelnikowi wszystkie mechanizmy tego życia. Można tutaj posłużyć się porównaniem Tadeusza Boya-Żeleńskiego - tak samo, jak kucharz pichci potrawy, tak samo Balzak z zakasnymi rękawami warzy dla nas w swojej „kuchni społecznej” nowe potrawy - czyli nowe książki właśnie.

Tytuł „Komedia ludzka” nie jest więc tytułem przypadkowym. Tym samym, czym było dzieło Dantego dla świata idei, tym samym miało być dzieło Balzaka dla życia społecznego Francji. Do tego jeszcze dzieło Balzaka świadomie nawiązuje do renesansowego przełomu w widzeniu jednostki ludzkiej - tytuł celowo odcina się od tej „idealnej” boskości i ogniskuje zainteresowania czytelnika na człowieku, rozumianym jako istota społeczna. A wszystko to w samym apogeum romantyzmu niosącego dokładnie odwrotne przesłania! Można by sobie pomyśleć, że faktycznie, z romantyzmem i poezją ma to niewiele wspólnego. Nic bardziej mylnego! Przede wszystkim warto tu przytoczyć kilka faktów biograficznych z życia tej niezwykle soczystej osobowości i wspaniałego przy tym człowieka, którym był Balzak. Po pierwsze - jak on pisał? Głównie w nocy, ubrany w rodzaj habitu jak zakonnik (był bowiem człowiekiem - jak się to zwykło mówić - dość obfitych kształtów, i garderoba dzienna była dla niego po prostu krępująca) pisał do rana, wypijając przy tym litry kawy. Po drugie - co było dla niego głównym źródłem inspiracji? Rauty, przyjęcia, spotkania towarzyskie były dla niego i jego pisarstwa niezbędne jak chleb do życia. To tam wyszukiwał pierwowzorów postaci, portretując żyjące osobistości czasem aż nader gruntownie - wielu znało dokładnie realne odpowiedniki bohaterów zaludniających „Komedię ludzką”. Niemało wrogów przysporzyły mu opisy portretujące tę czy inną osobę w negatywnym świetle. Ostatnie pytanie wreszcie - co pozwalało mu stworzyć tak gigantyczny cykl spójnie ze sobą powiązanych powieści i setek zazębiających się wątków, i się w tym nie pogubić? Przecież to niemal niemożliwe! Prawdę mówiąc, gubił się Balzak nie raz, pomyłek i lapsusów popełniał wiele, ale pomimo tego „Komedia ludzka” jest dziełem spójnym. Wydano nawet *Répertoire de la Comédie humaine*, czyli (że zacytuję tutaj znowu Tadeusza

Boya-Żeleńskiego) „rodzaj skorowidza do całości utworów Balzaka”, czyli spis porządkowy jego książek. „...widząc, jak wszystkie wypadki, postacie schodzą się i wiążą w jedną całość, można by mniemać, iż całość ta, olbrzymia koncepcja „Komedii ludzkiej”, jest tworem dokładnie i cierpliwie przemyślanym w każdym szczególe. Byłoby to omyłką; jest w niej o wiele więcej genialnej improwizacji, niż się wydaje”.

Mamy więc obraz twórcy obdarzonego nimbenem geniuszu i samotnie skupiającego się nad losami całego społeczeństwa, niejako biorącego na swoją odpowiedzialność całą ówczesną Francję. Podobnie jak Napoleon sam jeden zmienił mapę świata, tak Balzak, sam jeden stworzył nową „Summę teologiczną” swoich czasów. Taki obraz pisarza nie ma nic wspólnego z realizmem i naukowym podejściem do tematu - to w istocie głęboko romantyczny etos twórcy arcyromantyczny nawet, jak to było już mówione wyżej. Dzisiejsza psychologia mówi nam też, że to bardzo ludzki, zdrowy wizerunek, zakładający zaangażowanie i inwencję zarówno autora, jak i czytelnika w miejsce zimnej analizy i beznamietnego gromadzenia danych - czyż nie wspominałem, że była to iście „soczysta” osobowość? Taki wysiłek był jednak ponad siły, i Balzak umiera w wieku 51 lat - dzieli więc i tym faktem realia biograficzne z wieloma romantykami - własnym życiem opłaca swoją twórczość.

„Komedia ludzka” nie jest w żadnym razie dziełem naukowym - nie jest dziełem jednorodnym i (jak już mówiliśmy) pełno w niej niedociągnięć. Wiele części pozostawia sporo do życzenia pod względem literackim, wiele jest rozbieżności i pomyłek, które jednak w unikalny i pasjonujący sposób umiejscawiają nam osobę Balzaka w samym centrum jego dzieła. Jeżeli poczytamy trochę wybitnych dzieł realizmu i naturalizmu francuskiego, zwłaszcza Flauberta, Zolę, czy Maupassanta, zauważymy aseptyczną wręcz skłonność do usunięcia śladów osobowości autora i jego prywatnych poglądów z ram dzieła literackiego w imię realistycznego obiektywizmu. Nic podobnego u Balzaka! Z jego charakterem tak by się nie dało! Z całkowitą słuszością powiedzieć można, że żywy, dynamiczny charakter autora jest obecny w każdym miejscu jego dzieła, nie pozbawiając jego pisarstwa w żadnym razie realistycznej wymowy, tak jak realizmu rozmowy zasłyszanej na ulicy nie pozbawia fakt, że biorący w niej udział to nasi dobrzy znajomi. Przeciwnie! Przez to jego dzieło zyskuje dodatkowy, jakby teatralny wymiar (ale w dobrym znaczeniu tego słowa), a czytelnik nie traci kontaktu z życiem. Osoba Balzaka stała się w niezrównany sposób następną postacią literacką w „Komedii ludzkiej” - wyobraźmy sobie, jakiego kunsztu literackiego trzeba, żeby się na coś takiego poważić z dobrym skutkiem!

Pierwszymi książkami Balzaka, jakie mi wpadły w ręce, była trylogia „Stracone złudzenia” składająca się z części: „Dwaj poeci”, „Wielki człowiek z prowincji w Paryżu” oraz „Cierpienia wynalazcy”. Szczerze powiedziawszy, miałem szczęście, bo ta trylogia to jedna z głównych pozycji w „Komedii ludzkiej”, wyśmienita pod względem literackim, a do tego wprowadzająca wątek utraconej niewinności, dżungli wielkiego miasta - jednym słowem, to literackie rozliczenie romantyczno-sentymentalnych mitów prowincji francuskiej o splendorze i powabie życia śmietanki towarzyskiej wielkiego Paryża. Dobre piśmarstwo Balzaka w jego najlepszych książkach ma tę cechę, że potrafi wciągnąć i zaabsorbować z wielką siłą. Od książki po prostu nie da się oderwać. „Stracone złudzenia” napisane są z takim impetem, tak rozległym wachlarzem poruszanej problematyki, że pierwsze wrażenie oszołamia. Niemniej jednak literacka wyrazistość opisów i niepowtarzalny sposób kreślenia sylwetek postaci Balzakowskich przychodzi z pomocą i pozwala zagubionemu nieco czytelnikowi odnaleźć się w tym świecie - w tej osobiwej rzeczywistości, żywej w sposób konkurencyjny ze światem realnym. To tak, jakbyśmy nagle znaleźli się faktycznie w centrum wielkiej metropolii, pełnej zgietku i pulsującej życiem. „Konsekwentne studiowanie Balzaka - pisze Oskar Wilde - przemienia naszych przyjaciół w cienie, znajomych w cienie cieni”. Czegóż tam nie ma?! Balzak prowadzi nas przez wszystkie sfery życia i nie unika wnikliwej analizy żadnej z nich. Kiedy mówi o prowincji (w tej książce to akurat miasto Angoulême), wnika we wszelkie dostępne sobie niuansy życia tamtych społeczności, ich sposób zorganizowania, ideały, horyzonty intelektualne itp. Kreśli wielką panoramę ówczesnej obyczajowości. Kiedy pisze o handlu, wnika w szczegóły buchalterii i prowadzenia ksiąg rachunkowych, kiedy pisze o produkcji papieru, podaje szeroki szkic historyczny tej gałęzi przemysłu (sic!) we Francji, omawia jej stan ówczesny, a potem z jednakową wnikliwością opisuje wszystkie stadia produkcji, niejednokrotnie dodając ceny surowca, półproduktów i produktu końcowego z uwzględnieniem kosztów podatkowych, robocizny, dystrybucji i reklamy. Kiedy pisze o bankowości i kredytach, opisuje detale wszystkich słynnych afer i bankructw, podając ich genezę i przyczyny, tkwiące nierzadko poza granicami Francji i związane z polityką globalną. To samo - czyli wielość detali - podaje Balzak w związku z przepisami dotyczącymi patentów i racjonalizacji, opisując i wyliczając znane mu luki w przepisach - no, czyż to nie imponujące?

Z pojedynczymi postaciami postępuje podobnie, stając się wnikliwym i wiarygodnym (akurat w tej trylogii jest bardzo wiarygodny - w innych książkach bywa z tym różnie) obserwatorem ludzkich charakterów i emocji. To tutaj właśnie, w literaturze Balzaka, zostały położone podwaliny analitycznego psychologizmu literackiego, tak dokładnie wyzyskanego później przez Marcela Prousta, który sam był wielbicielem „Komedii ludzkiej”. Postaci „Straconych złudzeń” powracają w niej jednej jeszcze powieści Balzaka i są to niepospolite postaci w niepospolity sposób opisane. Mamy więc absolutnie fenomenalnie nakreśloną sylwetkę Lucjana Chardon, przedstawiciela mieszczaństwa, młodego chłopaka, u którego idealizm zmagą się z ambicjami ponad miarę. Po tym jak Lucjan osiadł w Paryżu, przybiera on (całkiem zresztą bezprawnie) tytuł szlachecki i nazwisko de Rubempré. Ale zanim się to stało, zanim rozpoczyna się pogoń Lucjana za blightrem tego świata, zanim kończy się ona degrengoladą moralną i śmiercią (co jednak wykracza poza ramy „Straconych złudzeń” i dotyczy już kolejnej trylogii w ramach „Komedii ludzkiej”, a mianowicie „Blasków i nędz życia kurtyzany”) mamy tę postać opisaną tak dogłębnie, z takim wyczuciem, czasami wręcz sympatią autora, że bez wątpienia powiedzieć można - to jedna z najlepiej ujętych postaci literackich w historii. Plastyka tej postaci wręcz uderza! „Jedną z największych tragedii mego życia - pisze znowu Oskar Wilde - jest śmierć Lucjana de Rubempré. Nigdy nie zdołałem się wyzwolić całkowicie z tego przejmującego bólu. Dosięga mnie w chwilach najwyższej radości, tłumi nierzawie wybuchy śmiechu”. Czy jest jakieś wyjaśnienie tego szczególnego pietyzmu w podejściu Balzaka do postaci młodego parweniusza z Angoulême? Otóż jest. Historia Lucjana jest momentami bardzo zbieżna z historią samego Balzaka, i z pewnością determinuje takie, a nie inne potraktowanie tej postaci. Lucjan Chardon (alias - de Rubempré) to postać niejednorodna - młody, dynamiczny chłopak o zaskakującym ładunku skrupułów i tradycjonalizmu, sentymentalny, zawadiacki, skromny, choć nienasycony, święty łotr - powiedzielibyśmy dziś. Takie nagromadzenie przeciwieństw i ekstremów w jednej osobie mogłoby być kanwą niejednej książki i jest fenomenem przekraczającym skalę środków wyrazu niejednej literatury narodowej - ale nie tej francuskiej. Tutaj, to właściwie chleb powszedni... Kim więc był w głębi sam imię Honoré de Balzac, skoro tak jaskrawą postać potrafił on odmalować piórem z taką finezją, z taką mnogością półtonów, a przy tym tak tętniącą życiem? Balzak był przedstawicielem klasy średniej (tak jak Lucjan) i wyjechał do Paryża po to, aby tam zawojować świat i zrobić fortunę na pisaniu (Lucjan też - jakżeby inaczej - chciał podbić świat), popadał tam

w niekończące się problemy finansowe (znowu tak jak Lucjan) i bliski był tego, żeby się kompletnie stoczyć. Właściwie, gdyby nie pani Ewelina Hańska (Polka, najpierw kochanka, a potem żona Balzaka) oraz jej fortuna, to nie wiadomo, jak by się te wieczne, Balzakowskie problemy finansowe skończyły. Ale najbardziej charakterystyczną cechą stanowiącą podobieństwo między Balzakiem a Lucjanem może być fakt, że sam Balzak posługiwał się nieistniejącym nigdzie prawem do szlachectwa i wymyślonym samodzielnie nazwiskiem „de Balzac”. Prawdziwe jego nazwisko brzmiało po prostu Balssa; Honoré de Balzac był po prostu wnukiem wieśniaka z południa Francji - osoby takie jak on mogły wypłynąć po rewolucji, kiedy Francja, z kraju wzajemnie powiązanych koligacji arystokratycznych, stawała się powoli krajem demokratycznym. Zaraz, zaraz! - spytać może ktoś - to po co była mu ta szopka ze szlacheckim pochodzeniem? Ano właśnie - tutaj ocieramy się o pewien paradoks charakteru Balzaka i w pewien sposób ówczesnej Francji również. Balzak był rojalistą, czyli osobą popierającą władzę króla i tęskniącą do dawnej, przedrewolucyjnej Francji Burbonów. Był on katolikiem (co znacznie ułatwiło mu zadowolenie się w sercu pani Eweliny Hańskiej). Jednakowoż pokost rojalizmu i katolicyzmu na jego charakterze i poglądach nie był zbyt gruby - tu i ówdzie wyziera spod niego ta nowa, dynamiczna, znana nam i dziś Francja republikańska, Francja ludzi pracy (a czy sam Balzak ze swoją twórczością i olbrzymią dynamiką nasuwa nam jakiegokolwiek skojarzenia z pretensjonalnym i skostniałym w przepisach etykiety przedstawicielem arystokracji?). Natomiast faktem jest, że w pisarstwie Balzaka, a w szczególności w sposobie w jaki sportretował Lucjana de Rubempré odbijają się rozterki i dylematy ówczesnego społeczeństwa - a jeśli by się przyjrzeć to i całej sztuki przedwcześnie dojrzałego francuskiego romantyzmu - czyli wkraczanie w wielką niewiadomą, w świat, gdzie nienaruszalne zasady etyczne i moralne zostały zakwestionowane i obalone. Ten świat, to świat niezny, świat, który trzeba stworzyć i zrozumieć od samego początku - rzeczywistość więc skłaniała do stwarzania tak wielkich, monumentalnych dzieł jak *Comédie humaine*. Czasem, aby zrozumieć życie lepiej, czasem zaś, by od tego życia uciec.

Jakie jeszcze inne postaci „Straconych złudzeń” zasługują na uwagę? Szczerze powiedziawszy jest ich wiele, bo i „Stracone złudzenia” to jedna z głównych ulic „Komedii ludzkiej”. Wspomnę więc tylko jeszcze Rastignaca i Vautrina. Rastignac na kartach naszej trylogii

jest jeszcze młodym żółtodziobem, niemal studentem paryskim (co samo w sobie jest tak symboliczne i obciążone wielością treści kulturowych, jak co najmniej drugi, pokrewny termin, kiedy mówilibyśmy o aktorze). Rastignac to silna osobowość pokrewna niewątpliwie Talleyrandowi - powoli, lecz konsekwentnie pnie się po szczeblach kariery, by dojść wreszcie godności ministra. Vautrin natomiast reprezentuje w powieści paryski świat przestępczy, i wkracza do akcji na sam koniec „Straconych złudzeń”, ale wkracza w taki sposób, że odkładamy książkę drżącą ręką i wściekli, że autor akurat teraz musiał zakończyć swoją opowieść, no akurat w takim miejscu!!! Jest to jednak część niepowtarzalnego uroku „Straconych złudzeń” - to, że książka kończy się akurat w ten sposób.

Pośród innych, wielokrotnie potem pojawiających się postaci jest jeszcze bankier Nucingen, Estera i wiele innych, ale - ach! - z jakim mistrzostwem one są nakreślone - one faktycznie żyją! Cytat z Oskara Wilde'a nie jest wcale przesadny - kiedy ja czytałem „Stracone złudzenia” (przełożone z francuskiego przez Boya - jak większość dzieł Balzaka. Dodać tu jeszcze wypada, że przekład Boya jest rzeczywiście świetny!), miałem - jak każdy - wiele swoich spraw. Pamiętam z nich wszystkich tylko historię Lucjana de Rubempré - wszystkie inne okoliczności mojego życia zbladły już dawno we wspomnieniach - zetknięcie zaś z Balzakiem to ciągle żywy wybuch pasji i fascynacji o wielkiej sile!

Powiedzieliśmy wyżej, że zarówno imię jak i nazwisko Balzaka uległo spolszczeniu na gruncie literatury polskiej. Honoré de Balzac, to Honoriusz Balzac. Dlaczego? Głównie, niewątpliwie przez niezwykłą żywotność popularyzatorską podjętą przez Boya w latach 20. i 30. XX wieku, dalej poprzez długoletni związek z Ewelina Hańską, zakończony zresztą ślubem w Berdyczowie w 1850 roku. To na pewno też wynik faktu, że wiele polskich postaci zaludniło „Komedie ludzką”, wiele historii napoleońskich wydobył Balzac z przeszłości. Ale to wszystko nie wystarczy.

Dziś, w epoce stabilnej niepodległości państwowej i masowej emigracji zarobkowej do Anglii, w epoce dominacji angielszczyzny i zalewu amerykańsko-anglosaskich produktów kultury masowej mało kto pamięta, czym były dla Polski związki z Francją w wieku XIX i XX. Cały polski romantyzm rozwijał się przecież w Paryżu, tam też polska emigracja polityczna znajdowała azyl jeszcze w latach 80. XX wieku. Rewolucja lipcowa w 1830 roku we Francji wybuchła w okrzykach *Vive la Pologne!* Tam powstała jedna z pierwszych bibliotek polskich. Jeszcze podczas stanu wojennego, w Paryżu ludzie tłumnie gromadzili się na manifestacje poparcia dla Polski walczącej.

A przecież jeszcze zupełnie niedawno Paryż był jedynym zakątkiem świata, gdzie beznadziejna sytuacja Tybetu odbiła się głośniejszym protestem, a nawet zamieszkami podczas przygotowań do olimpiady w Pekinie - tej żalosnej imitacji igrzysk olimpijskich w kraju bez wolności, bez jakiegokolwiek szacunku dla praw człowieka. Tylko Paryż zgasił znicz olimpijski, a w zasadzie lud paryski, taki sam, jak ten, którego siły świadom był Balzac - jeszcze raz sprawy zostały nazwane po imieniu. Ale tym razem nie w imieniu Polski była ta walka, i łatwo nam ją było przegapić.

Toteż, wykorzystując w pełni zbliżenie z kulturą anglosaską, nie powinniśmy zapominać o kulturze Francji, tym bardziej, że - generalnie rzecz ujmując - część naszej własnej tożsamości i walki jest w tej kulturze...

Tomasz Krzykała
(Konin)

IV Konkurs Literacki

MÓJ ANIOŁ



Młodzieżowy Dom Kultury
im. Marii Konopnickiej w Krasnymstawie

Dnia 29 stycznia, w sali baletowej Młodzieżowego Domu Kultury im. Marii Konopnickiej w Krasnymstawie odbyło się uroczyste podsumowanie IV Konkursu Literackiego „Mój Anioł”. W komisji konkursowej znaleźli się: Jan Henryk Cichosz, Mariusz Kargul i Tadeusz Kiciński. Spośród 66 prac, komisja nagrodziła 49 autorów:

W kategorii poezja - szkoła podstawowa: 1. Natalia Siewak, 2. Karolina Kazimierzczak, 3. Iga Dziurka (wszystkie z Zespołu nr 1 Gimnazjum i SP w Siennicy Nadolnej); **gimnazjum:** 1. Monika Bojarska (ZS nr 3 w Krasnymstawie), wyróżnienie - Milena Mazurek (Gimnazjum nr 5 Krasnystaw); **szkoły ponadgimnazjalne** - 1. Katarzyna Banaszkiewicz, 2. Bartłomiej Knap, 3. Aleksandra Mazurkiewicz i Olga Kasperczyk (wszyscy z I LO Krasnystaw).



Tadeusz Kiciński ogłasza werdykt jury

W kategorii proza - szkoła podstawowa: wyróżnienie - Dagmara Galińska (SP nr 4 w Krasnymstawie) i Agata Kawa (SP nr 5); **gimnazjum** - Marta Karauda (ZG i SP w Siennicy Nadolnej), 2. Monika Bojarska (ZS nr 3 Krasnystaw), 3. Karolina Knap (Gimnazjum nr 5 Krasnystaw); **szkoły ponadgimnazjalne** - 1. Paulina Ziarko (II LO), 2. Aneta Wojtał (I LO), 3. Katarzyna Kyc (I LO), wyróżnienia - Mateusz Wojtał (I LO), Paula Kuźniewska (II LO). Tytuł „Kuźni Aniołów” przyznano I Liceum Ogólnokształcącemu im. Władysława Jagiełły w Krasnymstawie. Nagrodę odebrała Pani Anna Król, zastępca dyrektora. Gratulujemy i zapraszamy w następnym roku.

Jarosław Stadnik

Małgorzata Prus, M. Kargul i J. H. Cichosz wręczają nagrody.
Foto: J. Stadnik

Natalia Siewak

UŚMIECH ANIOŁA

Zanim uderzysz swego anioła,
Bo nieposłuszny był,
Znów coś spsocił,
Spójrz w oczy jego.
Anioł w oczach ma tyle wierności i dobroci...
Już ręka sama wnet opadnie
Głaszcząc aniela głowę.
Głosem echa:
- Nieładnie - mówisz - nieładnie!
A anioł do ciebie się uśmiecha.
Wystarczy ty, o, tyciutko,
Żeby jak muchę przegnać smutek.
Bo przez uczonych jest udowodnione,
Że anioł uśmiecha się ciepłutko.

Monika Bojarska

* * *

Kiedy jesteś sam
I nikt nie wie co
Dzieje się w twoim sercu -
Jakie masz najskrytsze marzenie.
To uwierz w siebie.
Wiedz, że możesz osiągnąć wszystko.
Nie myśl co powiedzą ludzie,
Unieś się jak orzeł i leć.
Twój stróż ochroni cię przed upadkiem,
Pomoże zwalczyć strach,
Byś był wolny jak ptak.
Zdobądź się na odwagę
I pokaż światu swą twarz.
Więc nie myśl co będzie,
Żyj nadzieją na lepsze dni.
Udowodnij ile jesteś wart!

Katarzyna Banaszkiewicz

NIEZRAŻONY

przytłaczam mu skrzydło
drzwiami starej szafy
przez zamierzoną nieuważę
i wyszłam wiedząc
że nie będzie nade mną
czuwał
pękła mu aureola
ujęta w moje dłonie
w zabawie kaprysów
i śmiałam się
bo wyglądał bez niej
nieudolnie
zamknęłam go w słoiku
wyszczerebionym na brzegach
bez dopływu powietrza
i upadłam
a on stłukł otaczające szkło
podając mi
złamane skrzydło

Mariusz Kargul

Polski następca Stephena Kinga?

Idzie sobie strzyga i idzie, przez pola i łąki, strzykając na lewo i prawo jadowitą śliną, spomiędzy podwójnego zrędu dawno niemytych zębów. Myśli tylko ciągle, kogo by tutaj jeszcze dźgnąć szponiastym paluchem albo przyprawić o zawał serca.

Wbrew pozorom, strzygi można napotkać w trakcie wykonywania bardzo prozaicznych (i prozatorskich) czynności. Najczęściej mają z nimi do czynienia mężowie/zięciowie wracający nad ranem do domu. Stoją wtedy przyczajone za drzwiami, a w miejsce tradycyjnego atrybutu grozy w postaci puszczyka, towarzyszy im broń obojętna. Człowiekowi i tak już pęka głowa, nogi płaczą się niemilosiernie, usta i język wyschły na wiór, pod powiekami zalega tona piachu, a tu trzeba dodatkowo przejść przez małą inkwizycję i stoczyć półprzymiśnię bój z siłą nieczystą. Oj tak, często nie zdajemy sobie nawet sprawy, czy ktoś za naszymi plecami nie dybie przypadkiem na nasze marne dusze i jeszcze bardziej sponiewierane przez los, powłoki cielesne...



Ale generalnie debiutancka powieść Stefana Dardy *Dom na wyrębach*, nie traktuje o walce ze zgubnym nałogiem alkoholizmu, choć konsumpcja C_2H_5OH zajmuje w niej poczesne miejsce. Nie jest też kompendium tłumaczącym niepojętą do dzisiaj dla nikogo skomplikowaną naturę relacji damsko-męskich. I to w wymiarach doczesnych i pozagrobowych. Do książek „pod poduchę” też się raczej nie zalicza, no chyba, że ktoś jest masochistą, uwielbia czytać „powieści grozy”, a potem gasić światło w całym domu i po omacku szukać drogi do łazienki.

Owoc debiutanckich trudów Stefana Dardy jest mądrą i wielopoziomową opowieścią o tym, że wszyscy musimy w życiu za coś płacić, że wszystko ma swoją cenę, a najwięcej płaci się za marzenia, spokój ducha i szczęście. Jeżeli nawet „na tym świecie” nikt nie ma nic przeciwko temu, zawsze mogą się znaleźć istoty lub siły, którym się to nie spodoba, a na myśl o których sięgamy niemal odruchowo po ulubiony talizman czy atrybut religijny. Wielu z nas oficjalnie stwierdza, że nie wierzy w duchy i upiory, ale tak na wszelki wypadek dodajemy, że „coś” w tym jednak musi być, że oprócz świata namacalnego i odbieranego za pośrednictwem dostępnych nam zmysłów, są jeszcze rzeczy i zjawiska, „o których nie śniło się nawet filozofom”.

Doświadczyl tego główny bohater powieści - Marek Leśniewski. Dobrze rokujący wykładowca i prawnik, zlikwidował swoje wrocławskie sprawy, a przy okazji dawne życie osobiste, i przeniósł się na Pojezierze Łęczyńsko-Włodawskie, do „małego, zacisznego domku”. Idylla trwała krótko. Stanowczo za krótko, jak dla kogoś, kto chciał „tylko” spokojnie pracować dalej zawodowo, kochać, być kochanym, podpatrywać intymne życie żurawi i znaleźć kawałek swego miejsca na ziemi. Leśniewski, tak jak każdy „normalny” człowiek, brał wszystko początkowo za wytwór przewrażliwionej wyobraźni, ewentualnie skutki samotnych alkoholowych posiedzeń, wreszcie efekt działań sąsiada, co to bardziej wygląda na kuzyna Hannibala Lectera, niż osobę gotową pożyczyć nam szklankę cukru. I my powoli dajemy się autorowi w to „wciągać”. Aż nagle, tak do końca nie wiadomo gdzie i kiedy, następuje moment przejścia na stronę bohatera, trzymania za niego kciuków, i bezapelacyjnego zaakceptowania istnienia zjaw żywiących się nienawiścią, cierpieniem i bólem osób, które niegdyś kochały. Z realistów i sceptyków, jakim był na początku Marek Leśniewski, przekształcamy się powoli w osoby szukające wyjścia z tak dramatycznej sytuacji. „Odkurzamy” więc szybko w pamięci wszelkie historie o wampirach, upiorach i południcach, starając się przypomnieć co skuteczniejsze metody walki z nimi. Większym sentymentem zaczynamy darzyć medaliki, wodę święconą, gromnice, czosnek, osikę w ogródku i telefon do wujka egzorcysty. Być może najlepszą bronią jest tutaj prawdziwa wiara i zdrowe poczucie humoru, to nic, że w pewnych momentach - wisielczego. Stefan Darda nie używa w swej powieści nie wiadomo jakich środków wyrazu, tylko po to, by nas przerazić. Posuwa się o krok dalej. Do książki, wpisywanej ogólnie w stylistykę thrillera lub horroru, przemycza wartości, jakich gdzie indziej nie uświadczysz. Jest więc miejsce na lirykę, humor, celne obserwacje życia przyrody.

Do tej pory jeszcze nigdzie nie spotkałem się z tym, żeby ofiara ataków strzygi kazała jej całować się w tylną część ciała czy serwowała jej „wiązanki” słowne. A to bardzo wiele wnosi, obniża trochę napięcie, daje szansę na nabranie dystansu do toczącej się akcji. Nie tak jak u Mickiewicza, że tylko „dokoła trumny stałmy społem”, uuuhhuuu itd.

Dom na wyrębach jest też poniekąd powieścią wpisującą się w szerszy nurt rozważań o kryzysie wieku średniego. Tak się złożyło, że ostatnio miałem okazję zapoznać się z powieściami *Niech to nie będzie sen* Daniela Odiji i *Gesty* Ignacego Karpowicza. W obu tych książkach główni bohaterowie uciekają z miejskich mołochów, by szukać siebie samego w bardziej spokojnych i sprzyjających rozmyślaniom okolicznościach. Podobnie jak u Dardy, mają po około czterdzieści lat, zastanawiają się co dalej, wiele już stracili, nie chcą zaprzepaścić reszty.

Każdego z tych autorów znam osobiście i bardzo cenię ich dokonania literackie. Cieszę się jednak, że Stefan Darda obrał własną drogę, której zamierza dalej konsekwentnie się trzymać. Nie bał się przypięcia mu „łatki” epigona Stephena Kinga. Dla niego to komplement, nie obelga. Najtrudniej jest bowiem napisać książkę, która autentycznie „wciąga”, którą czytamy z „zapartym tchem”, „od deski do deski”. Najłatwiej jest czepiać się kogoś, że powielił stare schematy, sprzedaje się lub idzie na komercyjną łatwiznę. Stefanowi Dardzie udało się coś prawie nierealnego - napisał to, co szczerze chciał napisać, znalazł wydawcę, który dostrzegł w nim świetnie zapowiadającego się autora (postawił na nikomu nieznanego debiutanta), osiągnął sukces rynkowy (trzy tysiące nakładu, który rozszedł się w pierwszym miesiącu sprzedaży i trzeba było robić dodruk!), a przy tym pozostał nadal sobą (skromnym urzędnikiem z Przemyśla, któremu też marzy się w przyszłości życie z dala od miasta).

Co równie tutaj istotne, obronił przy okazji wartość artystyczną swego debiutu. O książce nie zapomina się w dwie minuty po przeczytaniu ostatniej strony, tylko jeszcze długo myśli się o niej



w różnych chwilach codziennej egzystencji. A to niełatwe, skoro tyle spraw potrafi nas absorbować swą natarczywością.

Autor mógł się starać „popęlić” powieść psychologiczną. Mógł problemy poruszone w *Domu na wyrębach* usiłować ubrać w formę, którą krytyka zaszufładowałaby z czasem, jako „powieść niosącą ważne treści filozoficzne pod przykrywką inklinacji metafizycznych, dezawuuującą zastany obraz realnego świata za pośrednictwem indyferentnych środków stylistycznych i rozbudowanych synantropijnie dychotomicznych konwergencji słownych głównego bohatera, miotającego się między szekspirowskim być a jungowskim mieć”. Taaak, ale dzięki Bogu Stefan Darda nie dał się skusić na lep taniej popularności książki, z której nikt by nic nie zrozumiał, ale w publicznych dyskusjach na jej temat, wszyscy kiwaliby z głębką zadumą głowami, jak ten znawca sztuki w tundrze przed zamrażającą kupą mastodonta, myślący, że ma przed sobą artefakt jednego z zapomnianych plemion dalekiej północy.

W tym alternatywnym scenariuszu wydarzeń, głównemu bohaterowi mogło się wszystko wydawać. Mogło mu się wydawać, że ktoś dybie na jego życie, mógł w końcu nawet nie wiedzieć, czy jeszcze żyje, czy nie. Żurawie kołujące nad Wyrębami mogły się zastanawiać, czy są żurawiami (a nie np. sztukasami). Pohukujący puszczyk mógł się zastanawiać, czy to rzeczywiście on pohukuje, a nie samo echo. Sąsiadowi Leśniewskiego mogło się ubzdurać, że ucieka sam przed sobą, a przyjacielowi Marka, że chyba mu się wydaje, że jego kumpel ma delirkę i jest lekko szurnięty. Upiorowi mogło się wydawać, że kogoś stale nawiedza. Czytelnicy mogli się zastanawiać, czy aby ktoś ich nie nabija w butelkę, wydawcy mogło się wydawać, że coś wydał, a autorowi - że coś napisał.

Ktoś kiedyś nakręciłby może na tej podstawie film. Kamera stałaby w jakimś ciemnym kącie, ukazując ciemność i czerń. Ręka operatora drżałaby niczym ciało wampira przebijanego osikowym kołkiem, a nad wszystkim rej wodziłaby muzyka rodem z garkuchni polowej drugiej dywizji piechoty. Nie można nie przypuszczać, że w ślad za tym pojawiłyby się „Złote Lwy”, „Brązowe Niedźwiedzie” i „Oscary”. A czytelnik i tak dalej zachodziłby w głowę - „ale panie, o co w tym wszystkim biega?”. A ja odpowiem: Lubyczanin popęlił powieść grozy i chwala mu za to! Społeczeństwo czeka na ciąg dalszy, zatem do pióra panie Stefanie, do pióra!

Mariusz Kargul

Stefan Darda, *Dom na wyrębach*,
Wyd. „Videograf II”, Katowice 2008.

Marzena M. Podkościelna**II Konkurs Twórczości Miłosnej
„Ja Cię kocham, a Ty pisz!”
rozstrzygnięty!**

14 lutego br. podczas Krasnostawskich Walentynek Literackich odbyło się rozstrzygnięcie II Konkursu Twórczości Miłosnej zorganizowanego przez Krasnostawski Dom Kultury oraz Grupę Literacką A4. Jury, w którego skład weszli: Henryk Radej - przewodniczący oraz Marzena Podkościelna i Andrzej Woźniak poddało analizie merytorycznej i oceniło teksty literackie nadesłane przez 60 autorów z całej Polski. Wszystkie spełniały kryteria regulaminowe, zarówno w prozie, jak i poezji. Po dyskusji postanowiono przyznać następujące laury:

Nagrodę główną zdobył **Maciej Topolski** z Łęcznej za fragment prozy „Zorza”
Nagrodę stanowiła kolacja walentynkowa w lokalu dla laureata z osobą towarzyszącą.

Pozostałe nagrody książkowe zdobyli:

I nagrodę - **Danuta Zasada** z Gliwic za wiersz „Uwierz”,

II nagrodę - ex aequo: **Mariusz Cezary Kosmala** z Legionowa za wiersz „Wariatka” i **Elżbieta Galoch** z Turka za wiersz „Usta Boga”,

III nagrodę - **Erazm Stefanowski** z Augustowa za wiersz „Liryk zimowy”.

Przyznano również wyróżnienia. Wśród wyróżnionych znaleźli się:

Tadeusz Charmuszko z Suwałk za wiersz „Amoreska”,

Teresa Sobestjańczuk ze Świdnika za wiersz „Jesienna miłość”,

Łucja Dudzińska z Poznania za wiersz „Ja Cię kocham, a ty co?”,

Katarzyna Kandora za prozę poetycką (bez tytułu),

Tadeusz Haftaniuk z Chełma za „Limeryk dla Walentego”.

Nagrodą dla wymienionych autorów jest również publikacja tekstów na łamach Czasopisma Artystycznego „Nestor”.

Pozostałe utwory również zasługiwały na uwagę z racji dobrych pomysłów, ciekawej formy lub interesującego przekazu uczuć podmiotu lirycznego, jednak znalazły się poza granicą możliwości ich upublicznienia - zwłaszcza w druku. Jury wyraziło uznanie dla laureatów, pomysłodawcy Konkursu oraz organizatorów, że w czasach tak niepoetyckich inspirują szeroko rozumianą społeczność literacką do tworzenia i odbioru wartościowych utworów o tematyce miłosnej.

Wszystkich zainteresowanych udziałem w kolejnej edycji Konkursu Twórczości Miłosnej „Ja Cię kocham, a Ty pisz!” zapraszamy za rok!

Marzena Mariola Podkościelna

Oto nagrodzone teksty:

I NAGRODA

Danuta Zasada

Uwierz

nim wystygniesz mi z żaru co ogarnia przestrzeń
nim wykreślisz z obszaru w którym snem jest jawa
daj się uwieść tej chwili i uwierz że jesteś
moją fantasmagorią którą się napawam

albo dopowiedzeniem tego co w domyśle
gdy ja ci rzęś pokłonem albo w strunach drzeniem
tajemnym dzikim przejściem do tego co przyszłe
wplecionym w skrzydła ptaków wiatru cichym
tchnieniem

ziewnym srebrzystym blaskiem co rozświetla
oko
gdy roztęsknione oczy nie umieją zasnąć
kluczem wiary gdy strąca w ciemnicę samotność
oraz moim aniołem zdobytym na własność

a kiedy mnie ogarniasz tęsknot pajęczyną
w którą nagość ubieram jak w królewskie szaty
tak bardzo pragnę wierzyć że kiedyś przypłyną
chwile którymi nieba otworzysz komnaty

i choć to tylko mgnienie co między oddechy
ziarnkiem chwili oszukać pragnę czas co woła
jesteś moją nadzieją w wybaczone grzechy
gdy tulę się w twe myśli jak w skrzydła anioła

II NAGRODA

Mariusz Cezary Kosmala

Wariatka

Oki, masz rację, zdradzam cię. Niech więc ci
będzie -
zdradzam cię, drwie, wycieram sobie tobą głowę,

A na dobitek jestem jeszcze nałogowym
alkoholikiem, jaram trawę, jeżdżę goły

windą, uzależniłem się od neta, kompa
i czego tam chcesz jeszcze, palę papierosa

za papierosem - nie ma przy mnie czym
oddychać -
jestem też ciemnym typem, którego policja

obywatelska wrednie na ciebie nasłała
a kiedy mnie u ciebie nie ma, ja sam staram

się nasyłać podobnych do mnie typów, żeby
cię nachodzili, kiedy ty akurat zęby

myjesz szczoteczką, z której ja powyrywałem
złośliwie włosie. Owszem, masz więc świętą
rację,

gdy krzyczysz: Ty oszuście! zdrajco! dupku!
chamie!
spadaj!... I spadam, jestem coraz niżej, nagle

ląduję obok ciebie w łóżku, jestem bogiem
miłości, a ty się do mnie modlisz, albowiem

mam ręce, które pieścą magicznie, mam ręce,
co zagrają dotykiem jak skrzypce piosenkę

dla ust twojego ciała, ty moja wariatko
naga.

II NAGRODA

Elżbieta Galoch

Usta Boga

Są wilgotne. Migawki - przy dzieciennym łóżku
cioci Gienki -
były pierwszym do Niego sygnałem, jakby chciała
pokazać,
że wysmukli mężczyźni przyjeżdżali od strony
najdłuższej alei.
Rozpościerała włosy, chociaż poduszka była
jeszcze zimna,
a potem rozrzucała wokół pieca piki, szukając
ich koszul na wezgłowie. Czuła, że nie jest
wystarczająco naga.
Zbyt szybko wysychał piasek na progach
i wypływała rzeka poza balię.

Więc jej imieniem wołam Stwórcę, by znów mogła
zobaczyć
mężczyznę wracającego w promenady.
Między poświatą księżycy a zgrzytem rowerów -
otworzy bluzkę,
jak robi się to na kinowym plakacie. Będzie Gretą
Garbo,
co rozplatała frędzle szydełkowych narzut,
kładąc się obok: z pewnością, że wreszcie
pozwoli jej na wszystko.

Gorący wąż wsuwa się w nieme słowo, przepelza
przez ból.
W gniazdach gnieźdzą się roje żrenic, wznosi się,
aż do utraty teraźniejszości. Dalej może tylko
pisać:

tańcz ze mną jeszcze tysiące razy, ale zawsze,
jak z nietutejszą dziewczyną.
Świętujemy początek lata. Trzeba nakarmić ciszę
Sierpami rwącymi rosę z rowów. Staw jest pełen
istnienia.
Z dołu brzucha ścieżka jak jaszczurka przemyka
niespokojnie
między kopcami piersi. Szuka przyspieszonego
tętna. Przecież miłość,
to nagle zmieniające się pory roku, aż po kłujący
szron.
Domaga się ofiar. Ostra czerwień jarzębiny
Niczym pomadka, rozbija poszarzałe lustro duszy.

III NAGRODA

Erazm Stefanowski

Liryk zimowy

nie mów
że to tylko śnieg
że już nie czas na motyle
jeśli tak zazdrośnie patrzysz
na zamknięte prześcieradła
obłoków

one nie znają oddechu
który unosi sukienki
nie czerwienieją
od pocałunków
słońca
nie potykają się
o gęsią skórę gwiazd

i nie stawaj na rzęsach
by dostrzec
jak na kosmyku mych włosów
rozhuśtał się anioł
w ślubnej sukience
i sypie z rękawa
rumiankami

przecież
i tak zobaczysz \
tylko śnieg

Wyróżnienie

Tadeusz Charmuszek

Amoreska

Jedna wabi, druga nęci,
Aż się w głowie chłopu kręci.
Ta zalotnie kiwa nóżką,
Tamta szybciej ściele łóżko.

Ta przywiera bokiem czule,
Tamtej słodko można ulec,
Bo metodą usta - usta
Wtajemnicza w swoje gusta.

Ta w sypialni wciąż namiętnie
Lubi bawić się w rozpięte.
Z tamtą nie wie, jakim cudem
Zabawiają się jej udem.

Jedna mami, druga kusi,
Od przesytu gość się dusi,
Jakby sobie pełną parą
Do przeloty pchał makaron!

Cudne łanie. Dacie wiarę?
Już zakłada facet harem,
Już pięć hurys ma w ramionach...
Wtem... Rany! Budzi go... żona

Wyróżnienie

Teresa Sobestjańczuk

Jesienna miłość

Srebrem babiego lata osnuta
dojrzała jak winogron kiście
pełna szczęścia
wyluskanego z drobiazgów dnia
kolorowa gronami jarzębin
wspomnieniami przeszłości bogata
w szelest melancholii
opadłych liści wsłuchana
jesienna miłość
czułością w oczach zapisana

Wyróżnienie

Łucja Dudzińska

Ja cię kocham, a ty co?

Lubisz mieć pełne ręce. Zawiasy moich ud
kołyszają się,
gdy czule je obejmujesz. Wyczekują naporu siły.
Potrzebujemy kropel rosy i potu. Niech się
przelewają,
przecież do czegoś służą naczynia połączone.

Czekam i mówię że to chemia. Sprowadziłam
miłość do
łańcucha reakcji. Co rano maluję usta, tuszem
barwię rzęsy.
Pragnę chłodu dłoni na rozpalonym czole, może
oprzytomnieję
I tak mija kolejny dzień, mija kolejny wieczór.

Migrena niczym tęsknota wraca i w okowach
trzyma myśli,
Aby nie zeszyły na dobrą drogę. W końcu to
oczekiwanie na coś
więcej, nie tylko na rozkoszny grymas w
roztańczonej krwi.
rozpuszczam włosy i grzeszę w snach.

Wyróżnienie

Katarzyna Kandora

spotykają się co sobotę, co sobotę, co znaczy -
gdziekolwiek by - byli - nie - byli. ona pachnąca
nocą, on świecący dniem.

w tajemnicy przed innymi kupili siebie nawzajem
jednym spojrzeniem. oddali siebie jednemu
spojrzeniu.

on na chwilę ginie w kuchni szukając herbatników,
otwierając wino. ona czekając na niego stoi przy
regale z książkami; czytając tytuły lekko przechyla
głowę.

on wchodzi do wypełnionego emocjami pokoju z
herbatnikami, winem i jednym kieliszkiem. gasi
duże światło na rzecz ciemno tłące się lampki.
wybiera muzykę. siadają obok siebie już wiedząc
jak pachnie raj. popijając wino, na wspólnym
kieliszku szukają wciąż obcych warg. on
zazdrosny o telefony do niej, ona o jego półgłos
do słuchawki. już lekko rozkołysana kładzie głowę
na jego kolanach. on wygłaskuje kołysankę
zmęczonej burzy loków.

rozstają się późną nocą pocałunkiem w lewe
policzki. on daje jej pudełko z czekoladkami. ona
mu jeszcze jeden pocałunek (*spójrz przed tobą
nieoddany uśmiech*)

ona zasypia ukrywając się w pudełku z
czekoladkami; on w *ich* półmroku, na kieliszku
odnajdując jej wargi.

po czerwonym winie się
i tak lubię
gdy
Ty też

Wyróżnienie

Tadeusz Haftaniuk

Limeryk dla Walentego

Żył sobie kiedyś facet Walenty
Co nie w smak mu były eksperymenty
Zachęcała go żona
Nieco w łóżku znudzona
Ej ty Walenty przestań być święty



Maciej Topolski

Zorza (fragmenty)

Skorzystałem z zaproszenia Bebe. Zadzwoił, powiedział, że znalazł moje zdjęcie w jakiejś teczce i pomyślał, że warto byłoby się zobaczyć. Chciał mi pokazać miasto, zapoznać mnie z kilkoma osobami i powspominać. Poznałem go dawno temu, przy jakiejś absurdalnej okazji, w jakimś mglistym miejscu. Pamiętam, że urzekło mnie jego wodniste spojrzenie.

Jutro miałem wyjeżdżać. Bebe powiedział, że po obiedzie pójdziemy do kawiarni, że pokaże mi kogoś.

- Ale... - nie miałem ochoty wychodzić, chciałem odpocząć przed powrotem, rano spakować walizki i spokojnie wrócić do swojego mieszkania. Bebe nalegał. W kawiarni nie było wielu klientów. Dwóch mężczyzn piło herbatę, studentka skończyła rogalika, facet w rogu wołał kelnera. Była tam także czterdziestoletnia kobieta. Siedziała pod ścianą, dłonie złożyła na podolku, patrzyła za okno. Na stoliku przed nią stała filiżanka, podnosiła ją do ust i, biorąc mały łyk, odstawiała na talerzyk. Nie było w niej smutku, nie było w niej nawet zmęczenia, tylko echo piękna, które kiedyś, w najważniejszym momencie zawiodło i zostało zapomniane.

- Widzisz ją? - zapytał Bebe.

- Mhm.

- Nadal jest dziewicą.

I nawet wtedy, mając dwadzieścia kilka lat, była dziewicą. Mieszkała z bratem i głuchą matką. Czasami czytała jej francuskie powieści lub włączała gramofon i, siadając obok, słuchała ciszy. Przekręcała pokrętło głośności, kładła igłę i, trzymając rękę matki, kiwała głową w rytm nieistniejącej melodii. Jej myśli zajęte były czymś innym - za ścianą, na biurku, obok kałamarza leżały dwie nieotwarte koperty. Przez długie lata prowadziła korespondencję z wieloma ludźmi, przede wszystkim jednak z pisarzami. Urzekła ich na nieznany dotąd sposób: zwierzali się ze swoich planów, przysyłali książki z autografami, czasem nawet proponowali współpracę; nie wiadomo, na czym mogła ona polegać. Zdarzało się, że zapraszała ich do siebie, przysyłała adres, radziła, co mają ze sobą wziąć, jakie ubranie i jakie obuwie, planowała, gdzie pójść i co chciałyby im pokazać, na koniec podpisywała się wyćwiczoną pętelką. Przyjeżdżali po tygodniu lub dwu, nie bacząc na postępowanie nad nową powieścią, na zaległy esej czy rodzinę. W jej listach jest jakiś urok, w tym mieście też musi być, myśleli i, wysiadając z

pociągu, z maszynami do pisania w plecakach, z podręczną walizką pełną bielizny i rękopisów i, pytając kogoś o tę i tę ulicę, szli przed siebie. Nie musiała nikogo oszukiwać, pisała prawdę, tak więc, jeśli opisywała im swój widok z okna i wrażenia „po lekturze Pana poezji”, to oni mogli to później poznać, zobaczyć i przypomnieć.

Jedli razem obiady, razem spacerowali, razem palili papierosy, te ze zdobionych papierosnic i te skręcane na kolanie, razem śmiali się ze służącej, razem przypadkowo i niewinnie dotykali się dłońmi, w końcu razem zapominali, razem przepraszali za zwłokę, razem... gdyby zobaczyć ją wtedy na ulicy, można było powiedzieć: jest szczęśliwa, ma mieszkanie, ma wiklinowy koszyk z warzywami, niedługo jej świat wypełni się śmiechem dziecka. Ale było zupełnie inaczej. Listy były krótsze, odpowiedzi przychodziły rzadziej i bez prezentów.

Kiedy choroba matki zaczęła opłacać cicho i ze smutkiem cały dom, chodząc na palcach, próbowała znaleźć dla siebie jakieś rozwiązanie: jakby wisiąco za oknem na kształt bielizny, jakby zawieszona na ścianie, na małym gwoździu, mogło podrzucić wzór i sumę.

(...)

Nagle któregoś wieczoru brat powiedział jej, że ma zaproszenie na ważne spotkanie, chciał, żeby mu towarzyszyła; godzinę lub dwie później jedli kolację i rozmawiali z ludźmi, których nie znała, których on też za dobrze nie znał; zaczęli tańczyć, kelnerzy roznosili alkohol w wysokich kieliszkach, dziwiła się - czym dłużej tam byli, tym mniej - co tutaj robi, tłumaczyła, że powinna być w domu, blisko matki (która tamtej nocy poderwała się z łóżka, powiedziała dwa czy trzy słowa, i opadła, zalewając pościel krwią), ale właśnie wtedy, gdy wyszła na zewnątrz i zapaliła papierosa, zobaczyła tego człowieka, zobaczyła tylko jego ramiona, i kiedy zeszła po schodach już go nie było, popatrzyła w miejsce, w którym zdawało się, że go dostrzegła, po czym wróciła na salę; nagle, może przez alkohol, zaczęła drażnić ją ta sytuacja. Zaproszona do tańca, wyszła na drewniany parkiet i po niedługim czasie, gdy zmęczona usiadła na krześle, zobaczyła go znowu.

Profil, rękę w kieszeni i drugą, która podnosi kieliszek do ust.

Nachyliła się do kobiety obok i zapytała, kto to jest, tamten, ten młody człowiek. W odpowiedzi otrzymała imię i nazwisko; przyswoiła je od razu, prawdopodobnie na zawsze; wiedziała, że jej wzrok jest natrętny, wiedziała, że jego oczy przesuną się w jej stronę, widziała siebie, jak wstaje i podchodzi do niego, wyciąga dłoń i, przedstawiając się, słyszy każde załamanie, po chwili słyszy jego głos, jego nazwisko, jego...

- Pani brat, proszę za mną - powiedział kelner, po czym wskazał jej drogę. Podniosła się, ale kątem oka dostrzegła, że jego profil staje się twarzą, jego oczy stają się wzrokiem, ale w miejscu, w którym dopiero siedziała, widzi już inną kobietę; znika w tłumie, przechodzi przez drzwi, przez ciemny korytarz i w kuchni widzi swojego brata. Zgarbiony nad miską, z okładem na karku, pluje krwią i, podnosząc głowę, próbuje się do niej uśmiechnąć. Jego oko jest spuchnięte, wargę zaczyna rosnać, a gdy mówi:

- Zostaliśmy sami - ona kiwa głową i po chwili zastyga, mruży oczy i osuwa się na podłogę niby but, niby rozpięta suknia po całym dniu. Z cichym szelestem.

Po pogrzebie pokój matki został zamknięty na klucz. Gdy minęło kilka tygodni, gdy wyjechała rodzina, gdy podzielili się majątkiem, tym wszystkim, co się na niego składało, wrócili do normalnego życia, tak jakby ta śmierć była kwestią czasu, dopełnieniem formalności, dopiskiem u dołu kartki, na której ktoś notował czyjeś życie, i tamtego wieczoru, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, postawił ostatni przecinek, ostatnie słowo, kropkę. Listonosz nie zjawiał się już prawie wcale. Przestali do niej pisać, ona przestała odpisywać, nie na złość, ale powoli, jakby przez obawę, że nie potrafiłaby utrzymać pióra, które leżało schowane w głębokiej szufladzie. Nie było w niej lekkości, tego uczucia, z którym układała wszystkie listy. Teraz mogła błagać, koślawym i rozstrzelonym pismem, prosić, by jeszcze raz zechcieli wysiąść z pociągu i zapukać do drzwi, z pytaniem: „Czy mieszka tu...?”, i wejść do hallu, postawić walizkę, zdjąć płaszcz. Teraz, teraz to było tylko znużenie, gorsze od milczenia i niedzielnych poranków, kiedy zamiast spokoju wypełniał ją lęk przed nadchodzącym dniem, przed tym, co chciałaby, a co w jakiś niezrozumiały sposób nie mogła, bo te uczucie, wytrącając z jej dłoni filiżanki i talerze, wyrывało z jej serca przyjemność i beztroskę.

I któregoś dnia, kiedy ona i jej brat jedli razem obiad, przypomniła sobie tamto imię, tamto nazwisko; nie próbowała go sobie przypomnieć, zapomniała o jego ramionach i o pustym krześle; wróciła do zakupów, do patrzenia w okno, do łkania w poduszkę i miesięczki, która odwiedzała ją niby dobra koleżanka, niby kuzynka i po kilku dniach zniknęła: do zobaczenia, kochana... Jego profil i ręka, nie, nie śniła o nich, przynajmniej jeszcze wtedy o nich nie śniła. Tamta sytuacja, tamto miejsce były jeszcze szorstkie, tak jak szorstki może być ból, który pojawia się przed snem i znika wraz ze światem - odłożyła sztucce, wytarła usta i, patrząc chwilę na zajętego jedzeniem brata, zapytała go, czy wie coś o tym człowieku o tym imieniu i nazwisku.

Odparł, że słyszał o nim, ale niewiele, już nie pamięta od kogo i kiedy, ale jeśli się nie myli, to on często wyjeżdża, za sprawami czy do sanatorium, nie wie dokładnie, często go nie ma w mieście, a jeżeli już jest to pomaga wujowi prowadzić firmę, czy coś w tym rodzaju, nie sklep, nie hurtownię, coś dziwnego, coś, czego nie pamięta dokładnie, coś z chemią chyba, tak, on jest z dobrej rodziny, mieszka w śródmieściu, gdzieś niedaleko placu.

Dokończyli obiad, odsunęli krzesła i wrócili do swoich pokoi. Kilka godzin później spytała, czy przypadkiem nie zna adresu tego człowieka; ma do niego sprawę i chce napisać list z prośbą, bo pewna znajoma... zaczęła kłamać, nie przeczuwając jeszcze - bo tylko nieliczne stworzenia na ziemi (na przykład ślimak) i tylko niektórzy ludzie potrafią przewidzieć coś na tym świecie (na przykład zegarmistrz) - że ten adres będzie przyczyną tak wielu przykrych dla jej zdrowia i ducha zdarzeń, i że wielokrotnie i bezskutecznie będzie próbować zapomnieć tę ulicę, i jeszcze nieraz będzie zapisywała je na kopertach, tak jak zapisywała te należące do pisarzy i poetów. Brat odparł, że jeszcze dzisiaj go zdobędzie i, wstając z kanapy, włożył marynarkę i kapelusz, przeszedł obok niej, jak gdyby była to najważniejsza i najciekawsza rzecz w tym dniu, a może tygodniu - dowiedzieć się, gdzie mieszka jakiś człowiek, gdzie od czasu do czasu śpi i wiąże sznurowadła. Właśnie wtedy, w pokoju brata, zaczął się dla niej najważniejszy okres.(...)

I patrząc na biurko i kredens, który kiedyś należał do ich ojca, a który od zawsze należał do tego domu, usiadła na kanapie i postanowiła poczekać, przemyśleć treść listu, każde słowo, które pozwoli zbliżyć się do niego, dotknąć jego dłoni. Chodziła od ściany do ściany, odsuwała fotel stojący przy biurku i siadała, jakby właśnie spełniło się marzenie wielu dzieci: bez przeszkód dotykać książek i szaf w gabinecie ojca, do którego miało się dostęp jedynie wtedy, gdy przeskrobało się coś poważnego lub miało tak samo ważne pytanie.

Otworzyły się drzwi i wszedł brat, kołyszając się nieco i, stanąwszy przed nią, tłumaczyć się zawile, wyjął z kieszeni kartkę papieru. Zapach alkoholu, złożony na pół papier, swoje zmęczenie, zapaloną w kącie pokoju lampę, służącą, która zaraz po usłyszeniu kroków w hallu, przyszła do gabinetu i zapytała, czy podać kolację, i swoje suche podziękowanie, miała zapamiętać jeszcze długo. Wróciła do siebie i, siadając przy biurku zaczęła pisać pierwszy list, który spośród wszystkich, istniejących lub nie, był jednak najważniejszy, najważniejszy z tych kilku tysięcy albo miliona, tylko ten wypłynął z niej - mimo że pełen form grzecznościowych, uległości i kłamstw - naprawdę.

Maciej Topolski

Mariusz Kargul

onfabulatorium (2) Pochwała akwarystyki

W młodości parąłem się hodowlą i rozmnażaniem na skalę powiatową rybek akwariowych. Już od dobrych kilku lat staram się jednak zajmować szeroko rozumianą działalnością literacką. Mam czarny płaszcz, dandysowski kapelusz, sięgające ramion włosy, chmurne wejrzenie i opryskliwy sposób bycia. Nie szanuję klasyków, do kolegów i koleżanek „po piórze” odnoszę się z lekceważeniem, a debiutantów traktuję jak uporczywie nawracający zakwit sinic. Dostrzegam innych ludzi wokół siebie, lecz przydatność owego istnienia potwierdza się tylko w sytuacjach, kiedy mogę ich użyć jako materiału do kolejnych utworów. Owszem, mam żonę, ale śpiam z Masłowską, Tokarczuk robi mi śniadanie, a drzwi otwiera przede mną Grochola. Jest mi przykro, że sprawdzeni przyjaciele są już na tamtym świecie. I naprawdę nie ma w tym mojej żadnej winy, że Miłosz, Gombrowicz, Herbert czy Herling-Grudziński nie mogą opowiedzieć o wpływie mojej osoby na ich twórczość...

Takie to wszystko dokoła obmierzłe i nijakie. Dzieci tępawe, sąsiedzi skretyniali, pasażerowie w autobusie przypominają rasowe okazy z jakiegoś dalekowschodniego bestiariu, a spowiednik dalej ma pretensje o to, że nie trzymam rąk na kółdrze. Muszę co niedziela udawać prawego katolika, bo inaczej wywożę mnie stąd na rozrzutniku. W trakcie mszy celowo klękam i podnoszę się z opóźnieniem, byle tylko móc zobaczyć, która z nobliwych parafianek ma na sobie różowe stringi, a której nie wystarcza na zyletki i włos jej płąsa ochoczo po kroczu, odnóżach i ustach.

Staruszki z miejscowego koła gospodyń poprosiły swego czasu o napisanie kilku dobrych słów na temat jednej z nich, która w wieku 89 lat zadebiutowała na niwie literackiej. Już miałem się nadać, prychnąć, psami poszczuć, kiedy padło sakramentalne: „Panie, a wiela to bedzie?”. Przyuczony na kursie kreatywnego pisanie do natychmiastowej reakcji na tego typu dictum, rzekłem od razu: „Jak od pań szanownych, to z dwiestą za pięć pochlebnych zdań na okładce. Płatne z góry, mile widziane dodatki w postaci darów natury”. Niesiony natchnieniem, nawet nie zorientowałem się, że wszedłem w rym. W tym momencie ich nestorka zaczęła zdejmować z siebie zapaskę. Na szczęście w porę zdążyłem wyjaśnić, że chodzi mi o miód, mleko, schabik i jajka. Pochwaliłem przy okazji lotność jej dowcipu i oby-watelską postawę.

W życzliwym „blurbie” stanęło więc: „Ludowa i patriotyczna poezja naszej siostry, Dobrogniewy Zdziaślej, przesiąknięta jest głęboką chłopską mądrością, uміłowaniem roli, miłością Ojczyzny i obroną podstawowych wartości religijnych i ludzkich. Z jej debiutanckiego tomiku *Krowy i słowiki granic nie znają* bije duch wojów Krzywoustego, słysząc chrobot mieczy Jagiełłowych, wrzynających się w czaszki Krzyżaków pod Grunwaldem, załatuje łopot skrzydeł husarskich spod Wiednia i dwustuletnia woń niemytych stóp pątników, zmierzających do miejsc świętych. Sterana wiekiem i walką z wszelkimi możliwymi okupantami, nasza babcia kochana, dochowała się nie tylko czworga dzieci, 12 wnuków i 18 prawnuków (specjalna nagroda od wójta za „niespożytą aktywność na polu prokreacyjnym wsi i gminy oraz nieuleganie wrogiej propagandzie antykonceptyjnej”), ale pokusiła się także o przelanie na papier swych myśli, trosk i małych radości. Dzięki temu światło dzienne ujrzał szokujący na swój sposób zbiór wierszy, które stawiają Dobrogniewę gdzieś między Pockiem a Puckiem. Autorka chyli się już co prawda ku upadkowi, ale nad dziełem jej życia pochylają się również powoli uniwersyteckie siwizny i krytykanckie łysiny. Nie bądźmy więc obojętni wobec tak dobrego kawałka literatury, unieśmy swe znużone postmodernistyczną codziennością członki i udajmy się do najbliższej księgarni po tomik, w którym krowy mówią ludzkim głosem, a dopłaty z Unii wypłacane są co miesiąc!”.

Ostatnie zdanie dodałem gratis, żeby po wsi nie poszła fama, że zdziertus ze mnie i hochsztapler. Zresztą, jak tu nie uczynić czegoś miłego dla pani Dobrogniewy, skoro w jednym z wierszy (pt. *Upiór w pegeerze*) z rozbrajającą szczerością wyznaje: *Dojrzywałam, kwitłam, tuliłam chłopców do łona / Gdy do wsi wjechał kombajn i na mym polu skonął / Prosiłam, błagałam, płakałam / I znowu od życia w dupę dostałam*. Znawcy twórczości autorki *Krów i słowików* dotarli niedawno do emerytowanego dyrektora PGR-u Jana Bezrolnego i ustalili, że wspomniany kombajn naprawdę wjechał na pole pani Dobrogniewy i z bliżej niewyjaśnionych przyczyn całkiem zeszło z niego powietrze. Wrak stał tam jeszcze przez kilka żniw i napawał swym widokiem oczy piewców agrokulturowego industrialu. A tak na marginesie, dyrektor Bezrolny wspomina w wywiadzie-rzecz (zawartym w antologii *Stonka nie była naszym wrogiem. Kierownicy domów kultury i dyrektorzy PGR wobec wyzwań transformacji*), że tę dupę, co to w nią tak Zdziaśla od życia dostała, on długo i z namaszczeniem przywracał do stanu pierwotnej użyteczności. Złośliwi twierdzą, że w oryginale tytuł debiutanckiego tomu miał brzmieć: *Byliśmy*

sanacji kulą u nogi, ale wójt i starosta uparli się, by poezja szła jednak z duchem czasu i odzwierciedlała na przykład wejście Polski do strefy Schengen. Stąd te nieszczęsne krowy i słowiki latające bez przeszkód po całej Unii i srające na głowy z(re)integrowanych Europejczyków.

Mariusz Kargul

Marzena M. Podkościelna

oby tradycji stało się zadość

Może te słowa będą wypowiedane za lat kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt, teraz natomiast jedynie wytrwale i uparcie staramy się tę tradycję tworzyć - tradycję spotkań literackich o dumnie brzmiącej nazwie: „**Krasnostawskie Walentynki Literackie**”.

Tak oto 14 lutego 2009 roku o godz. 16, w ciepłej walentynkowej atmosferze Sali Kawiarnianej Krasnostawskiego Domu Kultury, zainaugurowaliśmy drugie z tego cyklu spotkanie, co prawda w zimowej aurze, lecz o gorącej, romantycznej tematyce. Tym razem zaproponowaliśmy dawkę poezji, poezji kobiecej a zarazem bezpardonowo z życia wziętej, poezji subtelnej, emocjonalnej, pomimo w niektórych miejscach dużej oszczędności słów, a jednocześnie krytycznej i ostrej w tych słów doborze. Taka jest właśnie poezja **Magdaleny Jankowskiej**, która zechciała być gościem honorowym krasnostawskiej walentynkowej imprezy i przyjęła zaproszenie Grupy Literackiej A4.

Był to wieczór poświęcony twórczości, jak i sylwetce poetki. Ta drobna blondynka o delikatnie kręconych włosach, umiejętnie, z właściwym sobie urokiem, dokładnie jak w jednym z jej wierszy, porwała słuchaczy w interesującą podróż. Sądząc po liczbie i twarzach zgromadzonych amatorów poezji, niezaprzeczalnie jej się to udało.

SPOTKANIE AUTORSKIE

*sala bardzo przypominała pokład samolotu
którym w odległą podróż ktoś wysłał całą klasę
wszyscy wygodnie siedzieli w głębokich fotelach
pasy bezpieczeństwa spojrzeniem zapięła
instruktorka z klubu i ogłosiła start
a ja ich miałam porwać przy pomocy wiersza*

Spotkanie poprowadziła członkini Grupy Literackiej, Jadwiga Demczuk, starając się uchwycić i uzmysłowić słuchaczom jak najwięcej treści z opublikowanych tomików poetki, jak również swoich osobistych spostrzeżeń. Wierszy bywa jednak ciągle za mało na tego typu spotkaniach, ale prezentacja wybranych, zachęciła do lektury uchwyconych i zapisanych obrazów, momentów z życiorysu, jak można było dostrzec nie tylko autorki; to pewien przekrój wielu autentycznych narracji.

Magdalena Jankowska

OJCZYŻNA

z jej wielkości musimy ująć
miejsca po wielu nieobecnych

MINIMALIZM?

aria na punkt G

DWANAŚCIE POTRAW

i trzynasta
sprawa

REWIZJA

Czemu „do łóżka”
choć równie często na tapczanie
lub materacu w niejednej kawalerce -
Dla tego ciepła które niesie
wspomnienie dziadków?

A „kochać się” -
żeby formą zwrotną łagodzić
okolicznościowy fałsz bezokolicznika?

Język -
niby tylko narzędzie
a tak nas rozumie

SYLWESTER

Ducha można wyzionąć -
ktoś przekrzykiwał hałas muzyki.

Tańczyliśmy przy rytmach ludowych
zabijanego narodu albo narodu zabójców.

Jak bałkańskie melodie
jeden rok się kończył a drugi zaczynał.

Granice oblewa się
szampanem lub krwią.

FESTIWAL LITERACKI

Jeszcze wszyscy równi przy tym stole.
Stół bez chleba i wina. Popielniczki
tylko i piwo w plastikowych kubkach.
Ale czuje się niezwykle nastrój. Będą
dawane znaki. Będzie wybrany. Wybrany
wstanie i odejdzie. To trochę przypomina
ostatnią wieczerzę, lecz związek nie wynika
z podobieństwa liczb. Powołany przestanie
być jednym z nich, chociaż będzie odpowiadał
za wszystkich i za wszystkich męczył się
przed kamerą.

Magdalena Jankowska pochodzi z Puław. Ukończyła Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Nałęczowie i filologię polską na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Debiutowała zestawem wierszy w tygodniku „Radar”. Następnie jej poezja ukazywała się w wielu pismach ogólnopolskich, m.in. w „Akcentach”, „Czasie Kultury”, „Kamieniu”, „Kresach”, „Odrze”, „Pograniczach”, „Pracowni”, „Res Publice”, „Toposie”, „Tyglu Kultury”, „Zwierciadle”. Dotychczas opublikowała sześć tomów wierszy: *I co dalej?* (1990), *Kula i skrzydło* (1992), *Zbiór otwarty* (1994), *Tak się składa* (1998), *Już* (2002), *Salon Mebli Kuchennych* (2006) oraz książkę prozatorską *Billing* (2001).

Każdy z tytułów był zauważony przez krytykę literacką. Pisano o nich na łamach „Akantu”, „Akcentu”, „Dziś i jutro”, „Ex-librisu”, „Frazy”, „Krzywego Koła”, „Literatury”, „Miesięcznika Prowincjonalnego”, „Nawiasu”, „Nowych Książek”, „Nowego Tygodnia”, „Kresów”, „Odry”, „Opcji”, „Podkowieńskiego Magazynu Kulturalnego”, „Pograniczy”, „Pracowni”, „Słowa Powszechnego”, „Słowa”, „Przeglądu Kulturalnego”, „Toposu”, „Twórczości”, „Więzi”.

Magdalena Jankowska wiele lat zajmuje się krytyką literacką, szkice literackie i recenzje publikowała m.in. w pismach „Akcent”, „Kresy”, „Na przykład”. Jest członkinią Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Niestety, nawet najciekawsze spotkanie musi dobiec końca. Pani Magdalena przyjęła podziękowania i kwiaty, a nam pozostawiła nadzieję na kolejne wiersze oraz posmak tak sympatycznie rozpoczynającego się walentynkowego wieczoru, którego dalszą częścią było ogłoszenie wyników konkursu twórczości miłosnej.

Marzena M. Podkościelna

Mariusz Kargul

Krasnystaw (nareszcie) opisany

O tym, że w Puławach mieszka jakiś pasjonat rozkochany w dziejach Krasnegostawu, i że stara się wydać monografię temu poświęconą, dowiedziałem się kilka lat temu od Saturnina Naliwajko. Usłyszałem też co nieco o braku zainteresowania książką wśród potencjalnych miejscowych decydentów i sponsorów. Długo się jednak nie dziwiłem, mając na uwadze ówczesne problemy z wydaniem sonetów Bojarczuka (w wyborze i opracowaniu dr. J. Zięby). Dzisiaj bardziej dziwię się temu, że udało mi się „załapać” na ostatni wolny egzemplarz pracy Kazimierza Stoleckiego - „Krasnystaw. Rys historyczny”.

W zaciszu domowych pieleszy każdy z nas jest wytrawnym znawcą tematu i surowym krytykiem. Z lubością wytykamy błędy bliźnim, którzy wydali drukiem poezję, prozę, wspomnienia, rozprawy itp. Trzymając w ręku gotowe owoce, często wieloletnich wysiłków i poszukiwań, deliberujemy nad brakami książki lub rażącymi uchybieniami warsztatowymi autora, autorki, autorów. Rzadko kiedy przychodzi nam wtedy do głowy zadanie sobie pytania, czy my sami bylibyśmy w stanie wykonać choć część niewdzięcznej i mozolnej pracy związanej z przygotowaniem do druku pozycji takiej, jak na przykład przywoływany tutaj rys historyczny Krasnegostawu?

Jego autor, urodzony w Krasnymstawie w 1948 roku, absolwent I LO im. Wł. Jagiełły, z wykształcenia chemik (Politechnika Wrocławska - 1971, doktorat na UMCS w Lublinie - 2007), przyznaje w przedmowie do swojej „książeczki”, jak ją zapewne przez wrozoną skromność sam określa, że w odróżnieniu od zawodowych historyków mógł pokusić się o napisanie monografii nie trzymającej się kurczowo wymogów „rasowej” dysertacji. Fakt, iż Krasnystaw takowej nie posiada i zapewne długo mieć jeszcze nie będzie. Tym bardziej należy okazać podziw i szacunek dla wysiłku dokonanego przez pana Kazimierza. I mylił się będzie ten, kto wysnuje przypuszczenie, że zapewne wystarczyło przewertowanie dostępnych opracowań na dany temat i zebranie w jednym miejscu rozproszonych wycinków z prasy.

Kazimierz Stolecki wie już doskonale z czym wiąże się napisanie nawet nienaukowej monografii niespełna 20-tysięcznego miasta o kilkusetletniej (udokumentowanej) historii: „Dziesiątki godzin spędzonych w bibliotekach, setki

godzin w Internecie oraz dziesiątki książek kupionych po drodze zostały mi sownie wynagrodzone przez te chwile, kiedy niespodziewanie znajdowałem coś niezwykłego.

Moim zdaniem jest to wielki „rarytas” czytelniczy, który stał się niemal automatycznie białym krukiem w chwili swego wydania. Autor opublikował omawianą pracę „własnym staraniem” w jednym z lubelskich wydawnictw, w nakładzie 100 egzemplarzy w połowie 2008 roku i zdażył je już rozdać lub sprzedać wśród osób spragnionych wiedzy o miejscu ich urodzenia i życia. Dzięki staraniom Artura Borzęckiego, książka trafiła też do Miejskiej Biblioteki Publicznej w Krasnymstawie. Zapewne znajdują się malkontenci wytykający jej to czy tamto, ale również lawinowo zacznie narastać liczba cytowań „Krasnegostawu”, rzecz jasna w przypadkach, gdy ktoś rzetelnie do tego podejdzie i nie będzie „przeżył” bezlitośnie i „żywcem” tego, co K. Stoleckiemu zajęło tyle czasu i zachodu.

Do tej pory, co bardziej uświadamieni mieszkańcy Krasnegostawu, mogli dokonywać następującego skrótu myślowego odnośnie historii miasta: Szczekarzew - Jagiełło - Maksymilian - Niesiecki - ruiny zamku - I wojna - Bojarczuk - II wojna - „Chmielaki” - „Nestor”. Dzięki K. Stoleckiemu nasz zasób wiedzy wymiennie się tutaj powiększył. Imponujący zasięg kwerendy źródłowej i bibliograficznej (ponad 500 wykorzystanych pozycji!) oraz dotarcie do materiałów rzucających całkiem nowe światło na niektóre znane i zdawałoby się całkowicie wyeksploatowane poznawczo fakty i zdarzenia (m.in. dzięki licznym tłumaczeniom z języków: łacińskiego i rosyjskiego), dają w efekcie prawie pełny obraz miasta jawiącego się dotychczas jako swego rodzaju „terra incognita”.

Gdyby nie docieklivość amatora lokalnej historii, być może wielu z nas nie miałoby nigdy okazji wyjść dalej poza używanie oklepanych formułek, w stylu: „Krasnystaw należał do lepiej urządzonych miast Rzeczypospolitej”, „najeżdżali go i palili Tatarzy” (na przemian z wszelkimi innymi możliwymi agresorami), „nad brzegiem Wieprza stał wyjątkowej urody zamek”, w którym Jan Zamoyski osadził arcyksięcia Maksymiliana Habsburga, a którą to budowlę doszczętnie rozebrali cni mieszczenie w pierwszej połowie XIX stulecia. Rys (dla mnie jednak bardziej zarys) historyczny podany do druku przez K. Stoleckiego definitywnie burzy ten nieco skostniały schemat. Co kilka stron napotykałyśmy bowiem na jakieś sensacyjki i niespodzianki. Mnie osobiście najbardziej do gustu przypadły dwie takie ciekawostki.

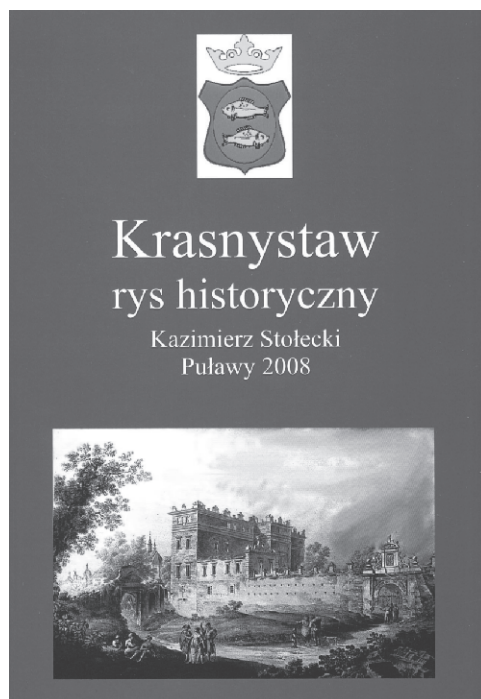
Pierwsza jest natury obyczajowej. Otóż autor doszukał się informacji o Michale Potockim (synu Feliksa), który dnia 30 stycznia 1695 r.

wywołał skandal towarzyski pośród fraucymeru królowej Marii Kazimierzy: „W wieczór zaś podczas grania bassety jmp. starosta krasnostawski spiwszy się bardzo, bestyjalskie na pokojach królowej jm. czynił akcje, wzięwszy naturalia ad manus nie tylko mężatkom, ale i pannom one prezentował ad ocula i o stół nimi kilka razy uderzył” (s. 198). Tenże sam Potocki rozeźlił się później niemiłosiernie na zacnego heraldyka Kaspra Niesieckiego (za zawartość „Korony Polskiej”), którego „[...] znieważono [...], wybito okna w jego celi i całem Kolegium. Całoroczna zgryzota, obawa dalszej, podkopała zwałone pracą zdrowie i przyprawiła Niesieckiego o śmierć przedwczesną” (s. 199).

Druga ciekawostka jest już poważniejszego kalibru, i dotyczy - pośredniego co prawda - wpływu krasnostawian na powstanie pierwszej na świecie nowożytnej republiki, czyli USA. Okazuje się bowiem, iż jeden z biskupów chełmskich, których siedzibą był przez kilka stuleci Krasnystaw, Wawrzyniec Grzymała Goślicki, stał się twórcą idei odpowiedzialności rządzących przed narodem, natomiast ze sprawiedliwością wiązał życzliwość oraz harmonię wszystkich warstw społecznych. W roku 1568 ogłosił drukiem traktat polityczny „De optimo senatore libri duo...” („O senatorze doskonałym księgi dwie, w których są wyjaśnione obowiązki urzędników oraz szczęśliwe życie obywateli i pomyślność państwa”). No dobrze, ktoś powie, a gdzie tu Ameryka? Już spieszę z wyjaśnieniem, że traktat ów został przetłumaczony na język angielski i opublikowany w Wielkiej Brytanii na początku XVIII wieku. „Thomas Jefferson, autor Deklaracji Niepodległości, współautor konstytucji i prezydent Stanów Zjednoczonych, znał i powoływał się na tekst Goślickiego. Tak więc w najważniejszych dokumentach amerykańskich pobrzmiewają echa myśli naszego biskupa” (s. 210). I pomyśleć tylko, że mógł je „kryślić gęsiem piórem ponad modrym Wieprza nurtem”...

Znane powiedzenie głosi, że „im dalej w las, tym więcej drzew”. Krasnostawianin z urodzenia, a puławianin z wyboru, pod datą 19 marca 2008 r. zapisał w swym opracowaniu: „[...] podobną książeczkę może napisać każdy, kto podejmie taki zamysł i ma odpowiednią motywację. Reszta - to kwestia czasu. Jest to jednak praca nieustająca i stale niekompletna. Kiedyś trzeba ją przerwać.

Jeżeli historia naprawdę posiada swego „ducha”, to rzeczywiście gości on na kartach „Krasnegostawu. Rysu historycznego”, ukazując nam w pełnej krasie „genius loci” miasta z dwoma karpiami w herbie. Można przypuszczać, że stało się to dzięki temu, iż książkę napisano „z potrzeb sentymentalnych”.



Autor wyszedł bowiem z założenia, że „[...] miejsce urodzenia - to specjalne miejsce na ziemi, daleko więcej niż sam tylko zapis w metryce”. I chociaż już od wielu lat K. Stolecki nie figuruje wśród mieszkańców tak hołubionego przez siebie miasta, to jednak stale jest to dla niego miejsce wyjątkowe, do którego z chęcią wraca, „przynajmniej we wspomnieniach. I zapewne tak już pozostanie”.

Kazimierz Stolecki zadedykował swą nietuzinkową pracę rodzinie i przyjaciółom „oraz wszystkim tym, którzy czują się związani z Krasnymstawem”. Myślę, że „czarna robota”, którą z takim poświęceniem i sumiennością wykonał autor, predestynuje go do otrzymania wszystkich „Złotych Karpi” i „Zacnych Uczynków” razem wziętych. Żeby specjalnie nie kadzić i nie przedłużać, strawestuję na koniec słynne zdanie wypowiedziane niegdyś przez naszego znamienitego sąsiada, Mikołaja Reja - krasnostawianie nie gęsi i swojego Stoleckiego mają!

Mariusz Kargul

Kazimierz Stolecki, „Krasnystaw rys historyczny”
Wydanie drugie poszerzone (wydane własnym
nakładem autora) Puławy 2008

Andrzej David Misiura

O Szawła do Pawła

„O statuetkę Apostoła Narodów” - pod takim hasłem odbył się rozstrzygnięty tego roku poetycki i plastyczny konkurs, ogłoszony przez parafię pw. NMP Matki Kościoła w Świdniku. Autorem wydarzenia, podobnie jak jego poprzednich edycji, był proboszcz ks. Janusz Kozłowski, którego mieliśmy przyjemność gościć na łamach poprzedniego numeru „Nestora” (4/6). Uczestników sprawiedliwie podzielono na trzy grupy wiekowe, zwracając uwagę, czy tematyka prac ma związek z przesłaniem konkursu. Według takiego też schematu nagrodzono prace i autorów. I nagrodę otrzymał Lech Frańczak z Płocka, dwie II - przypadły Alinie D. Paul (Zamość) i Wiesławie Przybyłe (Łódź), III nagroda dostała się o. Kazimierzowi Kozłowskiemu (Gniezno). Przewidziano także nagrodę dla autora z zagranicy, a trafiła ona do Leszka F. Raka (USA). Wśród wyróżnionych znalazła się, między innymi, Stanisława Wiśniewska z Krasnegostawu. W dziedzinie plastyki uhonorowano Antoniego Filipowicza (Warszawa) i Ewę Majewską (Lublin).

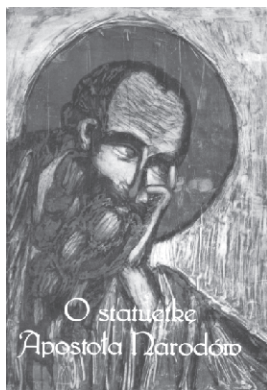
Nagrodzone prace opublikowano w specjalnym okolicznościowym wydawnictwie, w którym wypowiadają się także jurorzy, podejmując temat patrona konkursu. Okazja jest niebywała, bo 2000. rocznica jego urodzin i trwający właśnie Rok św. Pawła z Tarsu (28.06.08 - 29.06.09). Sięgając po to niewielkie wydawnictwo, nie sądziłem, że przyniesie mi ono tak wiele refleksji, za sprawą wierszy, plastyki i wspomnianych wypowiedzi.

Intrygujące przemyślenia zawarł w swoim szkicu przewodniczący komisji konkursowej, Waldemar Michalski. Pokusił się mianowicie o ulokowanie św. Pawła w realiach polskiej sytuacji społeczno-politycznej, gdzie apostoł - jak to apostoł - jest wzorem uczciwego człowieka i niedoścignionym orędownikiem Ewangelii. Wyobraźmy sobie, że nagle gazety podają do wiadomości, że Paweł z Tarsu ma opasłą teczkę w IPN-ie zarejestrowaną pod kryptonimem „Szawel”. Wychodzi na jaw, że kiedyś prześladował ludzi za przekonania i brał nawet udział w ukamienowaniu św. Szczepana! Szybko zostaje odżegnany od czci i wiary. O ironio, teraz jest on kamienowany przez media (na szczęście tylko słowami) - on, któremu tak wiele się zawdzięcza.

Michalski przypomina, że tylko Bóg ma prawo sądzić, i słowa te wspiera cytatem z Listu św. Pawła do Rzymian. Mnie szczególnie utkwiło w pamięci jedno ze zdań: *W jakiej bowiem sprawie sądzisz drugiego, sam na siebie wydajesz wyrok...*

W tej chwili zacząłem się zastanawiać, ile to razy ja sam próbowałem sięgać po kamień? I nagle zdałem sobie sprawę, że coś tutaj nie gra, bo przecież św. Paweł nigdy nie ukrywał grzechów swojej przeszłości, co jest równoznaczne z ich publicznym wyznaniem, przy tym na pewno żałował za nie serdecznie. Ostatecznie doprowadził do jasnej sytuacji, w której Bóg rozgrzesza, a ludzie wybaczą. Wobec jawności jego postępowania, nie ma tutaj miejsca dla żadnej tajemniczej teczki IPN-u, po prostu wszyscy o wszystkim już od początku dobrze wiedzieli. Jak wyglądałby natomiast bohater naszych rozważań, gdyby poszedł w zaparte do końca? Zapewne szybko okazałoby się, że skrywanie przeszłości nie jest tym samym co puszczenie jej w niepamięć. Daru rozpoznania tych pojęć i cywilnej odwagi przyznania do błędów należy życzyć wszystkim zagubionym. Ręczę, że nikt nie będzie wykonywał za to wyroków, a skrucha może nawet otworzyć drogę do świętości. Takim był przecież św. Paweł z Tarsu.

Andrzej David Misiura



O statuetkę Apostoła Narodów, redakcja: ks. Janusz Kozłowski, BESTPRINT, Świdnik-Lublin 2009, ss. 68.

Lech Frańczak

Nie ustańcie w biegu

- sportowcom niepełnosprawnym

*W dobrych zawodach wystąpiłem,
bieg ukończyłem, wiary ustrzegłem.*
Św. Paweł

Nie ustańcie w biegu
nad którym wciąż kołują gołębie
do gałązek oliwnych podobne
jego czas uczy zwyciężać
wybaczać niedoskonałość
bo istnieć to biec pod wiatr

nie ustańcie w biegu
który uniesie cień co jest krzyżem
wybierając ścieżki strome
kamienie życia znosząc cierpliwie
być sobą do końca
bo istnieć to biec pod wiatr

nie ustańcie w biegu
w którym serca duchem się mierzą
w nim jesteście jak inni
bez kultu ciała co osłepia
by dać świadectwo w kropki czasu
bo istnieć to biec pod wiatr

Jadwiga Demczuk

Powieść o podróży

Poszukujesz dzieł godnych przeczytania? Sięgnij po *Bieguni* Olgi Tokarczuk.

Olga Tokarczuk uznawana przez krytyków i czytelników za jedną z największych współczesnych powieściopisarek, autorka m.in. takich bestsellerów jak: *Prawiek i inne czasy*, *Dom dzienny, dom nocny* czy *Gra na wielu bębenkach*, została uhonorowana w 2008 roku Nagrodą Literacką Nike za *Bieguni*.

Tytuł książki nawiązuje do filozofii odłamu prawosławnych starowierców, którzy uważali, że świat jest dziełem szatana, a człowiek tkwiący w bezruchu staje się podatny na jego atak. Jedynym sposobem ratunku przed złem jest podróż, ruch.

Pisarka zbierała materiał na powieść podczas własnych wędrówek - na lotniskach, dworcach, terminalach [...]; pomogły jej także podróże wirtualne, po starych mapach...

Gdy odbierała statuetkę autorstwa Gustawa Zemły i czek na sto tysięcy złotych, mówiła: *Dziękuję wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej książki, moim bliskim, redaktorom, a przede wszystkim towarzyszom podróży, którzy otwierali mi oczy na wszystkie doznania i obrazy.*

Pisarz staje się dzisiaj w pewnym sensie *okiem i uchem*, które zbiera w jedno to wszystko, co zobaczył i usłyszał. Trzeba tylko mistrzowskiej głowy i ręki, aby tę mozaikę, od opowiadań, poprzez fragmenty eseistyczne i lapidarne zapiski, zmontować i scalić.

W rozmowie z Agnieszką Wolny-Hamkało, Olga Tokarczuk mówi, że *wynajduje sobie sposób opowiadania, który wydaje się najbliższy naszemu doświadczeniu, emocjom [...]*, świat składa się z pojedynczych obrazów (świadomość epizodyczna), które człowiek potem scala. Ta proza rozbiega się w wielu kierunkach, a naszym zadaniem jest zbudować z tego jakąś całość.

Bieguni nie są klasyczną powieścią. To tekst sylwiczny. Z opracowania Jerzego Jarzębskiego dowiemy się, że *sylwa, to gatunek wywodzący się od zbioru Silva Stacjusza, rzymskiego poety z I wieku, popularny w sarmackim piśmiennictwie stulecia. W szlacheckich dworach wykładano zsyte z pustych kart księgi, do których gospodarz wpisywał różne swoje refleksje, wspomnienia, relacje ze zdarzeń bieżących, czasem utwory literackie, także cenniejsze cudze teksty, które wpadły mu w rękę, a które - w epoce kryzysu drukarstwa - chciał, przepisując, ocalić dla domowego użytku.*

Ta forma wróciła w XX wieku (Lem, Konwicki), z jednej strony na swoistą bezforemność, gatunkową nieokreśloność czy wielorakość, z drugiej - charakter bardzo osobistego zapisu, w którym autor pozostaje stale obecnym gospodarzem utworu. U Olgi Tokarczuk każdy element stanowi osobną opowieść, a wszystkie układają się w jeden obraz, jednocześnie zachęcając czytelnika, by wypełniał przestrzeń między nimi swoją treścią.

Losy bohaterów utrwalone na pustych kartach księgi, zapładniają naszą wyobraźnię, możemy bezkarnie, stając się niewidzialnymi, przysiąść się do nich i, zagłębiając w lekturę, zacząć zadawać pytania. Co sprawia, że ludzie opuszczają swoje domy i wyruszają w nieznane? Co ich gna? Czy ja należę do współczesnych biegunów? Czy podróżowanie jest znakiem istnienia? Czy to prawda, że człowiek będący w ruchu żyje, a stając w miejscu - umiera? Kiedy rozpoczynamy naszą podróż? Czy prawdziwymi podróżnikami są ci, którzy wyjeżdżają po to, żeby wrócić?

Przecież większość z nas wie, że osiadły tryb życia, zapuszcza korzenie i prowadzi to dziwne życie, kiedy rankiem wraca się do tego, co zostawiło wczoraz, gdzie ubranie przesiąka zapachem własnego mieszkania, a stopy niestrudzenie wydeptują ścieżki na dywanie. Ale są też ludzie, którzy w wizji autorki twierdzą, że ich energia bierze się z ruchu - z trzęsienia autobusów, z warkotu samolotów, z kołowania promów i pociągów.

Aby odpowiedzieć na te pytania, trzeba tylko odkryć, że *nic się już nie da zrobić - jestem na tym świecie i mimo wszelkich niebezpieczeństw - zawsze lepsze będzie to, co jest w ruchu, niż to, co w spoczynku; że szlachetniejsza będzie zmiana niż stałość.*

Zastanawiam się, kto przeczyta powieść *Bieguni* Olgi Tokarczuk? Z pewnością każdy, kto robi w głowie niemy rachunek sumienia - czy ma wszystko, paszport i bilet, i karty, czy wymienił gotówkę. I dokąd leci. I po co. I czy znajdzie to, czego szuka, czy obrał właściwy kierunek.

Jadwiga Demczuk

Olga Tokarczuk, *Bieguni*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2008,

Miroslaw Iwańczyk

Afirmacja życia

Doktor nauk medycznych Krzysztof Włoch, z zawodu lekarz psychiatra, pracujący w SP ZOZ w Krasnymstawie, zamieszkały w Lublinie, od wielu lat pisze wiersze. Brał udział w konkursach poetyckich, między innymi zostając laureatem Ogólnopolskiego Konkursu im. Stanisława Ciesielczuka w Hrubieszowie.

Ostatni cykl jego wierszy, poświęcony pamięci Ojca Stanisława, nosi tytuł „Cztery pory roku”. Ma oryginalną kompozycję i składa się z pięciu utworów, zatytułowanych: „Preludium”, „Wiosna”, „Lato”, „Jesień”, „Zima”.

Krzysztof Włoch, sławi piękno świata, a motywem przewodnim, tak samo jak w poezji renesansowych poetów, jest afirmacja życia na kanwie wszystkich pór roku. Daje się tu zauważyć ciekawe wkomponowanie w obrazy przeżyć i refleksji np. „Jesteś wiosenną rozterką serca mego”, czy też „Wiosną będziesz zielenić widoki mej twarzy, a latem złocistym, jak rajem nieziemskim odmieniać mą duszę”.

Tak więc cztery pory roku, jak mówi poeta, to cztery obrazy ziemi i cztery stany ducha. Wiosna budzi w człowieku pragnienie zespolenia się z nią oraz metamorfozę uczuć. Poeta uosabia też ziemię z kobietą, która daje życie. Lato przynosi pełnię poczucia istnienia i przywołuje wspomnienie minionego szczęścia. Zaś jesień i zimę, pomimo iż są symbolami przemijania, autor potraktował odmiennie, tworząc subiektywną wizję ciągle rodzących się nowych myśli, przeżyć i sił vitalnych.

Pory roku są tutaj jako wieczność wszechświata, a każda z nich niesie nie tylko ciągłą przemianę uroków ziemi, ale też nowe myśli, nowe przeżycia, które odradzają duchowo. Człowiek, jak pory roku: rodzi się, rozkwita, dojrzewa, przemijając odradza się w nowych pokoleniach.

Cykl wierszy „Cztery pory roku” to poezja, o dużym ładunku emocjonalnym, skłaniająca do refleksji. Na uwagę zasługuje ciągle budujący stan ducha pod wpływem zmieniających się krajobrazów. Autor tworzy tu własną oryginalną filozofię istnienia, gloryfikuje życie i radość z niego płynącą. Na uwagę zasługują apostrofy i metafory. Warto je zgłębić.

Miroslaw Iwańczyk

Krzysztof Włoch

CZTERY PORY ROKU

JESIEŃ

Jesieni - poro umierania i rozterki.

Przyjdź do mnie dzisiaj we wspomnieniach.

Chcę, abyś była utrapieniem myśli, które odchodzą.

Przyjdź do mnie więc i bądź mą nadzieją,

Bo pragnę Cię - o Jesieni Ty moja.

(...)

Mijają wieki i myśli o Tobie.

Jesteś jak żywioł, co rozjaśnia Twe lica.

Będziesz przyszłością moją,

Naszego codziennego bycia ostoją,

Powróć Twym tchnieniem jesiennego skrycia.

Cóż zatem mogę o Tobie napisać?

W skrytości ducha, poranka nadziei,

Strumyków polnych i pełni zieleni,

Jesienną barwą czerwieni, żółceni,

Jesteś nadzieją mej duszy, mej Ziemi.

ZIMA

Zimo - poro wspomnień i rozmyślań,

Jesteś jak przystań myśli mych.

Zostań ze mną teraz, na zawsze - o Zimo Ty moja!

Będę Cię wspominał w tęsknocie.

Jesteś przemienieniem pory rozstań mych!

(...)

Nastąpią zmiany, co się zowią Tobą,

Myśli, które się rozpromieniają.

Będiesz Ty zawsze moją skrytością,

Która jest na zawsze myślą Twoją Ziemiom.

Zmień Swe oblicze tą zimową porą.

Przyjdź do mnie lasami, polami,

Myślami rzek i pagórków mocą

Będziesz jak Ziemia tej zimowej bieli,

Która jest zawsze moim wspomnieniem.

Odmień me serce - o Zimo Ty moja!

Eugeniusz Szulborski

W gabinecie luster i gdzie indziej

Dariusz Włodarczyk (rocznik 1977) poezją zajmuje się od dziesięciu lat. Na okładce jego książki *Na progu świata** wyczytać można: *W 2002 r. dołączył do krasnostawskiej Grupy Literackiej A4. Debiutował w 2004 r. na łamach „Ziemi Krasnostawskiej”. Jego wiersze ukazywały się także w „Echu Krasnegostawu”, „Egerii”, „Nestorze”, „W kręgu kultury”, „Pociąg 76” oraz w kilku antologiach.*

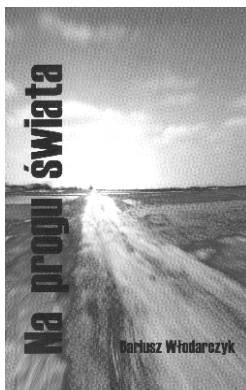
Debiutancki tomik Dariusza Włodarczyka zaskakuje dojrzałością wierszy i ich przemyślaną formą. Autor umie budować obrazy i wyciągać wnioski z tego, co powiedział. Książka zawiera trzydzieści wierszy zgrupowanych w trzech działach, w każdym po dziesięć. Oto tytuły działów: „W gabinecie luster”, „Sen o wędrówce”, „Na progu świata”. Książka jest kompozycją przemyślaną i pobudzającą do myślenia.

Poeta pisze: *obudziło mnie / muśnięcie skrzydeł // ludzie jak ptaki / szukają drzew / aby spocząć / nim nadejdzie zmrok / nim zasną w locie // i ja / szukam ostoji* („ptaki powietrzne”, s. 35). W wierszu tym dostrzegam przestrzeń, w jakiej mija życie ludzi-ptaków i lot w kierunku ostoji, rozumianej wg mnie, jako przystań, odpoczynek. Jest to chyba interesująca interpretacja egzystencji. Już ten jeden tylko wiersz młodego człowieka rokuje piękną przyszłość literacką, pod warunkiem, że wytrzyma w pracy ze słowem. Wskazaniem w jakim kierunku ta praca zmierza jest właśnie rozdział trzeci. Pojawiają się tutaj wiersze opisowe, wyraźniejsze reminiscencje spostrzeżeń i stanów ducha. Pozwolę sobie „podeprzeć się” - nieumiejętnie być może - krótkim tekstem, ale jakże wymownym: *prowadź / gdzie nie zaślepią strach / gdzie odwaga / idzie w parze z rozumem / gdzie nawet zagubione drogi / prowadzą do Ciebie* („***prowadź”, s. 43). W innym tekście, kończącym książkę, autor zauważa, że od czasów Golgoty niewiele zmieniło się na świecie. Ten sam krzyk domagający się ukrzyżowania człowieka, dziś tylko bardziej powszechny, bo na falach eteru. Prawda umiera ze strużką krwi na skroniach („***od czasów Golgoty”, s. 46). Z tego wiersza można też wysnuć wniosek, że świat, do którego zmierzamy, jest tylko papugą powtarzającą dni, że żyjemy ciągle wśród mgieł naszych serc. Co nam pozostaje? Biała laska ślepcy rozpędzającego nią chmury; prawdziwe, nie-ziemne okulary, by widzieć dobrze rzeczywistość zapominającą o bożym świecie („pochwała niedowidzenia”, s. 29).

Tomik Dariusza Włodarczyka, mimo rozbicia na działy, jest jednolitym gabinetem luster, w którym dostrzegamy otoczenie skrzywione, ale ostre. Jednocześnie dostrzegamy, że klatki w zoo są puste („autoportret ekologiczny”, s. 11). Czyżby zwierzęta uciekły za wolność i opanowały nasze otoczenie? Stąd pewnie owe przesadne gadanie o demokracji... Gadanie szeptem, za którym kryje się zysk („robot”, s. 13).

W sumie, w zbiorze wierszy Dariusza Włodarczyka jest wiele spostrzeżeń trafnych, godnych zauważenia i rokujących jak najlepiej dla przyszłego formowania słów o naszym dziś i jutro. Nie znaczy to, że napisałem o wszystkim. Każdy czytelnik znajdzie tu z pewnością powód do swego własnego monologu.

Eugeniusz Szulborski



*Dariusz Włodarczyk, „Na progu świata”, opracowanie: Agnieszka Goździejewska, fotografie: Grzegorz Szczasiuk, Monika Włodarczyk, Dariusz Włodarczyk, projekt okładki: Dariusz Włodarczyk, Norbertinum, Lublin 2008, ss. 48.

Dariusz Włodarczyk

moja wyspa zielona
migocze na horyzoncie

płynę

zapada zmrok

w oddali
morska latarnia

czy to ty
a może j a
z jakiegoś
odległego świata
chwytam
za dłoń
teraźniejszości

Andrzej David Misiura

Nie mów nikomu

Przeciętny czytelnik zdaje sobie sprawę, że bywają poeci, którzy tylko część swoich doznań wykorzystują jako materiał warsztatowy. Przetwarzają go na nowe poetyckie obrazy i metafory, pogłębiają itd. Niemalą grupę stanowią jednak ci, którzy znajdują potrzebę w przenoszeniu na papier rzeczywistego stanu mentalnego i fizycznego. Zachowują dzięki temu świeżość i autentyczność, których na próżno szukać w wierszach erudytów.

„Wiersze” Urszuli Jaros wydane zostały jako 10. tom w serii Biblioteka Akcentu. Sięgnąłem po nie wiedziony ciekawością edytorską, i szybko dałem się wciągnąć w świat przejmującej poezji. Świat będący własnością kobiety, która zmaga się z samotnią. Gdybym obwieścił, że owa twórczość jest dokładnym odbiciem życia autorki, zabrzmiłoby to ubogo i trywialnie. A jednak trudno sądzić inaczej. Taka zależność na pewno nie sprowadza pytań o trafność myśli, ponieważ wysnute są one z rzeczywistych światów.

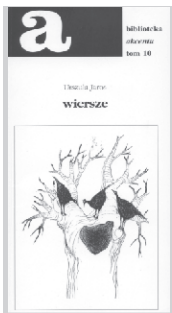
W jednym z tekstów nie powstrzyma się od pytania „*jak oddzielić śmierć od rozpacz*” (*Symptom*) i to okaże się kluczem dla czytelnika, a tzw. karmą autorki. Będzie też „*ojciec własnej śmierci*” i gorzka „*burza okłasków z paznokciami w oczy*” (*Odejścia*), ale i desperacka nadzieja:

*nie mów nikomu że już nie żyjesz
bo wielu mogłoby zgodzić się łatwo
na to że byłeś i jedynie byłeś*

(To jeszcze taniec)

Wśród prezentowanych utworów, daje się dostrzec różny poziom artystyczny, ale zdecydowanie nie można odmówić im głębokiej dojrzałości i odwagi wypowiedzi. Wszystkie drukowane były na łamach Akcentu na przestrzeni 1980-2004, a w rocznicę śmierci autorki ukazały się w oddzielnym tomie pod redakcją Bogdana Wróblewskiego. Ten zbiór warto przeczytać.

Andrzej D. Misiura



Urszula Jaros, *Wiersze*,
Wschodnia Fundacja Kultury
„Akcent”, Lublin 2008, ss.36

Urszula Władysława Jaros - ur. 17 października 1955 r. w Świdwinie. W latach 1975-1979 studiowała w Instytucie Wychowania Artystycznego UMCS. Pracowała w Zespole Szkół Budowlanych w Lublinie, w Muzeum Wincentego Pola, w biurze lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Laureatka kilku konkursów literackich, zdobyła m.in. „Lirę Świętokrzyską” (1981). Autorka tomów poetyckich: *Pokoje kobiet* (1979), *Stracone ogrody* (1984) - wyróżnienie im. J. Czechowicza, *Ach pokorna być mogłam* (1992), *Wiersze* (2008). Wielokrotnie publikowała w prasie literackiej oraz wydawnictwach zbiorowych: *Debiuty poetyckie 1979* (1980), *Dla ciebie moja miłość* (1993), *Wiązanie światłem słowa* (1997). W ostatnich latach mieszkała w domu rodzinnym w Borkowźnie niedaleko Lublina. Zmarła tragicznie 23 sierpnia 2007 r.

Urszula Jaros

* * *

nie ty jeden i niejednako
byłeś bity jesteś będziesz jeszcze
tylko powiedz czy masz na to sposób
jaką wiarę nadzieję czy zemstę ślady
klęski pozostawiasz na zawsze otwarte
czy zamykasz je uległością
tylko powiedz a może to sprzeciwi

gdy wiara moja to
najpiękniejsze
z umierających dziecko świata
pytam jak je ocalić ja brudnopalca
matka

* * *

obrabowaliśmy ją do nagich kości
przetrwaliśmy do ogryzka
do wyschnięcia soków

a jeśli na dnie łuski jest
szczerniałe ziarno
to w moim domu
gdzie ogień nigdy się nie pali
nie wykiełkuje
rozsypie się w popiół

Przewrotność tego wiersza

gdyby dało się słyszeć
łękliwy szept ciała
można by go zamienić
na krzyk z całej piersi

jest tak że to co zbroi
nie zawsze ochrania
co znaczyć mogły moje
zaciśnięte pięści
chyba tylko w nich kamień
o nieziemskiej mocy

lecz nie było kamienia
i milczały usta
krople krwi w bieli śniegu
jak garście czereśni

przewrotność tego wiersza
dedykuję śmierci
nie wiedząc czy nie mogła
czy jeszcze nie chciała

Marzenia

chciałabym choć jeden raz
być ważna tak
jak telewizor babci
konie dziadka
i marzenia matki
które ciągle przekraczają
jej możliwości

idzie przez życie dorasta
słucha odpowiedzi
na cudze pytania

jej własne gromadzą się
jak stalowe znaki zapytania
ogromny bagaż
na jedno małe życie

Nieznany ogrodnik

nie mogłam się wyzwolić
od natręctwa myśli
czy czas stracony
to ten w którym byłam
wśród tłumu ludzi
czy ten od wielu lat
z daleka od nich

nie mogłam się wyzwolić
więc pobiegłam
przez stary sad
pełen nowych owoców

nieznany ogrodnik
znowu każe mi wierzyć
że nic do końca nie dzieje się
bez drugiego człowieka
i nikt do końca
nie może być sam
choćby ci najbliżsi
najbardziej go opuścili

Artur Borzęcki

Rocznik dwunasty

24 stycznia 2009 r. w siedzibie Chełmskiej Biblioteki Publicznej miała miejsce promocja 12. tomu „Rocznika Chełmskiego”. Nowa publikacja Stowarzyszenia Rocznik Chełmski (SRCh) jest „chudsza” od poprzednich (mniejszy objętościowo był tylko tom 6) i zawiera 10 artykułów, 6 materiałów, 4 recenzje oraz kronikę (kalendaria wydarzeń za lata 2006 i 2007). Podobnie, jak w poprzednich tomach, tak i teraz redaktorzy oraz autorzy zawarli szeroki zakres opracowań zarówno chronologiczny (od pradziejów i wczesnego średniowiecza do współczesności) jak i tematyczny. Spośród wszystkich tekstów 12. tomu najmocniej reprezentowana jest oświata, bo aż trzy prace dotyczą dziejów chełmskiego szkolnictwa. Z bardziej interesujących tekstów wymienić należy artykuł prezesa SRCh, Witolda Z. Sulimierskiego, *Przyczynek do historii oświecenia ulicznego w Chełmie*, poruszający tematykę rzadko spotykaną w opracowaniach naukowych. Daje się zauważyć, że z tomu na tom Rocznik staje się coraz bardziej chełmski zarówno pod względem poruszanej tematyki, jak i chełmskiej proveniencji autorów. Taki stan rzeczy w zasadzie nie dziwi, choć pamiętać należy, że statutową misją SRCh jest popularyzacja wiedzy o historycznej ziemi chełmskiej, a ta obecnie ma wymiar transgraniczny. Pomimo wspomnianych stricte chełmskich inklinacji, znajdziemy w omawianym tomie również krasnostawskie wątki zawarte przede wszystkim w trzech tekstach: w artykule Grażyny Biernackiej *Rola elit ziemi chełmskiej w życiu Rzeczypospolitej w drugiej połowie XVI wieku*, gdzie autorka omawia aktywność polityczną m.in. Jana Zamoyskiego, Mikołaja Sienickiego czy Pawła Orzechowskiego, a więc postaci związanych również z powiatem krasnostawskim. Ponadto tematyka krasnostawska znalazła odbicie w materiale Andrzeja Bronickiego i Marka Kosińskiego: *Znaleziska monet pojedynczych z Czerniejowa i Podgórza pod Chełmem oraz Łopiennika Nadrzecznego k. Krasnegostawu, woj. lubelskie*, w którym opisana jest moneta szeląg z XVII w. znaleziony w rejonie dawnego łopiennickiego cmentarza szkieletowego. I w końcu w zestawieniu Agnieszki Magdziarz: *Wykorzystanie funduszy strukturalnych na terenie powiatów: chełmskiego, krasnostawskiego i włodawskiego na przykładzie pierwszego naboru Programu Sąsiedztwa Polska-Białoruś-Ukraina INTERREG III A/Tacis CBC 2004-2006*. Wśród omówionych 31 zrealizowanych projektów znalazły

się trzy krasnostawskie: „Festiwal Kultur pn. Bug Rzeką Kultur Polski, Ukrainy i Białorusi” (Beneficjent KDK); „Stworzenie pakietu komplementarnych projektów transgranicznych dla placówek kulturalnych powiatów krasnostawskiego i łuckiego” (Starostwo Krasnostawskie) oraz „Sport ponad granicami - Międzynarodowy Festiwal Piłki Nożnej Dziewcząt i Chłopców” (MOSiR Krasnostaw).

Reasumując, „Rocznik Chełmski” jest niezmiennie redagowany na wysokim poziomie, jak przystało zresztą na periodyk naukowy. Należy do ważniejszych tytułów tego typu na Lubelszczyźnie, o czym świadczy chociażby częstotliwość cytowań tekstów zeń pochodzących w innych publikacjach. Bogata i zróżnicowana tematyka historyczna ziemi chełmskiej, a na dodatek niedostatecznie opracowana sprawa, że tematów do opracowania nie brakuje, czego zapewne doświadczymy w 13. miejmy nadzieję, że niepechowym tomie.

Artur Borzęcki



„Rocznik Chełmski” T. 12, Stowarzyszenie Rocznik Chełmski, Chełm 2008, ss. 334.

Andrzej David Misiura

Pomniki między Warszawą a Lwowem

Gdyby nie Adam Polski, fajslawickie stowarzyszenie zapewne powstałoby znacznie później i nie wiadomo, czy nosiłoby nazwę *Towarzystwo Przyjaciół Fajslawic*. Kto byłby wówczas jego prezesem?

Polski jest tytanem pracy społecznej na rzecz rodzinnych stron. Owej pasji oddaje cały wolny od pracy zawodowej czas, niejednokrotnie kosztem domowych obowiązków. Plonem za to jest m.in. coroczna impreza *Zielnik Fajslawicki* i kilkanaście książek, dzięki którym ożywiana jest przeszłość. Rok 2009 zaowocował już pozycją *Między Warszawą a Lwowem. Pomniki i miejsca pamięci narodowej od Ryk do Hrebennego w woj. lubelskim*. Tytuł mówi wszystko. Opisy poparte fotografiami dotyczą 81 pomników, różnej rangi historycznej.

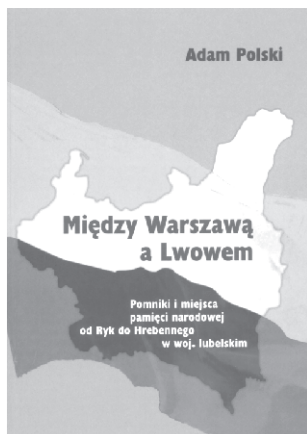
Wprowadzeniem do opracowania jest krótki rys historyczny na temat rozwoju sieci dróg. Dowiadujemy się, że pierwsze brukowane trakty powstały już w XIV wieku w Krakowie i Wrocławiu, a dopiero w 1768 roku sejm zapewnił miejsce w budżecie na utrzymanie dróg i mostów. Do 1839 roku na terenie Lubelszczyzny wybudowano 314 km dróg, a sto lat później było ich 2 914 km.

Trasa krajowa Ryki-Hrebenne w ostatnich dwóch stuleciach pełniła kluczową rolę w przemieszczaniu się wojsk we wszystkich wojnach i konfliktach zbrojnych, dlatego też naznaczona jest tak wieloma miejscami pamięci. Na odcinku Piaski-Zamość jej budowniczym był Maciej Ignacy Bayer architekt powiatu krasnostawskiego (*Nestor* 2/2007) i to właśnie jemu w hołdzie poświęcona jest omawiana książka. Zawartości dopełniają noty biograficzne ważniejszych postaci, takich jak: Maciej I. Bayer, Marian Bernaciak, Zdzisław Broński, Hieronim Dekutowski, Józef Franczak, Symon Wasylowycz Petlura i Wacław Rejmak.

W podsumowaniu, Adam Polski przejawia nadzieję, że pomniki otoczone zostaną większą troską, a władze zajmą się ich remontowaniem i konserwacją. Tym bardziej, że już niedługo opisywaną trasą podróżować będzie tysiące ludzi podczas piłkarskich Mistrzostw Europy „EURO 2012”.

Andrzej D. Misiura

Adam Polski, *Między Warszawą a Lwowem*, Towarzystwo Przyjaciół Fajslawic, Lublin - Fajslawice 2009, ss. 168, il. 130.



Edward Franciszek Cimek

Powień twórczych myśli

Życie człowieka jest wartością najcenniejszą. Ku objawionej prawdzie, dla rozkwitu dobra, na podziw piękna zostało stworzone. Uświęca je miłość i mądrość ubogacza. Jest darem Pana Boga. Dlatego ten dar trzeba nieustannie usilnym staraniem, jasnością chlubnych dążeń, pełnią roztropnych myśli, mocą słów i czynów godnie spożytkować.

W jednym ze wstępnych artykułów tygodnika „Niedziela”, jej redaktor naczelny, ks. infułat Ireneusz Skubiś napisał: *Dobrze, że są na świecie poeci, bo oni uczą nas innego postrzegania rzeczywistości: piękniejszego, cieplejszego, bardziej przyjaznego. Oni po prostu mają swoje widzenie, które jest widzeniem niebios. A jeden z naszych narodowych wieszczów, Cyprian Kamil Norwid, jak prorok przewidywał:*

*Zniknie i przepętlonie obfitość rozmaita,
Skarby i siły przewieją - ogóły całe zadrżą,
Z rzeczy świata tego zostaną tylko dwie,
Dwie tylko: poezja i dobroć... i więcej nic...*

Zaś ówczesnie żyjący, także wieszcz narodowy Polaków, Adam Mickiewicz, w jednej ze swych strof przewidział:

*Płomień rozgryzie malowane dzieje.
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje.
Pieśń ujdzie cała.*

Natomiast mistrz liryki, ksiądz Jan Twardowski, z nadzieją się wyraził:

*a z wierszy napisanych
chyba ten nie umrze
co nie bał się być prawdą
lub stał się muzyką*

Niezwykle cenną twórczą radą posłużył się czeski noblista, Jaroslav Seifert: *Poeta powinien powiedzieć więcej, niż to się kryje w łoskocie słów.* Podobnie wybitny polski pisarz, Gustaw Herling-Grudziński, odkrywco, z literacką subtelnością stwierdził: *Poezja polega na tym, że w dojrzałym wieku usiłuje się przywrócić rzeczom i uczuciom tę ich jedyną daną wyłącznie w pierwszym dotknięciu.*

Każdy, kto się podejmuje uprawy „poletka Pana Boga”, to znaczy twórczości lirycznej, musi sięgać do głębi zamyśleń, do najbogatszych pokładów człowieczych doznań i uczuć.

Lubelski bard, Tadeusz Kwiatkowski-Cugow, tymi słowy przemówił o królowej sztuki: *Trzeba umieć pokochać deszcz i zrozumieć gramatykę chmur. Trzeba umieć czytać muzykę wodospadu i symfonię leśnego poszycia, a wtedy wszystko przyjdzie samo. Sarny nigdy nie uciekną na twój widok, a ptaki nie zamilkną, gdy będziesz wędrował leśnym duktem.*

W znaczącej książce „Kalendarz i klepsydra” Tadeusz Konwicki posłużył się wobec piszących znakomitym pouczeniem: *...żeby zostać choćby najskromniejszym twórcą, trzeba mieć odwagę, trzeba wyzbyć się panicznego lęku przed śmiesznością, trzeba zrezygnować z kunkta-torstwa, trzeba odciąć wszystkie cumy zabezpieczające, trzeba przygotować się na klęski, trzeba polubić upokorzenia i trzeba wejść między obcych, nieufnych ludzi, i trzeba śmiało zawyć swoim głosem.* Zaiste, bowiem poeta to arystokrata ducha. *Biada narodowi, który stracił poetów - ostrzegł potomnych laureat literackiego Nobla, Czesław Miłosz.*

Wybitna poetka urodzona w Krasnym-stawie, Anna Kamieńska, dostrzegła w lirycznych poszukiwaniach i w utrwalaniu swoich odkryć konieczność szczególnej troski. Otóż radziła: *A jednak, aby pisać wiersze potrzebna jest odrobina szaleństwa.*

Wydaje się także za celowe zwrócenie uwagi na artystyczną oprawę poetyckich strof. Warszawski liryk z literackiego kręgu „Skamandra”, Antoni Słonimski, pouczał: *Rym ośmiela imaginację, rym jest przewodnikiem po kraju fantazji. Wprowadza nas w asocjację.* A poza tym poezja jest sztuką wokalną, sztuką mówioną. *Wiersz dopiero żyje, kiedy się go mówi.* A rym i rytm są podstawą sztuki wokalnej. W latach międzywojennych, mieszkający i tworzący wiersze w Lublinie, Józef Łobodowski pouczał wierszopisów: *Tylko u kiepskich poetów rym i rytm stają się „wędzidłem”, u autentycznych wprawiają w ruch słowną mgławicę i wyzwalają poetyckie planety z chaosu.*

Edward Franciszek Cimek



II Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Wacława Iwaniuka

W sobotę 28 lutego 2009 r., w ramach Siedliskiej Biesiady Literackiej, odbyło się podsumowanie II Ogólnopolskiego Konkursu im. W. Iwaniuka na zestaw wierszy. Organizatorami imprezy byli: Wójt i Urząd Gminy w Siedliszczu, Gminny Ośrodek Kultury w Siedliszczu, Wydawnictwo TAWA oraz Redakcja Pisma Literacko-Artystycznego „Egeria”. Uroczystość odbyła się w Zespole Szkół im. H. Sienkiewicza w Siedliszczu, gdzie oprócz montażu słowno-muzycznego i medialnego w wykonaniu uczniów Zespołu Szkół im. R. Traugutta w Siedliszczu, przygotowana została wystawa prac malarskich i grafiki Stanisława Jana Miszczuka.

Jury tegorocznej edycji konkursu (Jacek Dehnel, Waldemar Michalski, Longin Jan Okoń) przyznało nagrodę główną w postaci druku wyboru wierszy - **Natalii Zalesińskiej z Katowic**. Laureatka otrzymała pamiątkowy medal, projektu chełmskiego artysty Krzysztofa Skóry, oraz 100 sztuk autorskich egzemplarzy tomiku *Rzeczy delikatne*. Komisja przyznała ponadto 5 wyróżnień i nagrody pieniężne, ufundowane przez Jacka Dehnela, który zrezygnował z przysługującego mu honorarium, następującym osobom:

- **Ewelina Kuśka z Jastrzębia Zdroju**; godło: Arka Noego;
- **Mariusz Cezary Kosmala z Legionowa**; godło: Dłoń;
- **Arkadiusz Stosur z Krakowa**; godło: EZOP
- **Agnieszka Tomczyszyn-Harasymowicz z Głucholazów**; godło: schoste
- **Zofia Gabowska-Andrijew z Chodzieży**; godło: Słówko

Laureatka **Natalia Zalesińska** urodziła się w 1962 roku w Katowicach, gdzie obecnie mieszka. Wiersze pisze od 2004 roku. Jest laureatką kilku konkursów poetyckich, m.in.: Konkursu Jednego Wiersza „O podkowę Pegaza” (Katowice 2007), Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „Miłość niejedno ma imię” (Katowice 2008), XXV edycji Ogólnopolskiego Turnieju Jednego Wiersza „Kobieta” (Tomaszów Mazowiecki 2008). Publikowała w antologiach pokonkursowych oraz na portalach internetowych: „Nieszufłada” i www.poezja-polska.pl. Związana ze Stowarzyszeniem Inicjatyw Kulturalno-Literackich „Metasfora” w Katowicach.



Natalia Zalesińska

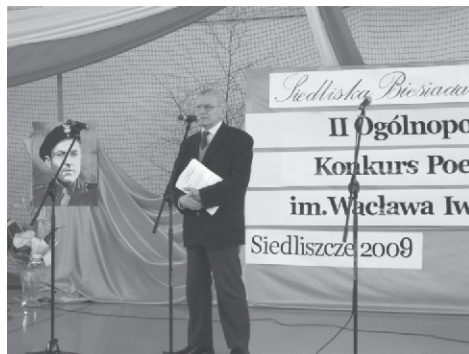


Danuta Makaruk i laureatka

W ocenie jury utwory Natalii Zalesińskiej, opatrzone wspólnym tytułem *Rzeczy delikatne*, są przykładem poezji kreującej indywidualną wizję świata. Autorka wykorzystuje bogaty zasób leksykalny, budując ciekawe i zaskakujące metafory. Stosuje przy tym swobodne rozczłonkowanie na wersy, co z jednej strony zaciemnia schemat składniowy, ale z drugiej – otwiera na interpretacyjną dowolność, tworzy nowe znaczenia poetyckich przenośni.

III edycja konkursu planowana jest już na jesieni bieżącego roku.

Waldemar Taurogiński



Waldemar Michalski

Natalia Zalesińska
wiersze z tomu "Rzeczy delikatne"

W kobietach słoneczne południe

Ma dwadzieścia jeden lat i mówi:

*Masz ładną twarz, ciało
 - miąsz moreli.*

Spójrz, a na moich udach ostatnio sińce
 i boję się brzydko zestarzeć.

Pamięta słowa
 z bezśnieżnej zimy.

Z pewnej perspektywy

Tylko nie z pozycji, bo się kojarzy.
 M

Ten z góry za niedługo przechleje cały las,
 a ten z dołu nosi rdzawą koszulkę
 z napisem *Save The Planet*. Ekolog?

A ja lubię zieleń. I widzę to, czego ludzkie
 oko nie dostrzega, bo człowiek zajmuje się
 gnojeniem: pól, łąk, a przede wszystkim
 własnego życia. Nic mi do tego.

Proszę tylko Boga, żeby nie skończyć
 jak pradziadek na drzewie, przy granicy
 mojego pana.

Skubię trawę, skubię życie.

tak

nazywam się czerwień
 i mam na sobie wszystkie kropki
 z twoich wierszy N. ciśnienie
 spada poniżej stu - karmisz się
 chlebem i pijesz duszę zakonnika.
 a ja krążę, krążę po krawędzi filiżanki
 i nie wiesz,

gdy przystanę - skończy się życie.

Telepatyczne

*Otworzyły się oczy niebieskie w kolebaniach
 i wstrząsach. Wyśnił mnie tamtej nocy. Rozległ się
 dzwonek do drzwi, chciał coś powiedzieć.*

Rano odbicia w przykrótkim korytarzu, burza
 w lustrze. Zmarł Marek w winach i bez win.
 Pękła szklanka, na jej dnie grosze.

Latawce, fastrygi; rozmowy z umarłymi.

Gama, gamma

I
 Potrzebny mi spokój i dzień
 w którym narodzi się niebo. Wtedy przyjdą
 z ust, wydzielina z agawy nasącza rany,
 pęknięcia na ścianach.

A kobieta w selwie zanuci:
 kiedy dotkam twoich pięknych, nagich pleców,
 kiedy dotkam staje się gładkość.

II
*Zrywać kwiaty powoju. Zaspokoić głód,
 zaspokoić głód*

Podobno po wszystkim przychodzą mrówki.
 Śledziła je. Wzdłuż powoju za nimi wracała
 do muru. Szukała w nim wgłębień. Rozdrapywała
 i jadła ukradkiem. Brak wapnia? A może sposób
 - jak wnikać w zamurowane okno?

Przyuważyli.

III
 Odtąd na stole brązowa buteleczka.
 Lubiła jej wnętrze, smak. Teraz ma mocne kości,
 rozpoznaje innych po uczynkach, słowach.
 Ich twarze, oczy.

Zbiegi

Zdarzają się rzeczy dziwne,
 o których nie śnimy? Rzeczy delikatne,
 jak w tamtym wierszu. Byliśmy blisko.

Nie spojrział, a ona trzymała dziecko na rękach.
 Szeptala: niebo Mateusz Jan, ma oczy ojca.
 Moje są zbyt uniesione, nadają twarzy wyraz
 wiecznie zdziwionej.

Powrót jest pętlą. Zasklepia nas
 chandra dżdżu - mleko i glina.

Edward Franciszek Cimek

T

 wórcze fascynacje

Cóż jest piękniejszego i wspanialszego nas dokonania Stwórcy w przyrodzie?! Jakimż bezmiarem został wszechświat ubogacony? A ileż wspaniałomyślnej dobroci Bóg okazał człowiekowi? Wszystko to na pożytek i na radość, i ku szczęściu ludzi.

Być może zbyt wiele podniosłości w tych oczywistych stwierdzeniach. Jednakże ich wymowa przekonuje niezwykłą jednością prawdy. Wystarczy zwrócić uwagę na talenty i szanse dane człowiekowi, który je przeobraził w artyzm podziwiany w architekturze, kulturze i sztuce, w zadziwiające odkrycia naukowe i wprost cudowne precjoza, tudzież konstrukcje techniki. Ale nade wszystko wciąż najcenniejsze pozostają wartości: dobro i miłość, prawda i mądrość, i *najcudniejszy kwiat ziemski* - jak rzekł Stefan Żeromski - *skrucha*.

W młodości tenże pisarz w swoich „Dziennikach” utrwalił myśl: *Umieć trzeba przede wszystkim odpowiedzieć ludziom, co to jest miłość*. Zgłębiając twórcze poszukiwania, jako mistrz literackiej polszczyzny odkrył, a odkrycie przekazał potomnym: *Malowanie słowami to więcej niż artyzm*. I oto Jan Parandowski w znakomitej rozprawie „Alchemia słowa” napisał: *Słowo jest potęgą. Utrwalone w piśmie zdobywa nie dającą się obliczyć ani przewidzieć władzę nad myślą i wyobraźnią ludzi, panuje nad czasem i przestrzenią*.

Literacką wartość prozatorskich i lirycznych dokonań określa ich piękno, maestria języka w wersach użyta. A piękno języka polega na jego prostocie. Wprawdzie są to trudne zabiegi twórcze, ale niezbędne w pisarstwie.

Ongiś wybitny francuski literaturoznawca, Jacques Brenner, stwierdził: *Prawdziwi pisarze pracują zawsze w samotności. Literatura bowiem to wielkie osamotnienie, lecz równocześnie jeden z najskuteczniejszych sposobów ucieczki przed nim*. A jakże bogate przesłanie pozostawił artysta malarz, współtwórca „Panoramy Racławickiej”, Jan Styka: *Kochaj sztukę i więcej nic, tylko sztukę, a w niej Boga, Ojczyznę i ludzi*. Otóż to. *W poszukiwaniu Boga* - jak napisał literat, Waldemar Łysiak - *są dwie możliwości: religia i sztuka*. Dwóch największych poszukiwaczy to mnich i artysta.

Wydaje się tutaj za właściwe wskazanie jeszcze jednej cennej myśli dotyczącej sztuki. Przekazał ją wybitny angielski poeta, pisarz i dramaturg, Oskar Wilde: *Sztuka zaczyna się tam, gdzie kończy się naśladownictwo. Publiczność jest dziwnie pobłażliwa, wybacza wszystko z wyjątkiem*

geniuszu. Niejako w wieszczych strofach przewidział to wielki rosyjski poeta Aleksander Puszkina w swym wierszu „Do poety”:

*Poeto! za nic miej pospólstwa wzgląd i łaski,
Zachwytów minie krzyk i chwały jednodniowej [...] Tyś król - pozostań sam. Nie chyląc dumnej głowy...*

Edward Franciszek Cimek

Aleksander Bernat

x x x

Obrysowałem krawędź mojego miejsca
Gdzie wszystko zdaje się kończyć i zaczynać
Jak terazniejszość zawsze ale nigdy
Tam gdzie mnie nie ma.

Arno

Moje słowa jak archipelag
Ofiarowuję wam oliwki ze spękanych wzgórz
Monte Albano
I palce moje rozgrzane ich zrywaniem
Nurt Arno płynący w łagodnym słońcu
Gdy opowiada moją tęsknotę za soczystymi łąkami
W gorące lata
Między od dawna nieobecny
A nowo przybyłym
Tak opowiadam opadający okrucz miłości

Ofiarowuję wam słońce Monte Albano
Odbite na zawsze w moich oczach

Limite sul Arno

x x x

Gdybym napisał że nie żyję
Nie skłamałbym bo po coś łąć
Ja targu z Bogiem nie dobijam
Ani też z diabłem nie chadzam spać
Czasami tylko Anioł Stróż
Scenariusz z nieprzespanych nocy
Poprawia skrętnie
Bo a nuż
Biedaczek coś przeoczył.

Berlin 1987

Henryk Radej

Cienie PRL-u

Z ciężkim sercem i w przygnębiającym nastroju wychodzi się z kina po seansie filmu „Popiełuszko. Wolność jest w nas”. W myślach rodzą się pytania: czy warto było wtedy umierać, za jaką wolność, jaki sens ma dziś ofiara ks. Popiełuszki, czy nie „zmarnowaliśmy” tej śmierci, z której miało wyrosnąć dobro? Film jest przejmujący, ale chwilami też zabawny, bo rzeczywistość tamtych lat była tyleż przerażająca, co groteskowa. Wszak żyliśmy w „najweselszym baraku” w całym obozie socjalistycznym. W niektórych sytuacjach życiowych ratowała nas tylko wiara, zdrowy rozsądek i humor.

Pamiętamy, jak niedawno temu pewna polska aktorka oświadczyła mediom, jakoby 4 czerwca 1989 roku w Polsce skończył się komunizm. Skoro tak, to dlaczego przez następne 20 lat tak trudno było odebrać przywileje (nie tylko emerytalne) esbekom, tajnikom i wszelkiej maści agentom oraz partyjniakom, którzy w PRL-u dzierżyli władzę i byli panami życia i śmierci jego obywateli? A że panami byli, świadczy o tym przypadek nie tylko „obywatela Popiełuszki”, ale też innych księży i setek ofiar, do których przyczynili się tzw. „nieznani sprawcy”. Postacie dwóch polskich generałów o niechlubnej sławie, bezpośrednio zamieszanych w tworzenie polskiego państwa bezprawia w tamtych latach, nadal mają się dobrze. Ich bezkarność jest manipulacyjnym przykładem, tak typowym dla krajów postkomunistycznych. Jakże trudno jest osądzić dziś każdego z nich z powodu... braku dowodów winy i rozbieżności w ocenie faktów. W imię zachowania mitu o tym, jak pięknie i pokojowo komuniści podzielili się władzą przy „okrągłym stole”, mają dziś immunitet, chroniący ich od skutecznej krytyki. Pewien działacz dawnej „Solidarności” wystąpił nawet z propozycją, żeby Jaruzelskiemu postawić pomnik. Ostatnio on sam zaczął lansować tezę, że to stan wojenny przyczynił się do przemian demokratycznych w Polsce po 1989 roku. Stopień historycznej i społecznej dezorientacji Polaków jest zatrważający. W rezultacie 20-letniego prania mózgu, zwłaszcza przez polskojęzyczne gazety i stacje tv, PRL trwa nadal - nie tylko w nas - i ma się całkiem dobrze.

Filmowy obraz o ks. Popiełuszcze zachwyca swoją wyrazistością i realizmem, a przy okazji przypomina widzom o wartościach uniwersalnych i podstawowych. Trudno odbierać go bez emocji, patrząc na znakomicie odtworzone w nim realia i atmosferę - zwłaszcza PRL-u z lat 80.

Widzimy, jak ludzie tłoczą się w kolejkach pod sklepami, w ulicznych akcjach tłumienia demonstracji szaleją milicyjne suki, wojskowe skoty i rozpylacze gazu łzawiącego. To wszystko zawdzięczamy dobrym zdjęciom i wykorzystaniu materiałów archiwalnych. Ogromnym plusem jest także udana rola głównego bohatera, odtwarzana przez Adama Woronowicza, z której przebijają nawet fizyczne podobieństwo do postaci, gestów i zachowań księdza Jerzego. W tym celu spędził on tydzień w warszawskim seminarium duchownym, w którym kształcił się młody Popiełuszko. Zaś urzeczony jego postawą ks. proboszcz z kościoła Braci Męczenników w Bydgoszczy zezwolił mu założyć przed kamerą te same szaty liturgiczne, w których po raz ostatni modlił się ks. Jerzy. Słyszałem o tym w wywiadzie radiowym z aktorem.

Twórcy filmu nie koloryzują faktów ani nie gloryfikują postaci Popiełuszki; nie robią z niego świętego, ale pokazują go jako normalnego, choć niewątpliwie wyjątkowego człowieka. On sam powtarzał, że nie walczy z konkretnymi ludźmi, ale ze złem. Sceny katowania młodego Przemyska, bicie i pałowanie skrępowanego powrozem księdza są na tyle sugestywne, że sami kulimy się w odruchu obronnym przed razami. Autentyzmu dodają wydarzenia przedstawione w znanych wszystkim miejscach kultu - zwłaszcza w kościele i plebanii na Żoliborzu.

Wiadomo było, że historia życia i męczeńskiej śmierci ks. Popiełuszki jest wyjątkowo filmowa, miejscami wręcz sensacyjna. W realizację dzieła zaangażowało się wielu opozycyjnych niegdyś aktorów: Kazimierz Kaczor, Krzysztof Kolberger, Władysław Kowalski, Maja Komorowska, Anna Nehrebecka, którzy współpracowali z ks. Jerzym, m.in. przy organizowaniu mszy św. za Ojczyznę. Szkoda, że poziomem kunsztu aktorskiego nie dorównują im aktorzy drugiego, czy trzeciego planu. Ale spuścmy zasłonę milczenia na wszelkie ułomności tego filmu, zwłaszcza w warstwie dźwiękowej oraz w zakresie selekcji materiału. Odnoszę wrażenie, że powstał kolejny hermetyczny polski film i zagraniczni widzowie nie rozumieją, o co chodziło księdzu, który miota się pośród tłumy umorusanych hutników i zadziera z władzą. Jednak ważne jest to, że kino polskie zauważyło wreszcie tę, istotną dla ucieleśnienia dążeń do wolności i prawdy, postać kapłana - bohatera tamtych czasów - i próbuje utrwalić ją w świadomości młodego pokolenia. Oto na pozór prosta historia biednego chłopaka z białostockiej wsi staje się romantyczną opowieścią o współczesnym rycerzu walczącym ze smokiem. Jest nawet wyraźny wątek miłosny, tyle że jest to miłość do Boga i do Ojczyzny. Jak przystało na prawdziwego romantyka, ginie on w nierównej

walce z imperium zła. Tylko jego duch i idee zostały wolne, przypieczętowane pocałunkiem Papieża Polaka, złożonym na płycie grobu podczas wizyty w Warszawie w 1987 roku. Takim obrazem kończy się film. Reszta pozostaje nadal milczeniem i tajemnicą, gdyż nadal tajemnicze są i nie do końca wyjaśnione okoliczności śmierci ks. Popiełuszki i udział w niej różnych osób.

Przyznaję, że oglądałem ten film nie bez osobistych emocji. Przed laty dane mi było poznać wielu ludzi i wiele miejsc związanych z ks. Jerzym - włącznie z najbliższą jego Rodziną i domem w Okopach. Od kilkunastu lat noszę przy sobie relikwię księdza, подарowaną mi przez jego Matkę. Jest nią specjalnie zabezpieczony kawałeczek materiału otarty o krwawe ślady męczeńskiej krwi jej Syna. Ilekroć jestem w Warszawie, staram się odwiedzić sanktuarium na Żoliborzu, bo tam nadal jest prawdziwa Polska.

Film ten szczególnie powinni obejrzeć ci, którzy przeciwni są Kościołowi i księżom, aby pomyśleli, gdzie bylibyśmy dziś, gdyby nieoceniona rola Kościoła i polskich kapłanów, nie tylko w okresie stanu wojennego. A zaczyna się tak z pozoru niewinnie, choćby od głupiego napisu na murze: „księża - na księżyc!”. Stąd już blisko do „kamulki do nóg i do wody!”, albo od razu - „do piachu!”

Ciekaw jestem, czy w generałach i byłym rzeczniku rządu (ich nazwiska obrażałyby tu pamięć o ks. Jerzym) film ten wywoła jakiekolwiek ludzkie uczucia? Bo ksiądz w nim jak żywy!

Henryk Radej

“CHATA ZA WSIA”



Paulina Stalmach i Maciej Kwiatkowski

Dariusz Włodarczyk

Chata za wsią Miłość przekracza granice wytyczone przez ludzi

W ostatnich dniach grudnia ubiegłego roku amatorski „Teatr Pokoleń” z Siennicy Różanej wystawił sztukę „Chata za wsią” wg powieści Józefa Ignacego Kraszewskiego. Premiera odbyła się 27.12.2008 r. w hali sportowej Zespołu Szkół Ministerstwa Rolnictwa w Siennicy Różanej.

Teatr amatorski, ale wykonanie znaczące: scenariusz na 6 aktów i reżyseria (Andrzej Misiura, Tadeusz Kiciński), scenografia (Tadeusz Kiciński, Mariola Niewiadomska, Sylwia Kiełbasa), rekwizyty (Henryk Mochniej, Bogdan Kargul, Piotr Kołtun, Sławomir Tryksza), profesjonalna oprawa muzyczna i techniczna (muzyka: Bogna Kicińska; udźwiękowienie i oświetlenie: Zbigniew Wolanin, Jacek Żelisko). Widać było też dojrzałe owoce pracy choreografa (Jolanta Kicińska). Cały projekt koordynowała Irena Zaraza.

W realizację dramatu zaangażowała się ponad 100 osób, w tym 52 aktorów w wieku od 6 do 74 lat. Były wśród nich całe rodziny. W dniu premiery widownia nadzwyczaj dopisała - przybyło około 800 osób. Dla Siennicy Różanej, powiatu krasnostawskiego, a także regionu to istotne wydarzenie kulturalne na zakończenie 2008 roku. Więcej informacji o „Chacie za wsią” znaleźć można na stronie: www.siennica.pl/chata/index.htm.

Osnową przedstawienia jest dramat młodych ludzi, których łączyła ze sobą „międzyklasowa” miłość. Niepisane normy społeczne stają na drodze tego uczucia. Ci, którzy zdecydowali się na taki związek, rzadko mogą liczyć na zrozumienie i przychylność swoich ziomków.

W skrócie: Tumry - młodzieniec z cygańskiego taboru, zakochuje się w Motrunie - chłopce, córce osiadłego we wsi Cygana. Ojciec Motruny dobrze zdawał sobie sprawę, co czeka ją w takim związku. Sam kiedyś tego doznał. Dlatego zaplanował, że córka wyjdzie za innego, miejscowego kawalera. Motruna jednak odmówiła kandydatowi upatrzonemu przez ojca. Ten, w akcie rozpaczy przeklął ją i Tumrego. Tabor odjechał. Młodzi zamieszkali w tytułowej chacie za wsią i „klepali biedę”, omijani przez wszystkich niczym trędowaci. Po jakimś czasie Cyganie wrócili, a z nimi piękna i dzika Aza, która mąciła w głowach i chłopom, i szlachcicom. Tumry, przygnieciony codziennymi trudami, szukał pociechy w jej ramionach. W tym czasie Motruna urodziła córkę Marysię. Uwikłany w dramat Tumry nie wytrzymał napięcia - popełnił samobójstwo. Przekleństwo



ojca Motruny wypełniało się. Minęły lata. Marysia znalazła się w podobnej sytuacji, jak jej nieżyjąca już matka: pokochała ją młody szlachcic Tomasz, a więc groźba powielenia feralnego „międzyklasowego” schematu była realna. Młodzi wyszli jednak z tej próby zwycięsko, dzięki mądrej postawie rodziców Tomasza, którzy przyzwolili na ten związek. Miłość przekroczyła granice wytyczone przez ludzi, nieczułe normy i bezsensowne zakazy społeczne.

Przedstawienie przykuwało uwagę widzów. Scenografia i rekwizyty były wyraźnie dopracowane. Przed sceną nie było kurtyny, w przerwach między aktami mieliśmy więc okazję podziwiać niezwykłą pomysłowość w tworzeniu dekoracji i plenerów. Spektakl urozmaicały śpiewy i tańce. Na scenie występowały także zespoły śpiewacze z Siennicy i okolic. Duża frekwencja, która utrzymywała się na kolejnych spektaklach świadczy o popularności i sukcesie „Chaty...”.

Grę występujących aktorów trzeba uznać za dobrą. Było to przedstawienie amatorskie, ale to, co zaprezentowali na pewno nie było amatorszczyzną. Zdarzały się drobne potknięcia, ale gdzie ich nie ma? Zresztą trema towarzysząca każdemu, kto występuje po raz pierwszy przed tak dużą widownią, tłumaczy wszystko. Dobór aktorów do poszczególnych ról był wyraźnie przemyślany i trafny. Najbardziej wyróżniała się rola Azy, ale nie jej jednej należą się pochwały.

Fabula dramatu okazała się być prosta, ale nie banalna. Powieść Kraszewskiego należąca do klasyki polskiej literatury, jest do dziś jednym z najpoczytniejszych jego dzieł. W „Chacie za wsią” tkwią fundamentalne prawdy o ludzkich, powikłanych drogach życia. Są to prawdy powszechne do tego stopnia, że (o dziwo!) przemykają niezauważone. W powieści jest mowa nie tylko o miłości i sielance cygańskiego taboru, jest tam też o ciemnocie, dawnej niesprawiedliwej obyczajowości, chłopskiej mentalności, o zawziętości, obojętności i nietolerancji. W sumie jednak spektakl ma dla odbiorcy pogodnie przesłanie; pomimo całego swojego dramatyzmu, niesie nadzieję na szczęście i pomyślność w życiu. Czyż nie o to chodziło jego twórcom?

Dariusz Włodarczyk

Bożena Fornek

Święto teatru w Siennicy Różanej

W Siennicy Różanej rozgościł się teatr. Mieszkańcy wsi przedzierzgnęli się w aktorów, techników sceny, kostiumologów. Powstawał spektakl według „Chaty za wsią” Józefa Ignacego Kraszewskiego. Widowisko w konwencji dziewiętnastowiecznej: z pudełkową sceną, dekoratorskim, malarskim tłem dla scenicznych akcji, realnym rekwizytem (jak palenisko, z którego zda się zaraz wydobędzie się ogień, a z zawieszonego nad nim sagana - zapach jadu), po odtworzony wóz cygański. Kostiumy szykowano na wzór tych z prababcinych szaf albo Mehofferowego malarstwa. Gdzieś, odpowiada mi wyobraźnia, przemukały postacie, by uczyć się aktorskiego fachu na scenicznych próbach.

Stawała się teatralna opowieść... Państwo zapewne się domyślają - o historii miłości - wielkiej, zakazanej i nieszczęśliwej, ale jakoś potrzebnej do usłuchania, ku pokrzepieniu serc i wiary w wolnego człowieka ducha. Dziewiętnastowieczna historia odwzajemnionego uczucia Cygana Tumrego i wioskowej dziewczyny Motruny prowadzi do ich dyskryminacji, odrzucenia przez lokalną społeczność i rodzinę, czego następstwem są tragiczne losy dwojga bohaterów.

Powieść Kraszewskiego w scenicznym opracowaniu Z. Mellerowej i H. J. Galasiewicza została wystawiona po raz pierwszy w 1884 roku. Teatr z Siennicy Różanej sięgnął jednak po scenariusz współczesny, rozbudowany i odstępujący od wytartego szablonu, mimo iż całe przedsięwzięcie nawiązuje do sięgającej roku 1913 tradycji wydawania ludowych przedstawień w tym środowisku. Premierowy spektakl „Chaty za wsią” (27 XII 2008 r.) był wydarzeniem, którym żyła wieś i okolice. Brakło miejsc na widowni. Za kulisami aktorzy różnych pokoleń, od dziadków po wnuków, jednoczyli się w pokonywaniu przedwystępowej tremy.

W sześciu aktach scenicznej opowieści toczy się życie wsi, stabilne, o ustalonej hierarchii i wielowiekowej obyczajowości, i obok... żywioł swobodnego życia tych innych (pogardzanych) - Cyganów. Dwa odrębne, sobie obce światy, które spotykają się w postaciach Motruny i Tumrego. Postaci te, grane przez młodziutkich wykonawców, jeszcze się w aktorach osadzają, gesty, intonacja zdań przynależą do współczesności. Reprezentanci starszego pokolenia scenicznej wsi zostali przekonująco pokazani przez siennickich nestorów: pięknie zarysowaną postacią Lepiuka - ojca Motruny, wioskowego biedaka i wesołka Jaśka, Sołoduchy, przedstawicieli dworu. Niewymuszona

gra aktorska, z jaką wykonawcy wcielają się w przedstawiane postacie tworzy teatralną ułudę, którą my - widzowie - przyjmujemy za prawdziwie życiową.

Barwny świat Cyganów - to przede wszystkim temperament wykonawców ról drugoplanowych - z reguły roztańczonych, zaś pierwszoplanowi wykonawcy przyciągają uwagę energią osobistą (Aza), co pozwala ufać, że ich role się dopełnią.

Sceniczne dialogi objawiają dramaturgię wydarzeń nawiązującą do dziewiętnastowiecznej problematyki ludzkiego losu. Z fabuły opowieści snują się pytania o tolerancję, życiowe wybory, duchową siłę człowieka.

Inscenizacja, scenografia, choreografia, muzyka (niekiedy nawiązują konwencją do teatru realistycznego, dającego złudzenie, że świat sceny jest kopią świata realnego. Ta iluzja: dekoracyjność scenicznego malarstwa, uroda rekwizytu i kostiumu, stylizowana muzyka i choreografia - mogą być pociechą dla chętnych oczu. Współczesny teatr zmierzałby do scenicznej powściągliwości i umowności rozbudowanych planów gry.

Reżyserzy spektaklu - Andrzej David Misiura i Tadeusz Kiciński - wybrali realizm, konsekwentnie do powieści i scenariusza i - jak przypuszczam - za aprobatą samych wykonawców. Reżyserzy, aktorzy, wspierani przez godny zespół współrealizatorów „Chaty za wsią”, powiedli widzów do odwiecznego mitu o miłości, do świata legendarnego romansu z ludowego podania, w którym obrazy są zrozumiałe, miejsce pozwalające ufnie iść ku scenicznej iluzji i... wszystko dobrze się kończy.

Idzie tu jednak o coś więcej. Mówi się, że teatr powinien być świętem, żywotnym rytuałem, który powinno się wspólnie celebrować. I święto się stało.

Bożena Fornek



Dariusz Włodarczyk

Tymjanek na falach zagłady

Wspólne muzykowanie trzech przyjaciół



Tymjanka w akcji:
od lewej Krzysztof
Grudzień oraz
Piotr Zańko
Fot. Dariusz
Włodarczyk

W Krasnostawskim Domu Kultury, 10 stycznia 2009 r. o godz. 20.00 zagrał „Tymjanek” w składzie: Tomasz Gieleta (gitara), Krzysztof Grudzień (gitara basowa) i Piotr Zańko (instrumenty perkusyjne). Od dawna są przyjaciółmi, którzy wśród swoich pasji mają jedną wspólną - muzykę. W KDK-u dali koncert z pogranicza psychodelii i rocka bez wyraźnie zarysowanej rytmiki - swego rodzaju „jam session”.

Tematem przewodnim występu była „zagłada”, którą przedstawili w trzech powiązanych ze sobą częściach. Muzycy w części tworzyli swą wypowiedź wokół dopracowanego dźwiękowego ambient - szkieletu. Wibrujące stereofoniczne pogłosy dźwięków i słów tworzyły coś więcej niż muzyczne tło - tworzyły przestrzeń. Gdzieś tam błyszczały „rockowe plamy”. We fragmentach mogło to przypominać wczesne Pink Floyd (np. koncert Live at Pompeii). Jak informował plakat promocyjny, był to projekt paramuzyczny. Zapis koncertu można znaleźć pod adresem: <http://totom9.wrzuta.pl/audio/IKRLDWiZBK/>

Łódź pod banderą „Tymjanka” płynąca na falach psychodelicznego odmętu zabrała też na swój pokład Stanisława Kliszczę, który wystąpił w monodramie do tekstu Leszka Kołakowskiego (fragment „Wielkiego kazania księdza Bernarda”), oraz Jacka Dzika, który wykonał „upiorną” wokalizę. Występ nagłośnił Jacek Żelisko.

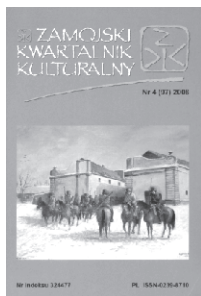
Na blisko godzinny koncert przybyło około 30 osób, które nie wyglądały na rozczarowane.

dw



Stanisław Kliszcz w
monodramie do
tekstu Leszka
Kołakowskiego
(fragmenty
„Wielkiego Kazania
księdza Bernarda”)

Zamojski Kwartalnik Kulturalny



Zamojski Kwartalnik Kulturalny tego roku dobieje setki. Dotarło do nas bowiem jego 97 wydanie, z ostatniego kwartału 2008 r. Od pół roku naczelnym redaktorem pisma jest Agnieszka Szykuła, z którą redakcja *Nestora* tyleż samo czasu ma przyjemność współpracować. Nadesłany numer poświęcony jest w przeważającej części Gminie Łaszczów. Przytaczane są legendy, historia miejscowych rodów, dzieje parafii, oraz opis i fotografie nieistniejących cerkwi. Oprócz bieżącej problematyki i ciekawostek łaszczowskich, pojawił się także ciekawy materiał ze Zwierzyńca, gdzie odbywała się Letnia Akademia Filmowa 2008, której przewodnim motywem byli Cyganie. Inny artykuł przedstawia artystę malarza Marka Rzeźniaka, rozpoznawalnego dzięki strachom na wróble, które z pasją przedstawia w swoich pracach. Na końcowe strony nie omieszkaliśmy „wkręcić się” nasz redakcyjny kolega Mariusz Kargul ze swoją miniprozą.

Ludzie z pasją - gmina Gorzków

Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie tradycyjnie gości w swojej galerii kolejnych twórców - tym razem z gminy Gorzków. Wśród prezentujących się artystów znalazła się Ewelina Kozak, Longina Mrozek, Aleksandra Mróz, Stanisława Ożóg, Ruta Pierńko, Regina Skorek i Marianna Żurek.

„Trwanie rozjaśnia horyzont”

Takie motto przyświecało 27 stycznia spotkaniu autorskiemu Stanisławy Wiśniewskiej, które odbyło się w Miejskiej Bibliotece Publicznej. Wydarzenie połączone zostało z promocją wydawanych już wcześniej tomików poezji: *Krople uczuć*, *Pod kopułą błękitu*, *Prosto i z ukosa*. Oprawę wokально-muzyczną zapewnił Michał Sułkowski, a słowo wprowadzające wygłosił Longin Jan Okoń, twórczy opiekun autorki.

Panorama Żółkiewska



Powiat krasnostawski ma prawo szczycić się aktywnością kulturalną na swoim terenie. Do znaczących wydarzeń, jakie miały miejsce w 2008 roku dołączyła *Panorama Żółkiewska Kwartalnik Społeczno-Kulturalny*.

Pierwszy numer pisma przedstawia władze gminy. Galerię postaci otwiera wójt Jacek Lis i jego zastępca Wojciech Kaczmarczyk. Poniżej znajdziemy listę radnych i sołtysów, a na końcowych stronach uśmiechają się do nas policjanci dzielnicowi. I na tym kończą się formalności. Pozostałe 30 stron *Panoramy*... to efekty działalności szkół, ośrodka kultury, Regionalnego Towarzystwa Przyjaciół Żółkiewki i czterech lokalnych parafii. Jak na czasopismo przystało, znajdują się w nim także relacje z wcześniejszych wydarzeń. Znany w miejscowym środowisku regionalista Bohdan Kiełbasa prezentuje pierwszą część historii Żółkiewki. Całość ubogaca poezja, od której właściwie ta opowieść powinna się zacząć. Autorami wierszy są Marzena Mariola Podkościelna i Lucjan Świetlicki.

Redaktor naczelnej Barbarze Niedźwiedź i całemu zespołowi redakcyjnemu życzymy satysfakcji z pracy i wydawniczych sukcesów.

Barwy Krystyny

Wernisaż odbył się 19 lutego w galerii MBP w Krasnymstawie. Krystyna Mojska jest z wykształcenia pielęgniarką, a malarstwem zajmuje się od 2000 roku. Z pewnością też należy do najlepiej rozwijających się artystek skupionych w Grupie Plastycznej PALETA. Podczas uroczystości otwarcia wystawy autorka przeznaczyła do rozlosowania wśród zaproszonych gości kilka swoich prac. Taki gest stał się już tradycją na wernisażach członków PALETY.

adm

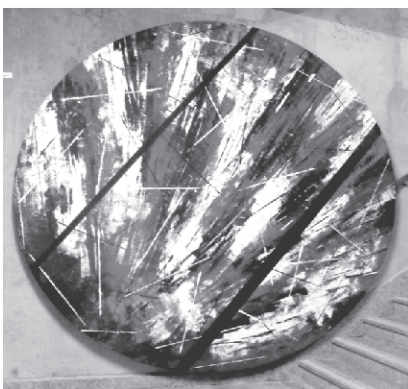
Aleksander Bernat

Puste - pełne wystawa malarstwa Lecha Twardowskiego

W piątkowy wieczór (20 lutego 2009) **pełne** były wnętrza galerii XO Art we Wrocławiu. Pełne gości, a przede wszystkim obrazów Lecha Twardowskiego. Nie będę wypowiadał się o wyrazistości malarstwa i form, na które ono się przekłada pod genialną ręką Lecha, ale muszę zwrócić uwagę, że ten rozmach i osobowość twórcza doskonale funkcjonują w naszej przestrzeni. Przestrzeń zaś jest niczym innym jak właśnie wnętrzem obrazu.

W momencie, gdy chłonę imponujące wielkością instalacje, w katalogu wystawy odnajduję subtelne jak laserunek poetyckie motto: *Bo oko, maleńka biała kulka zamknięta w swojej nocy, zarysowuje okrąg granicy, jaką przekracza tylko wtargnięcie spojrzenia...*

Później w naszej dyskusji Lech wypowie jeszcze swoje bardzo trafne przemyślenie: *...Dzisiaj nie powiesz, że amator przekroczył jakąś granicę. Jeśli nie wiesz, jaką granicę przekroczyć, to jej nie przekroczysz, bo jej nie widzisz.*



Lech Twardowski ciągle przekracza granice, bo ma nieodpartą potrzebę, aby dotknąć tajemnicy, a nie tylko szukać racjonalnego wyjaśnienia. Wiele obrazów pachniało jeszcze świeżością i farbą, pozostałe można było spotkać już wcześniej w innych galeriach. Dominowały błękity, biele i czernie. Bez wątpienia wystawa była największą wrocławską prezentacją tego autora.

Puste - pełne gości były przestrzenie malarskie Lecha. W podziemiach kina Helios, w których znalazła miejsce nowo powstała galeria XO wspominaliśmy m.in. naszego przyjaciela z Krasnegostawu Piotra Hendigery, który także związany jest z wrocławskim środowiskiem plastycznym.

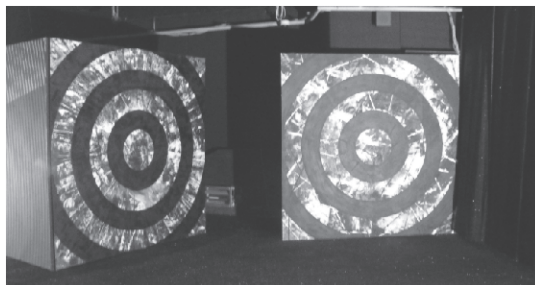
Aleksander Bernat



Lech Twardowski

Lech Twardowski urodził się w 1952 r. w Brodnicy. Studiował w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych we Wrocławiu, w pracowni malarstwa prof. Zbigniewa Karpińskiego. W 1983 r. wyjechał do Paryża; w 1995 r. powrócił na stałe do Wrocławia. Uprawia malarstwo, instalacje i performance, współpracuje z muzykami, interesuje się przestrzenią teatralną. W latach 90. wraz z grupą artystów (m.in. E. Minciel, M. Harlender, U. Wilk, A. Jarodzki, K. Wałaszek) zrealizował wiele spektakularnych akcji w przestrzeni miejskiej Wrocławia (m.in. *Malowana Świdnicka*, *Wieża Malowana*, *Spadochrony*). Później realizował duży multimedialny projekt *Generator*. W roku 2007 Muzeum Narodowe w Poznaniu zorganizowało jego przekrojową wystawę monograficzną.

W swojej twórczości wykorzystuje różne techniki i media. Jego obrazy i obiekty znajdują się w Musée d'Art Moderne w Paryżu, Muzeum Narodowym w Warszawie, Muzeum Narodowym we Wrocławiu, w kolekcji Dolnośląskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych oraz w zbiorach prywatnych w Polsce i zagranicą.



Zaginął a odnalazł się W DOLINIE WIEPRZA

Alek, a właściwie Aleksander, chociaż kiedyś miał jeszcze jakąś ksywę, która zupełnie do niego nie pasowała, urodził się i mieszkał w staromiejskiej kamienicy Hendigerych. Był nieodłączną częścią krasnostawskiej bohemy. Facet o wyjątkowej wrażliwości i zdolnościach. Grafik dysponujący świetną kreską, malarz z wrodzonym wyczuciem koloru i poeta, który, nie zważając na formę, wypowiada się wystarczająco poetycko, aby zadziwić wymagających czytelników, a krytyków wprawić w zakłopotanie.

Przed laty współtworzył Grupę Literacką Słowo (Krasnystaw), Grupę Plastyczną GEN 76 (Chełm) i inne. Autor książek poetyckich: *Żdźbło snu żdźbło nocy*, *Drewniana symfonia*, *W oczekiwaniu na przewoźnika*. Znany z otwartych i bezpośrednich wypowiedzi. Niemłody już, a ciągle gniewny.

Odnalazłem go kilka tygodni temu we Wrocławiu, w którym zamieszkuje od przeszło trzydziestu lat. Odżyły wspomnienia długich nocnych dyskusji przy mocnej herbacie, i Aleksander ponownie zaczął istnieć w krasnostawskiej przestrzeni. Napisał długi poetycki list *Władczyni moja* i pozwolił wszystkim przeczytać go na łamach niniejszego *Nestora*, podobnie jak nieznane wiersze. Nie zapomnieliśmy też o obrazach, które znalazły miejsce w naszej galerii na ostatnich stronach okładki.

Inne wspomnienia - w kolejnym wydaniu przy historii Grupy Literackiej SŁOWO.

(adm)

Studzienna tęsknota
Aleksander Bernat

Władczyni moja

Dopadła i trzyma
Nie odpuszcza od kilku dni
Więc opornie mi idzie.
Chciałbym powoli dotrzeć do słów do zasławia
do tych gestów kolorów
Co otworzyły się niczym przepastna kraina
niespełnionych marzeń.

Kiedy schodziłem w "klimaty" "Nestora"
przygalał powiał jeździec
z pochodnią wspomnień rozświetlającą Dolinę
Wieprza.
Nigdy z niej nie wywędrowałem do końca.
Przemierzając ulice Berlina, Barcelony, Gerony,
rozkoloryzowane wzgórza Toskanii –
zawsze byliście w moich wędrówkach.
Opierając zmęczone ciało o bary
we Florencji, Limite, Berlinie... Wrocławiu
zawsze czułem Waszą obecność –
Zapachy, poplamione obrusy, smutek i radość.
wielkie plany, świat stojący otworem tylko dla
nas... i powroty
przez puste ulice nad ranem były takie jak w
dolinie Wieprza.
Bo ciągle gdzieś są Andrzej, Aleksandry,
Edwardy... Henryki
czy tam, czy w tej dalekiej przeszłości.
Pamiętam i ta pamięć wytoczyła się teraz z cienia

pijana
radością doświadczeniem pragnieniem,
że Moja Nasza Dolina Wieprza
przygarnia swoje cudowne dzieci.
Wracałem do doliny z daleka z krain pięknych
nadobnych ze słowem kolorem światłem
i budziłem nadwieprzańskie Łąki
Uśpione ogrody
Płoszyłem kolorami tokańskich świtów ptaki nad
przerwańcem
I zapach cień kolor przebytej drogi był mi
drogowskazem
do Mojego miasta.
Bywały bezpańskie okna z obcym krajobrazem,
który przystrajałem pięknem naszej doliny.
Bywało, że błazen ukryty w mrocznym cieniu
wspomnień
Ukryty w szklankach wina wody wypijanej na
Ramblas
Emdener
W cieniu Monte Amiata
Pukał się w czoło, aż dzwoneczki na błazeńskiej
czapce
zanosiły się spazmatycznym śmiechem.
A ja biegłem na przełaj w sady kwitnące
na pagórach Krasnegostawu
Gdzie zapomniani poeci
Dzieci
I maści wszelkiej artyści
Statyści grają swoje role. Czasami nabożnie
Bywa, że w skupieniu w wysokiej trawie łąk
nad wartkim nurtem Wieprza.
To moja daleka droga
To moje dalekie wspomnienia i jest jak jest
Mogło nie być tych dni
Tych wspomnień, co na palcach wchodzą w ciche
sny
Zawsze zawsze zawsze

Drzewa przekwitają w moim sadzie
Ptaki opuszczają gniazda
Wszyscy odejdą stoły pozostaną puste.
Nie można być koneserem samego siebie
Ani nad połoninami ani nad lasem bukowym
W pustce nocy ani w ramionach kochanek... nie
odejdziemy
Każdy czyn zobowiązuje duszę
choćby nie zdawała sobie z tego sprawy.
Dolino Wieprza i Przyjaciele Moi
Jesteście radosnym festynem we mnie
i wiatr na pustym stole obrusem zamiecie
puste szklanki butelki i pamięć w fiolecie
cienia skryją nasze słowa
I do pustych butelek
I do pustych krzeseł
Mości Panowie więcej nie sięgnięcie.

Dopadła mnie i trzyma

Aleksander Bernat]

Sagrada Familia

No no
 A niech cię mistrzu –
 Koronkowa robota
 I niech cię ręka Boska broni
 Nic dodać nic ująć
 Boże tak sobie wystrugałem
 Ten pacierz
 Gondolę nieba co by anioł
 Ptak
 Wiatr
 Modlitwa mogły przyfrunąć ku Tobie
 Więcej nie udźwignę
 A i palce zmęczone pieszczaniem kamienia
 Z trudem utrzymują szklaneczkę wina
 Ku pokrzepieniu duszy Panie
 oczywiście.

Barcelona 2003 sierpień

X X X

Pije kawę i cygaro palę na Les Rambles
 Pociąg który mnie przywiózł
 Odjechał w nostalgiczną mgłę wspomnień
 Dzwony katedry w Barri Gòtic
 Odbijają się w twarzach zawstydzonych dziewcz
 Pije wino i cygaro palę na Les Rambles
 Pomiędzy smugami żółci migocącego błękitu
 wieczora
 Dotykam cienia La Sagrada Família
 Wiatr od morza
 Jak pocałunek kochanki przenika do głębi
 Z nocy
 Z ciasnych uliczek Barri Gotic jeździec i koń
 Otuleni czerwonym płaszczem podpływają do
 mnie
 w dźwiękach katalońskiej nocy
 Muskając cieniem zalotnym
 Twarze kawiarnianych gości
 Obok morze które już znam
 A które nigdy nie odpoczywa

Pije wino i cygaro palę
 Wsluchując się w szmer nadchodzącego świtu.

Barcelona

Olga Białek - Szwed

Media i społeczeństwo -
nowe strategie komunikacyjne

W dniach 23-24 października 2008 roku w Olsztynie zorganizowano ogólnopolskie seminarium naukowe zatytułowane *Media i Społeczeństwo. Nowe strategie komunikacyjne: stan obecny i perspektywy rozwoju*. Organizatorem konferencji była katedra socjologii Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, patronatem objęło ją Polskie Towarzystwo Socjologiczne, a patronatem medialnym - redakcje TVP Olsztyn, Radia Olsztyn i „Gazety Olsztyńskiej”.

Uczestnicy mogli wziąć udział w sesji plenarnej oraz w sześciu sekcjach tematycznych: „Homo mediens? W stronę nowej filozofii przekazu”, „Globalne społeczeństwo informacyjne. Mity i rzeczywistość”, „Kulturowe kody mediów. Ciągłość i zmiana”, „Sztuka jako komunikacja. Autor i jego dzieło”, „Komunikacja społeczności sieciowej” oraz „Multimedialne nawigacje a przeobrażenia języka”. Zasadniczym celem spotkania była próba zdefiniowania nowych strategii komunikacyjnych współczesnych mediów, ale zastanawiano się również nad problematyką złożonych relacji, jakie łączą media i ich odbiorców. Tematyka seminarium została tak zaplanowana, by mogła zainteresować, a następnie zachęcić do dyskusji przedstawicieli różnych dyscyplin naukowych, zajmujących się szeroko rozumianymi kwestiami medioznawczymi. Autorzy referatów próbowali dokonać analizy działalności mediów w kontekście społeczno-kulturowym, psychospołecznym, politologicznym, historycznym, literaturoznawczym, lingwistycznym, a nawet religioznawczym. W efekcie znaczna część referentów analizowała problemy komunikacji wirtualnej i dziennikarstwa internetowego. Dr Adam Ilciów z Uniwersytetu Zielonogórskiego zastanawiał się nad przemianami społecznymi i ich konsekwencjami, jakie wiążą się z coraz powszechniejszym dostępem do Internetu. Zwracał uwagę na relacje pomiędzy mediami tradycyjnymi, a nowymi, na rolę hipertekstu oraz konwergencję różnych form przekazu. Mgr Marta Więckiewicz z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie charakteryzowała zjawisko anonimowości w sieci, oraz próbowała odpowiedzieć na pytanie, czy anonimowość w Internecie to rzeczywistość, czy złudzenie.

Mgr Sebastian Skolik z Politechniki Częstochowskiej rozpatrywał fenomen powstawania „Wikipedii”, czyli sieciowej encyklopedii tworzonej przez wolontariuszy w kilkuset językach.

Na temat internetowych pamiętników - blogów wypowiedziały się dr Sylwia Seul-Michałowska z Uniwersytetu Szczecińskiego oraz dr Dorota Suska z Akademii im. J. Długosza w Częstochowie. Dr Suska zaprezentowała interesującą perspektywę pragmatyngwistyczną omawianej kwestii. Dr Ilona Biernacka-Ligęza z Uniwersytetu Opolskiego oraz mgr Krzysztof Stachura z Uniwersytetu Gdańskiego zajmowali się cieszącymi się coraz większą popularnością serwisami społecznościowymi i ich rolą w kształtowaniu struktur społeczeństwa informacyjnego. Ciekawy referat analizujący zagadnienia mediów wirtualnych zaprezentował dr hab. Witold Kołbuk z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II. Referent np. bardzo szczegółowo scharakteryzował obecność prawosławia w Internecie.

Niektórzy uczestnicy swoje wystąpienia poświęcili nowym, awangardowym strategiom komunikacyjnym, jakie stosowane są dzisiaj w mediach, w sztuce, a także w komunikacji interpersonalnej. Dr Agnieszka Zwiefka-Chwałek z Uniwersytetu Wrocławskiego przybliżyła specyficzną, ale cieszącą się coraz większą popularnością, komunikację odbywającą się w alternatywnym, wirtualnym świecie „Second Life”. Świecie - jak podkreślała autorka referatu - *z alternatywnymi relacjami społecznymi, alternatywną gospodarką, a także alternatywnym życiem politycznym. Rezydenci Second Life pochodzą z ponad 100 krajów świata realnego, 60% z nich to mężczyźni, a 40% - kobiety. Wśród rezydentów są osoby w różnym wieku i różnych zawodów - od robotników, studentów i strażaków po muzyków, pisarzy (wśród użytkowników był również zmarły niedawno Kurt Vonnegut), programistów, dziennikarzy, prawników, polityków, architektów, lekarzy i wojskowych. Po wirtualnych światach uczestnicy poruszają się za pomocą awatarów, czyli swoich graficznych reprezentacji (...).* Dr Arkadiusz Dudziak z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego zainteresował się komunikatami dźwiękowymi i wzrokowymi, jakie pojawiają się w reklamie audialnej i audiowizualnej. Dr Wojciech Muszyński z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego rozpatrywał aspekt społecznego i medialnego wizerunku skrajnych feministek, zaś dr Adam Roter z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach omówił lansowany przez kulturę popularną, model celebryty, który determinuje postępowanie współczesnego masowego odbiorcy. Natomiast mgr Olga Białek-Szwed z UMCS w Lublinie starała się udowodnić, że voyeuzyzm medialny, czyli podglądanie prywatnych i intymnych informacji

z życia, zarówno osób publicznie znanych, jak i anonimowych, awansował obecnie do rangi podstawowej strategii wkomunikacji masowej, ze szczególnym uwzględnieniem pism tabloidowych. Referentka starała się zdefiniować jedną ze specjalizacji, najbliższą klasycznemu voyeuzyzmowi, zwaną z języka włoskiego - paparazzi.

W trakcie olsztyńskiej konferencji omawiano również wiele innych zagadnień, jak np.: kwestie związane z globalizacją mediów i chaosem kulturowym, z manipulacją w mediach w świecie postmodernistycznym, z komunikacją w polityce i w administracji publicznej oraz w teatrze ruchu i teatrze tańca. Dr Lucjan Miś z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie analizował telewizyjne przekazy informacyjne z socjologicznego punktu widzenia, podobną metodą badań socjologicznych wykorzystała w swoim referacie dr Małgorzata Dankowska-Kosman, która starała się zrozumieć fenomen popularności programu telewizyjnego pt. „Taniec z gwiazdami”. Wśród tematów poruszających zagadnienia bardziej klasyczne, pojawił się referat oferujący nowy sposób interpretacji twórczości Ryszarda Kapuścińskiego (mgr Agnieszka Kamińska, TVP SA).

Dodatkowym organizacyjnym przedsięwzięciem w czasie trwania sesji było spotkanie przedstawicieli świata nauki, czyli „teoretyków”, z „praktykami” - dziennikarzami pracującymi w lokalnych mediach. Wspólna debata ujawniła wiele rozbieżności w opiniach i przekonaniach obu grup zawodowych. Jednocześnie uświadomiła zebranym, jak bardzo takie spotkania są potrzebne. Wszystko odbyło się jednak zgodnie z intencją organizatorów, którzy - jak napisał we wstępie do wydanej dwutomowej książki zawierającej zgłoszone referaty prof. dr hab. Marek Sokołowski: *naszym celem nie było danie gotowych rozwiązań, lecz raczej pewnych wskazówek, jak wyglądają dziś, ale też jakie mogą być projektowane już w nieodległej przyszłości nowe praktyki komunikacyjne. Społeczna przestrzeń mediów, dzięki nowym technologiom i Internetowi, wciąż się poszerza, praktycznie z dnia na dzień przynosząc oryginalne, fascynujące rozwiązania. Zmiany są integralną częścią natury, ale pamiętajmy, że mogą powodować bardzo różne skutki.* Publikacja rozdawana była już podczas trwania sesji i ukazała się pt. *Media i społeczeństwo. Nowe strategie komunikacyjne* (Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2008, t. 1, ss. 443, t. 2, ss. 395).

Olga Białek-Szwed

¹A. Zwiefka-Chwałek: Drugie życie polityka. O kampaniach politycznych i komunikacji z wyborcami w Second Life, [w:] Media i społeczeństwo. Nowe strategie komunikacyjne, M. Sokołowski (red.), Toruń 2008, s. 396.

Marta Kujawska - Gilowska

Porozmawiajmy...

Primum vivere, deinde philosophari

Rozmowa o ekologii, ochronie przyrody - o co tak naprawdę chodzi? Troska o przyszłość człowieka na ziemi? Niewątpliwie. Znaczenie klimatyczne? Zapewne. Wartości wychowawcze? Pewnie też. Ale nie są to zagadnienia rozumiane jednoznacznie. Teraz, gdy świat stał się globalną wioską, konieczne jest znalezienie złotego środka, który pozwoli żyć ludziom w miarę spokojnie, bez straszenia globalnym ociepleniem lub zlodowaceniem. Te okresy w historii ziemi były, ona przetrwała i daje nam radość życia na niej.

Powiedziano w Biblii: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną”. Więc nie człowiek jest dla ziemi, ale ziemia jest dla człowieka. I wszystko, co tworzą ludzie dla poprawienia sobie jakości życia, jest wskazane a często konieczne. Ważne, by ludzkie działanie istniało w harmonii ze środowiskiem. Jest to trudne, ale na pewno nie niemożliwe. A w końcowym efekcie zawsze powinien zwyciężać zdrowy rozsądek.

Przyszłość człowieka na ziemi nie zależy od ekologii, a przynajmniej nie tylko. Wierzący powiedzą, że będzie jak Bóg zechce. Niewierzący uważają, że globalne zmiany klimatu mamy już za progiem. A wielu zdroworozsądkowo myślących podaje przykłady cyklicznych zmian klimatycznych na ziemi, które człowiek przeżywał. Nawet w Europie na przestrzeni tylko kilkudziesięciu lat było kilka cykli pogodowych, np. zimy w latach 40. ub. wieku były bardzo ciężkie, śnieżne i mroźne oraz nadmiernie upalne lata. Potem znowu kilka sezonów prawie bez zimy, a i lata mdłe i przesadnie deszczowe. Istnieje pewien cykl pogodowych zmian, nazywanie których globalną zmianą klimatu jest nadużyciem „globalistów”.

Natomiast szczegółowo pojęta ochrona środowiska jest sprawą palącą! Tutaj mają zastosowania wartości wychowawcze, dotyczy to kultury życia niektórych narodów (i osób).

W Polsce wyrzucanie śmieci do lasu jest prawie regułą, wejście do lasu bywa często dotkliwą przykrością. Ale ci, którzy popełniają ciężki grzech wyrzucania obrzydliwych odpadów do boskiego ogrodu, jakim jest las, ci sami stają w niedzielę w kościele przed ołtarzem z miną niewiniątka! W miasteczkach i wsiach dym spalanych w kuchniach i w piecach odpadów zatruwa okolicę. Brak wyobraźni? Głupota? Niekoniecznie. Robią to ludzie niby-rozumni, często wykształceni, cywilizowani, ale im kultury osobistej i kultury współżycia międzyludzkiego brak, a poziom ich wiary jest żałosny.

Narody o starej, utrwalonej kulturze powinny być wzorem do naśladowania właśnie teraz, w czasie wielkiej migracji młodych ludzi w poszukiwaniu pracy. Oni na pewno wniosą nowe postępowania w dziedzinie szeroko pojętej ochrony środowiska - bo wiele uczy bywanie w świecie. A Polacy zawsze chętnie „pawiem narodów byli... i papuga” - oby naśladowali tylko to, co dobre.

Włączasz telewizor
Przed oczami przesuwają się kolorowe obrazki
Głodne dzieci Afryki
Zmiana
Wiele milionów dolarów za obraz piękny
Van Gogha
Zmiana
Zasłuchani koneserzy
Świętej Pana Pendereckiego muzyki
Zmiana
Ryby które pływają wbrew swoim zwyczajom
Do góry brzuchami
Zmiana
Na to pada z góry
Jak maczek na bułeczkę
Drobnutki
Trafny komentarzyk
Podlany gęstym syropem muzyczki
W której się tonie
Patrzysz nie widzisz
Słuchasz głuchy
Przywiązany do wygod
Nie myślisz
Co dalej

20.12.1989 r.

Marta Kujawska-Gilowska
12.01.2009 r.



Henryk Radej

O błąd

Dokładnie 65 lat temu niedaleko Lwowa przestała istnieć polska wieś Huta Pieniacka. Był 28 lutego 1944 roku. Tego, co tam się działo, nie można spokojnie opowiedzieć, bo coś ściska za gardło, wyciska łzy; obrazy potwornej zbrodni do dziś przesładują żyjących świadków ludobójstwa. Dopiero dziś, po tylu latach odważają się pokazać swoje twarze w programach dokumentalnych, emitowanych przez TVP zazwyczaj późną nocą. Próbuje opowiadać, choć przychodzi im to z trudem; łamiącym się głosem wskrzeszają pamięć o swoich bliskich, o spalonych domach, o zniszczonej i zrabowanej ojcowiznie.

Adziś...

To jakiś kolejny obłąd! Polski prezydent, stojąc na miejscu zbrodni w Hucie Pieniackiej, pomaga fałszować historię głoszoną przez Ukraińców, że to nie ich wina! Mogę zrozumieć prezydenta Ukrainy, który usprawiedliwia „swoich” zbrodniarzy, ale nasz prezydent - jeśli nie może wyłożyć całej prawdy - powinien milczeć. Jego milczenie byłoby bardziej wymownym świadectwem, niż bajdurzenie o zbrodniczych totalitaryzmach, które rzekomo doprowadziły do tego, że „uciemiężone przez nich narody stanęły przeciw sobie”. Zabrakło tylko: „przepraszamy i prosimy o wybaczenie wszystkich dokoła, że tu była kiedyś Polska i żyli Polacy”. Taka prawda nigdy nas nie wyzwoli - tym bardziej nie wyzwoli Ukraińców i nie przyniesie prawdziwego pojednania. Czy polska krew jest mniej droga dla naszych prezydentów od krwi ukraińskiej, czy żydowskiej? Jak można przeinaczać fakty wobec tylu żyjących jeszcze świadków tych zbrodni? Co na to elity polityczne, kulturalne, wreszcie - co na to IPN? Przecież to była zbrodnia wobec Narodu Polskiego!

Kiedy w roku 1992 zbieraliśmy z kolegą materiały do reportażu o Polakach we Lwowie i okolicach, to ciągle przypomniano nam: - *Tylko nie pytajcie nikogo o zbrodnię wojenną, nie pytajcie o polskie wsie, bo nie wiadomo na kogo traficie!* Kiedy w drodze ze Lwowa do Kamieńca Podolskiego minęliśmy Złoczów i autobus kursowy zatrzymał się na nieplanowy postój w szczerym polu, młody Ukrainiec chodził wokół nas i co chwila rzucał w naszą stronę: - *Czoho Lachy tut szukajut?* - i pokazywał, jakby nożem podcinał gardło. Autentycznie strach nas obleciał. Na szczęście „dowcipniś” wysiadł gdzieś po drodze. Nie wyglądał na pijanego ani na niespełna rozumu. Prawie pół wieku minęło od zbrodni na Wołyniu i Podolu, a my baliśmy się tam chodzić samotnie po zmroku. W sklepach z szyldami „Mistectwo” („Sztuka”) mogliśmy przebierać w portretach Stepana

Bandery - kolaboranta z Niemcami i przywódcy-ideologa ukraińskich organizacji nacjonalistycznych. Dziś cieszy się on na Zachodniej Ukrainie nieprawdopodobnym kultem. Jak grzyby po deszczu powstają tam jego pomniki i muzea, poczta wydaje koperty z jego podobizną, w niedalekim nam Łucku organizuje się festiwale rockowe jego imienia - „Bandersztat”, które uświetnia obecnością jego wnuk - Stepan Bandera junior. Tak obecnie gloryfikuje się na Ukrainie zbrodniarzy. W roku 2008 postać Bandery zajęła III miejsce w ogólnoukraińskim telewizyjnym plebiscycie „Wielcy Ukraińcy”.

Na szczęście istnieje już bogata literatura historyczna oparta na źródłach w postaci dokumentów i świadectw żyjących świadków. Polacy z Kresów Wschodnich i ich potomkowie nadal czekają na całą prawdę o ludobójstwie. Najrzetelniej i obiektywnie opisali te wydarzenia Władysław Siemaszko i Ewa Siemaszko (ojciec i córka) w pracy: „Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939-1945” (wydano przy pomocy finansowej Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, Wydawnictwo „von Borowiecky”, Warszawa 2000, stron 1433, ilustracje, źródła, ISBN 83-87689-34-3).

Ostatnio wozilem ze sobą inną, niewielką objętościowo książeczkę, podczytywałem ją wieczorami, a potem nie mogłem zasnąć, myśląc nad tym, co w niej przeczytałem. Jej autorem jest Leszek Wójtowicz z Zamościa, dziennikarz młodsze pokolenie, który zebrał swoje publikowane wcześniej reportaże w całość pod tytułem „Później szatan wstąpił w ludzi. Zapiski nie tylko z Wołynia” (Norbertinum, Lublin 2008). W reportażu „A prezydenci niech się całują” znalazłem taki oto fragment, który mocno koresponduje z tym, co napisałem wyżej, wspominając wyjazdy na Podole. Jego bohaterką jest starsza kobieta, która po latach odważyła się pojechać na Ukrainę, by uczcić pamięć i miejsca po swoich bliskich.

„4 września 1943 roku zginęli jej rodzice oraz troje rodzeństwa w wieku od półtora roku do pięciu lat. Zbrodniarzom nie przeszkażało, że jej ukochana mama była w ciąży. (...)

- Jeszcze się dziwiu, czego tam teraz szukamy - mówi Radziszewska. - Pamiętam, jak może pięcioletniemu chłopczykowi dałam cukierka, a on mówi: „My szcze was budem rzyaty”. Ktoś musiał takiemu dziecku wpoić nienawiść do naszego narodu. Po tylu latach. Po co?”

Oszczędzę sobie tłumaczenia tych słów - są dość czytelne i przerażające. Działo się to już w XXI wieku. Nie dziwię się więc takim zachowaniom tłumy Ukraińców, jakie zaprezentowali na zgłiszczach Huty Pieniackiej kilka dni temu. I na pewno nie przysięgli mi się groźne gesty i słowa

tego młodego z naszej podróży w 1992 roku. Choć wolałbym uwierzyć, że były tylko jawą, sennym widziadłem. Świadek Radziszewskiej i opowieści uczestników rocznicowego spotkania w Hucie Pieniackiej potwierdzają tylko smutną prawdę, że w mentalności ludzi na Wschodzie nie zmieniło się nic, albo bardzo niewiele w kwestii ich odnoszenia się do przedstawicieli innych narodów - szczególnie do Polaków. Ukraińscy narodowcy w Hucie Pieniackiej znów wykrzykiwali: „- A czego wy tu, Lachy, znowu szukacie?”. Ano, czego? Czy tak trudno się domyśleć?

Te gorzkie refleksje rocznicowe zakończę myślą mądrego człowieka, znawcy problematyki polsko-ukraińskiej:

"W interesie naszych narodów leży znormalizowanie naszych stosunków, co wymaga powiedzenia sobie w oczy całej prawdy - ale tylko prawdy." - Jerzy Giedroyc

Henryk Radej



Foto: Leszek Janeczek

CZASOPISMA NADESŁANE

- *Zamojski Kwartalnik Kulturalny*, Nr 4(97) 2008, ss. 124;
- *Panorama Żółkiewska. Kwartalnik Społeczno-Kulturalny*, Nr 1(1) 2008, ss. 32;
- *Lublin. Kultura i Społeczeństwo*, Nr 5-6(21-22)2008, ss.90;
- *Lublin. Kultura i Społeczeństwo*, Nr 7(23) 2008, ss. 74, numer specjalny.

Wiesław Krajewski

Dziwne dzieje wynalazku lunety

Komu ludzkość zawdzięcza wynalazek teleskopu? Nie jest to sprawa całkowicie jasna. Powszechnie podaje się, że dokonał tego Galileusz w pierwszych latach XVII stulecia, ale nie jest to prawdą. Teoretyczne podstawy naukowe i techniczne do skonstruowania lunety znane były człowiekowi już od dawna, i aż dziwne, że do wynalazku tego nie doszło nawet kilkaset lat wcześniej.

Szkło znane było ludzkości od niepamiętnych czasów. Technologia szlifowania różnorodnych ozdób szklanych - również. Pierwsze udokumentowane historycznie stosowanie soczewek pojawia się w źródłach greckich i rzymskich. Za oficjalny początek astronomii teleskopowej można uznać działalność żyjącego w XI wieku mezopotamskiego astronoma Alhazena. Był on najwybitniejszym fizykiem ówczesnego świata i uważa się go za ojca optyki. Zajmował się szeroko załamaniem i rozszczepieniem światła, zaś jego prace miały znaczący wpływ na rozwój nowożytnego teleskopu.



Karta z dzieła Alhazena.

Soczewki odkryto w znaleziskach archeologicznych w Visby na Gotlandii. Datuje się je na drugą połowę XI wieku. Kształt tych soczewek jest taki, że połowa to prawie idealna elipsoida, zaś druga strona jest płaska. Jest to prawie idealny przyrząd optyczny. Niektóre z tych soczewek posiadały oprawę ze srebra i zapewne były używane jako wisiorki.

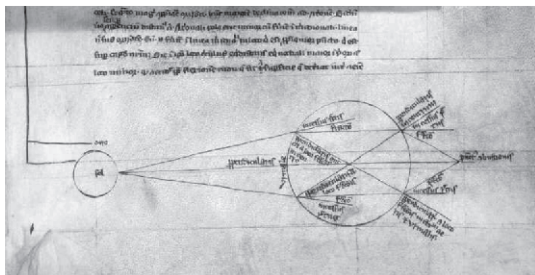
Powszechnie uznaje się że na obszarze Europy okulary korygujące dalekowzroczność za pomocą odpowiednich soczewek zostały wynalezione w północnej Italii na przełomie XIII i XIV wieku. Być może były już wcześniej znane w Chinach. Około 1450 odkryto, że soczewki wklęsłe (rozpraszające) korygują krótkowzroczność. Tak więc w połowie

XV w. dwa rodzaje soczewek niezbędnych do skonstruowania lunety były już znane i odkrycie teleskopu było, jak można przypuszczać, jedynie kwestią czasu. Nie ma jednak odpowiednich źródeł pisanych lub materialnych, aby móc stwierdzić z całą pewnością, czy już wówczas skonstruowano lunetę.



Średniowieczny sprzedawca okularów.

W kilku opracowaniach pochodzących z okresu między 1230 a 1235 rokiem Robert Grosseteste napisał: *Ta część optyki, gdy dobrze się ją pojmie, pokazuje nam jak możemy sprawić, by przedmioty bardzo odległe sprawiały wrażenie będących bardzo blisko, zaś duże bliskie przedmioty zdawały się małe, i jak możemy sprawić, by odległe przedmioty były takiej wielkości, jakiej zechcemy, tak że może być możliwym przeczytanie najmniejszych liter z niesłychanych odległości.* Uczniem Grosseteste'a w Oksfordzie był Robert Bacon. Często twierdzi się, że opisał on teleskop w XIII wieku, choć nie można stwierdzić, że kiedykolwiek zbudował w pełni funkcjonalną konstrukcję.



Optyka Grossetesta.

Istnieją przekazy świadczące, że zarówno soczewkowe jak i lustrzane teleskopy były znane w Anglii w drugiej połowie XVI wieku. Pisma Johna Dee oraz Tomasza Diggesa z lat odpowiednio 1570 i 1571 opisują zastosowanie tych konstrukcji optycznych przez ojca Tomasza, Leonarda Diggesa. Niezależne potwierdzenie tego faktu znaleźć można w innych zapisach z tamtego okresu. Jednakże wiedza o tym nie rozprzestrzeniła się.

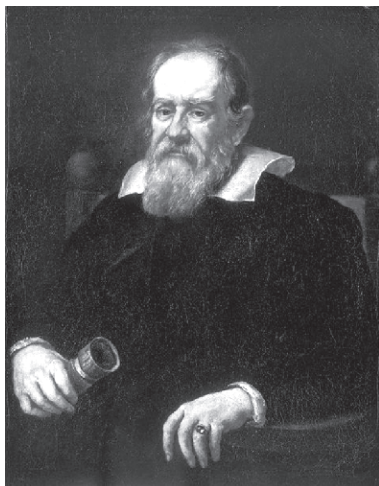
W 1589 roku Giovanni Battista Della Porta opublikował we Włoszech książkę *Magia naturalis*, w której opisał właściwości soczewek i sposób widzenia odległych przedmiotów przy zastosowaniu dwóch soczewek: skupiającej i rozpraszającej.

Jest w pewnym stopniu zaskakujące, że przy takim stanie ówczesnej wiedzy, odkrycie sposobu złożenia soczewek w układ optyczny dający lunetę, tak długo nie następowało.

Praktyczne zbudowanie przyrządu optycznego zwanego później teleskopem miało miejsce w Niderlandach około roku 1608. Wynalazek - z dzisiejszego punktu widzenia - należy przypisać trzem osobom. Byli to: Jan Lippershey (Lipperhey), Zachariasz Janssen (obydwaj byli wytwórcami okularów) oraz Jakub Adrianszoen. Jan Lippershey wystąpił o przyznanie patentu na swoje urządzenie w 1608 roku. Patentu takiego jednak nie uzyskał. Zbyt wiele osób już wtedy wytwarzało lunety, i trudno było właśnie jemu przyznać pierwszeństwo. Poza tym instrument zbyt łatwo można było odtworzyć przez innych rzemieślników. Istnieje anegdota, mówiąca o tym, że to bawiące się soczewkami dziecko tak je ułożyło, że „wyszła” z tego luneta. Anegdota nie musi być prawdziwa, ale zwraca uwagę na dwie sprawy: skonstruowanie lunety było już wtedy czynnością dziecinnie prostą i mógł tego dokonać właściwie każdy, nawet laik w dziedzinie optyki.

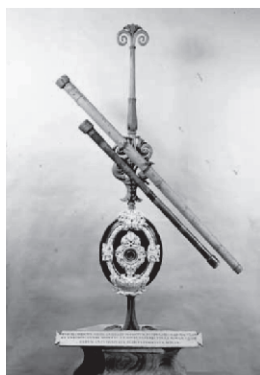


Hans Lippershey.



Galileusz.

Przyszedł czas by wspomnieć o Galileuszu. Przebywając w Wenecji w maju roku 1609 dowiedział się on o pewnym człowieku, który skonstruował instrument, *dzięki któremu odległe obiekty wydają się być bliższe i większe niż widziane okiem nieuzbrojonym*, a zasadą fizyczną, dzięki której urządzenie działa jest załamanie światła. Sam Galileusz twierdził, że rozwiązał problem konstrukcji teleskopu pierwszej nocy po powrocie z Wenecji do Padwy, zaś następnego dnia miał już gotowy instrument złożony z soczewki skupiającej i rozpraszającej zamocowanych na przeciwnych końcach drewnianej rury. Jego luneta miała 60 cm długości, średnicę 1 florena (ok. 45 mm) i powiększała... trzy razy.



Luneta Galileusza.

Pierwsza prezentacja ulepszonego już nieco przyrządu, nastąpiła w Wenecji 25 sierpnia 1609 roku i wzbudziła nieopisany zachwyt wśród zebranych. *Wielu szlacheśnych mężów i senatorów, niektórzy w podeszłym wieku, więcej niż raz pokonywało schody najwyższych dzwonnicy*

Wenecji, aby oglądać na morzu żagle i statki tak odległe, że płynąc do portu pod pełnymi żaglami musiały minąć dwie godziny lub więcej, aby mogły być dostrzeżone bez mojej lunety. Albowiem w istocie działanie tego instrumentu polega na pokazywaniu obiektu odległego na przykład o 50 mil w takiej odległości, jakby był tylko w odległości 5 mil. Dla Galileusza pokaz przyniósł odnowienie kontraktu profesorskiego i podwojenie pensji.

Galileusz sam był zachwycony tym cudownym wynalazkiem. Z niewiarygodnym wręcz zachwytem przyglądał się niebu. Posiadał do tego niesamowity talent obserwacyjny. Nie mógł doczekać się następnej nocy i chyba wcale w tym czasie nie spał. Obserwował, sprawdzał, robił notatki i rysunki tego, co widział. Wyciągał prawidłowe wnioski, właściwie interpretował zaobserwowane fakty i potrafił je rozpropagować. Obserwował plamy na Słońcu, powierzchnię Księżyca, fazy Wenus, poznał strukturę gwiazdową Drogi Mlecznej oraz zauważył, że Saturn ma dziwny, wydłużony kształt. Jego najważniejszym jednak odkryciem były cztery księżyce Jowisza. Zauważył i obwieścił, że zaobserwował układ planetarny w mniejszej skali. Przyczyniło się to do zmiany dotychczasowego sposobu myślenia i pojmowania spraw niebieskich, rewizji zakorzenionych przez wieki poglądów i wyobrażeń. Miało to wszystko znaczący wpływ na rozwój nauki oraz na życie samego Galileusza, ale to już zupełnie inna historia.

Oczywiście Galileusz stopniowo ulepszał swój teleskop - zaczynając od trzykrotnego powiększenia, ostatecznie skonstruował przyrząd o powiększeniu około trzydziestokrotnym, który stanowił już dość poważne narzędzie optyczne. Dzięki temu dziś tę konstrukcję nazywamy teleskopem Galileusza. Swoje obserwacje szybko publikował. Już w marcu 1610 roku wydał książkę „Sidereus nuncius” (Gwiezdny posłaniec). Książka ta stała się najważniejszym dziełem astronomicznym XVII wieku.

Sidereus nuncius
- strona tytułowa

Wynalazek lunety zapoczątkował rewolucję techniczną w astronomii, zupełnie nową jakościowo erę w badaniach kosmosu. Niebo Arystotelesa i niebo żyjącego 1800 lat później Kopernika było tym samym niebem. Wszyscy ówcześni astronomowie obserwowali bowiem gołym okiem. Wiek XVII stał się epoką powstawania obserwatoriów zaopatrzonych w coraz doskonalsze teleskopy, a niebo stało się nowym, fascynującym światem. A wszystko to zaczęło się dokładnie 400 lat temu. Dlatego właśnie rok 2009 został ogłoszony przez Organizację Narodów Zjednoczonych Międzynarodowym Rokiem Astronomii.

Wiesław Krajewski



KSIAŻKI NADEŚLANE - POEZJA

- Urszula Jaros, *Wiersze*, Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent”, Lublin 2008, ss. 36;
- Zdzisław Różycki, *Wspomnień moc*, Polihymnia 2009, ss. 216;
- *O statuę Apostoła Narodów*, wiersze nagrodzone pod redakcją ks. Janusza Kozłowskiego, BESTPRINT s.c., Lublin-Świdnik 2009, ss. 68;
- Jadwiga Demczuk, *Spod stopy kamyk*, Norbertinum, Lublin 2009, ss. 41.

KSIAŻKI NADEŚLANE - PROZA

- Kazimierz Stolecki, *Krasnystaw. Rys historyczny*, Norbertinum, Lublin-Puławy 2008, ss. 298;
- Adam Polski, *Między Warszawą a Lwowem*, Towarzystwo Przyjaciół Fajstławic, Lublin-Fajstławice 2009, ss. 168, il. 130;
- *Osoba i dzieło Ojca Świętego Jana Pawła II*, praca zbiorowa pod redakcją Pawła Marcy i Jerzego Nikołajewa, Polihymnia, Tomaszów Lubelski-Lublin 2009, ss. 408.

Saturnin Naliwajko

stoję przed lustrem
 twarzą w twarz
 beczelnie chłopu patrzę w oczy
 i mówię mu:
 - parszywą gębę strasznie masz...
 i słyszę
 jak on na mnie psioczy
 wymyśla mi od tępych pał
 od głupków durniów –
 czy kto słyszał?
 aż wreszcie wpadam w dziki szal
 rozbijam lustro –
 cisza...

Marian Janusz Kawałko

Psalm o życiu poczesnym

Nie skacz ciągle mi do oczu, życie,
 Ja nie umiem wznieść się wyżej oczu.
 W tobie tli się odwieczny burzyciel
 Z Wiecznym sprawcą, który ciebie począł.

Ref. To nieproste - zawziąć się na życie
 To niełatwe - życiu wejść za pazur
Prowadziłoby się ono naleźćcie,
Gdyby nie ta sfera drogowaskazów.

Nie chcesz, życie, ze mną żyć na wiarę?
 Na niewiarę jak się też nie godzę.
 Ty się lepiej, życie, ze mną zaręcz,
 Bo zawiodę się na tobie srodze.

Igrasz, życie i grasz i przemieniasz
 Myśli czarne na znaki czerwone,
 Jakbyś miało tylko pół sumienia.
 Me sumienie też przepołowione.

Ty mnie - życie - nie wódz na manowce,
 Żaru mego przed Bogiem nie skrywaj.
 Niech mi niebo zsyła to, czego chcę.
 Tam arkadia w szczęśliwość opływa.

Ty się życie z moich zdrad nie tłumacz.
 Ty się tłumacz z głodu w moich oczach.
 Co nas jedna, to uwieczniaj w zoomach,
 Wiedź w nieznane jak gwiazda prorocza.

Ciebie, życie, kochać nie jest łatwo,
 Zapominasz, że jestem twą tęczą,
 Więc mnie przytul i się czasem zatrwóż,
 O mą miłość, którą gwiazdy wieńczą.

dnia 5 stycznia 2009 w Lublinie

Spis treści

Zabytek z okładki	2
Słowo redaktora	4
<i>A. D. Misiura</i>	
Fortepian pionowy „żyrafa”	5
<i>Władysław Fedorowicz</i>	
Krasnostawski fortepian Steiwaya	6
<i>Leszek Janeczek</i>	
Tragiczny bal Polskiego Czerwonego Krzyża	7
<i>Daniel Piekarus</i>	
Z dziejów kościoła Świętej Trójcy.....	9
<i>Zbigniew Atras</i>	
Kogo strzegą figury z Wojślawic	12
<i>Agnieszka Szykuła</i>	
Splacić dług pamięci	13
<i>Marek Szymaniak</i>	
O architektoniczny ład starego miasta	15
<i>Zbigniew Atras</i>	
Wiersze poetów z Łęcznej	17
Czy można zobaczyć ciemność	18
<i>Alicja Wiech</i>	
Pracowity Dehnel	23
<i>Henryk Radej</i>	
Poezje	24
Balzak i jego <i>Comédie humaine</i>	26
<i>Tomasz Krzykała</i>	
Konkurs Literacki	30
Poezje	31
Polski następca Stephena Kinga?	32
<i>Mariusz Kargul</i>	
II Konkurs Twórczości miłośnej	34
<i>Marzena M. Podkościelna</i>	
Poezje	34
Zorza	37
<i>Maciej Topolski</i>	
Konfabulatorium (2) Pochwała akwarystyki	39
<i>Mariusz Kargul</i>	
I oby tradycji stało się zadość	40
<i>Marzena M. Podkościelna</i>	
Poezje	41
<i>Magdalena Jankowska</i>	
Krasnystaw (nareszcie) opisany	42
<i>Mariusz Kargul</i>	
Od Szawła do Pawła	44
<i>Andrzej David Misiura</i>	
Powieść o podróży	45
<i>Jadwiga Demczuk</i>	
Afirmacja życia	46
<i>Mirosław Iwańczyk</i>	

Spis treści

Poezja	46
<i>Krzysztof Włoch</i>	
W gabinecie luster i gdzie indziej	47
<i>Eugeniusz Szulborski</i>	
Nie mów nikomu... ..	48
<i>Andrzej David Misiura</i>	
Poezja	48
<i>Urszula Jaros</i>	
Rocznik dwunasty	49
<i>Artur Borzęcki</i>	
Pomnik między Warszawą a Lwowem	50
<i>Andrzej David Misiura</i>	
Powiew twórczych myśli	51
<i>Edward Franciszek Cimek</i>	
II Ogólnopolski Konkurs Poetycki	52
Poezje	53
<i>Natasza Zalesińska</i>	
Twórcze fascynacje	54
<i>Edward Franciszek Cimek</i>	
Poezje	54
<i>Aleksander Bernat</i>	
Cienie PRL-u.....	55
<i>Henryk Radej</i>	
Chata za wsią Miłość przekracza granice wytyczone przez ludzi	56
<i>Dariusz Włodarczyk</i>	
Święto teatru w Siennicy Różanej	57
<i>Bożena Fornek</i>	
Tymjanek na falach zagłady.....	58
<i>Dariusz Włodarczyk</i>	
Wiadomości	59
Puste - pełne wystawa malarstwa Lecha Twardowskiego	60
<i>Aleksander Bernat</i>	
Poezje.....	61
<i>Aleksander Bernat</i>	
Media i społeczeństwo - nowe strategie komunikacyjne	62
<i>Olga Bialek-Szwed</i>	
Porozmawiajmy	64
<i>Marta Kujawska-Gilowska</i>	
Obłąd	65
<i>Henryk Radej</i>	
Dziwne dzieje wynalazku lunety	66
<i>Wiesław Krajewski</i>	
Książki nadesłane	69
Poezje	69

MEBLE NA ZAMÓWIENIE

- Wysokiej jakości z 25 letnim doświadczeniem
- Pomiar i profesjonalny projekt gratis
- Meble w półtora tygodnia
- Dla naszych klientów AGD w atrakcyjnych cenach

SALONY

- JACKÓW 14A, 21-007 MEŁGIEW
- LUBLIN, ul. ZEMBORZYCKA 96
- KRASNYSTAW, ul. T.KOŚCIUSZKI



KUCHNIE TWOICH MARZEŃ

Podwójna formuła aktywnych probiotyków zapewni naturalny układ korzystnej mikroflory jelitowej, skutecznie chroniąc odporność organizmu

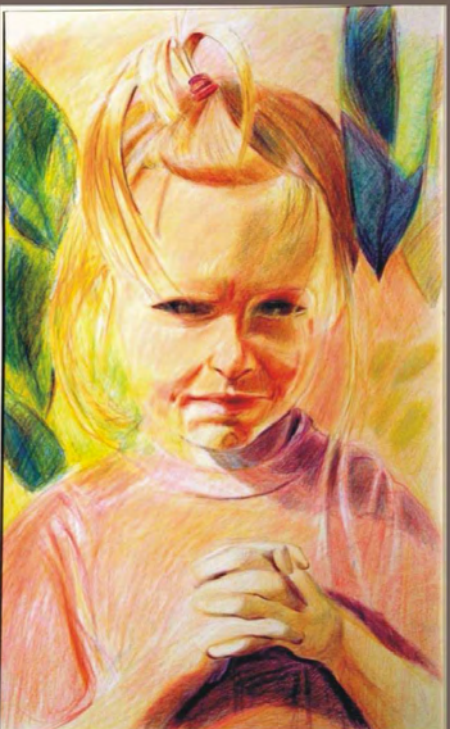
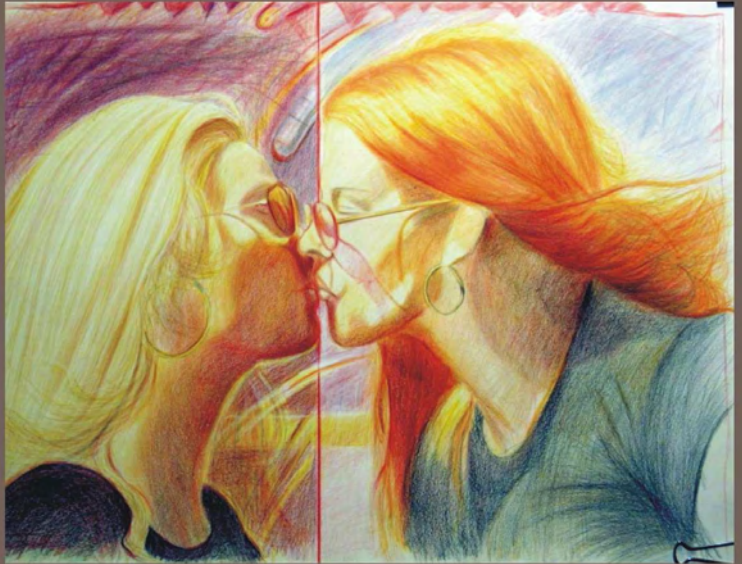
Krasnystaw

Owocowa moc natury



OKRĘGOWA SPÓŁDZIELNIA MLECZARSKA
W KRASNYMSTAWIE
ul. Borowa 4, 22-300 Krasnystaw
tel.: (82) 576 28 61 fax: (82) 576 28 60
www.osm-krasnystaw.pl, handel@osm-krasnystaw.pl

Aleksander Bernat



Aleksander Bernat

Aleksander Bernat ur. w 1955 r. w Krasnymstawie. Był członkiem Grupy Plastycznej GEN (1976-1977) i Grupy Literackiej SŁOWO. Później wyjechał do Wrocławia, gdzie mieszka do chwili obecnej. Swoje prace plastyczne wystawiał min. w Krasnymstawie, Chełmie, Warszawie i Wrocławiu. Wiele znajduje się w zbiorach prywatnych w kraju i zagranicą.



GALERIA JEDNEGO OBRAZU